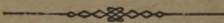


NOWELE

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

——
Tom I.

PSIA DOŁA.
—
KRZYŻ I OGIEŃ.
—
O CIOCIĘ FRANIE.
—
BIAŁY WRÓBELEK.
—
WILK, PSY I LUDZIE.

WARSZAWA.

Druk Braci Jeżyńskich (dawniej J. Uagra),

Nowolipki Nr. 9.

—
1888.



Дозволено Цензурою.

Варшава 16 Декабря 1887 г.

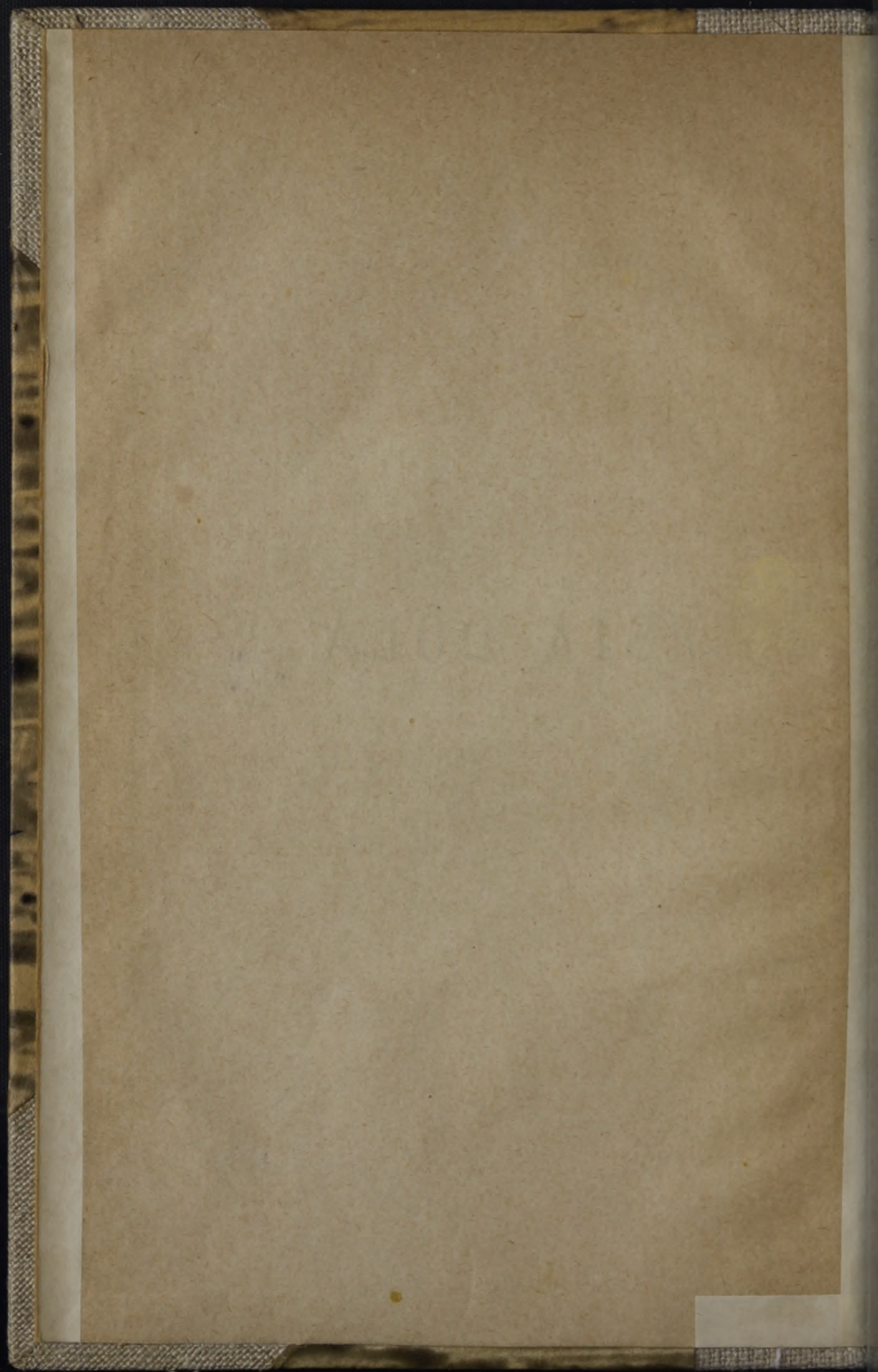
I. 292.846

1962 K 79H/8

PSIA DOLA.

Nowele Tom I.

1



PSIA DOLA.

Za Wolskimi rogatkami, pod płotem jakiegoś ogrodu, położonego w kierunku południowej strony świata, leżała wyżlica Norma, otulając ciałem swoim czworo szczeniąt, ślepych jeszcze prawie. Małe pieski co chwila chwytaly pierś matki; ale z piersi téj nie zdołały wydobyć ani kropli mléka; ruszały się więc niespokojnie, wydając z siebie mruki niecierpliwości i skomlenie. A Norma nieustannie nadstawiała dzieciom swoją pierś próżną, w której one nadaremnie szukały posiłku. Powyższyły przeto dzieci zpod matki—jedno za drugim, niezdarnie się toczyły na swych nożynach: podeszły do rodzicielki z przodu, garnęły jéj się do ust, do uszu, do oczu, zdawały się zapytywać:

— Matko, co to wszystko znaczy? Dalaś nam oto życie, a nie możesz nas utrzymać?.. Z głodu mrzemy!

Pies-matka smutnie popatrzała na potomstwo, mrużyła oczyma i poczęła dziatwę kolejno a troskliwie lizać językiem. Może ona pragnęła głód

swoich dzieci pieczęcią uśmierzyć. Powstała z miejsca, wyprostowała się i, stojąc, poddawała sześcieniom pierś swą do ssania. Rzuciły się do niej wszystkie, czepiały jęj się jak pijawki, zawisły, szarpały ją, rozpierały się, ssąc i ciągnąc swą rodzicielkę. Norma była zwierzęciem wychudłym, zbiedzonym, sierść z niej miejscami zupełnie oblażała, trzęsła się, na nogach zaledwie ustać mogła, a na uszach jęj i na szyi widniały wszędzie niezabliźnione rany, które w okólek obśiadały muchy. Dzieci, ssąc matkę w stojącej postawie i teraz nie znalazły w jęj piersiach mlęka; poczęły ją więc kaleczyć, do krwi jęj się dobierać; ale ona i krwi niewiele miała w sobie. Sześcienięta, znużone licznymi a bezpłodnymi wysilkami, legły wreszcie na ziemi, ułożyły się jedno na drugim i tak zwinięte, jakby w jeden kłębek, zasnęły. Przez czas jakiś stała nad nimi matka, liżąc je i troskliwie obwąchując, niby kólyszając swoje drobne psięta. A kiedy sen już na dobre ogarnął potomstwo, ona sama puściła się w świat na żebranię. Poszła pomiędzy ludzi... Gdzież pies iść może?

Wpadła do najbliższego domu w mieście; tu ją rozkoszna jakaś woń zaleciała, przeto stanęła pod drzwiami kuchni i stała biędna z pokorą żebraczki. Stała długo, aż jęj się sprzykrzyło: lekko skrobnęła nogą w ludzkie podwoje. Drzwi się otwarły, wyjrzała stara jakaś kobięta z zakasanimi rękami, zapłoniona od kuchennego żaru,

widocznie kucharka. Spostrzegła psa i szpetnie zakląła:

— No, nie bestya to jedna!.. Puka do drzwi jak człowiek... A nie pójdziesz mi ty stąd psia duszo!

I z temi słowy poczęła kucharka szukać na podpieckach pogrzebacza, aby skarcić zwierzę, które się ośmieliło do drzwi jój przychodzić. Norma stała spokojna, osłabiona, chwiejna, zdawała się spojrzeniem błagać o jałmużnę. Kucharka odszukała narzędzie kary, wypadła z niem na psa i uderzyła go po dwakroć. Pies nie uchodził, nie wydał skowytu, jak gdyby ciosy owe nie były dla niego najcięższymi w życiu... Kucharka zamierzyła się raz jeszcze pogrzebaczem, lecz już nie uderzyła, tylko z przekleństwem okropnym zatrzasnęła drzwi od kuchni.

Niepewnym krokiem oddaliła się psia matka od niegościnnych progów i poszła dalej, wstąpiła do innego znowu domostwa. Tutaj na dziedzińcu spotkał ją stróż domu, uzbrojony w miotłę, osadzona na bardzo długim kiju.

— Jeszcze i ty, psia wiaro, będziesz mi tu zawadzała i bruździła!..—zawołał stróż, wymiatając siłą psa za bramę.

Norma wpadła teraz pomieszana do jakiegoś zajazdu, którego brama naoścież była otwarta, ponieważ właśnie zajeżdżała tam bryczka z gościem. Służący hotelowi już jój nie wyganiali; mniemano, że pies przyszedł za bryczką, że należy

do p rzybyłego gościa. A gość wysiadł z bryczki i szedł pod numer, który mu wskazano; Norma poszła za nim i w ciemnym korytarzu legła pod drzwiami, w których gość ów zniknął. Czują brak sił w sobie; nie mogła już ani stać, ani chodzić. Po niejakim czasie skrobnęła we drzwi łapą, wydając przytém z siebie jękliwy głos niepokoju. Gość drzwi otworzył, miał twarz jakąś rumianą, wasatą, sympatyczną. Kiedy spojrzął na psa, pies przyjacielsko, choć słabo, merdnął ogonem.

-- Na tu, piesku!.. Zawołał człowiek i wpuścił psa pod swój numer wewnątrz. Norma zaledwie mogła przez próg się przewlec; weszła do izby, a sympatyczny człowiek rzucił jój jakieś resztki chleba i kielbasy, któremi się właśnie raczył po odbytej podróży. Z ehciwością i wielką żarłocznością rzuciła się psia matka na te specyaly; ale szczęki, zęby snadź jój już wypowiadały posłuszeństwo, bo jeść nie mogła, a pochwycony w usta pokarm wypadł jój z ust na ziemię. Popatrzyła na żywność, spojrziała gościowi w oczy z jakąś żalnością, zachwiała się całym ciałem i upadła na ziemię. Nadchodziła dla Normy ostatnia chwila życia... Przypomniały jój się teraz oto drobne dzieci, które zostawiła pod płotem bez żadnej opieki, głodne. I ścisnęło się okrutnie serce matki; wydała jęk cichy najprzód, jak gdyby smutne westchnienie; potém podniosła nieco głowę i głosem jakimś rozbitym, urywanym zawyla tak przeraźliwie smutno, że głos ten przestraszył go-

ścia. Zadzwoił przeto ów człowiek, a kiedy przyzwał numerowego, rzekł:

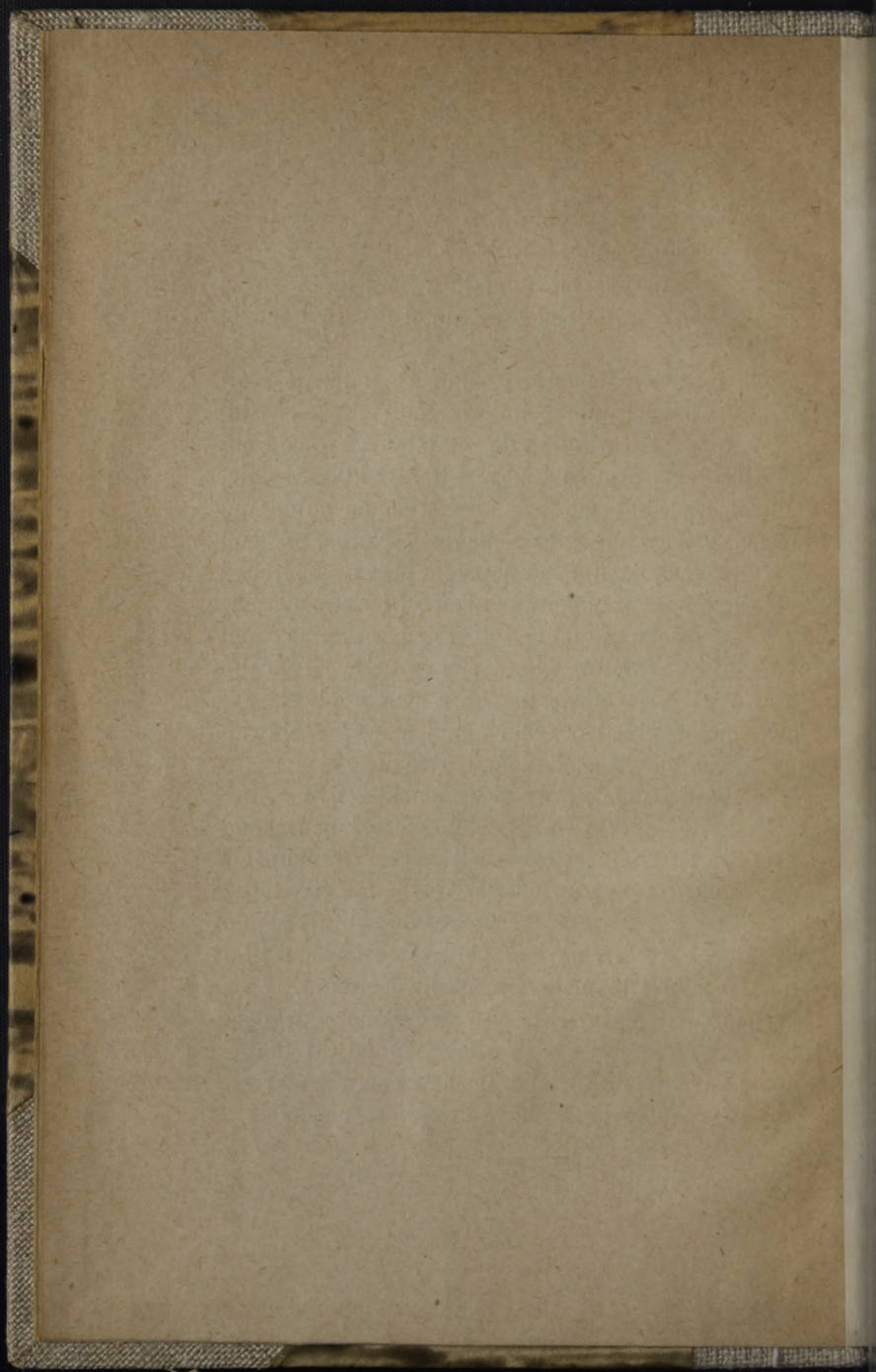
— Zabierzcież mi stąd to zwierzę! Co to za nieporządek w hotelu! Psy się wałęsają i niepokoją gości.

Na te słowa numerowy kopnął potężnie Normę; ale ona się nie podniosła, nie jęknęła. Służący przyniósł szczotkę do zamiatania i począł nią bić psa, wypędzając z izby. Uderzył kilkakrotnie, ale pies zdawał się być nieczułym na odbierane ciosy. Pochwycił więc numerowy Normę za ogon i wywłókł ją na korytarz; potem przyzwał stróża i polecił mu psa przybłądę znowu wywlec na śmietnik.

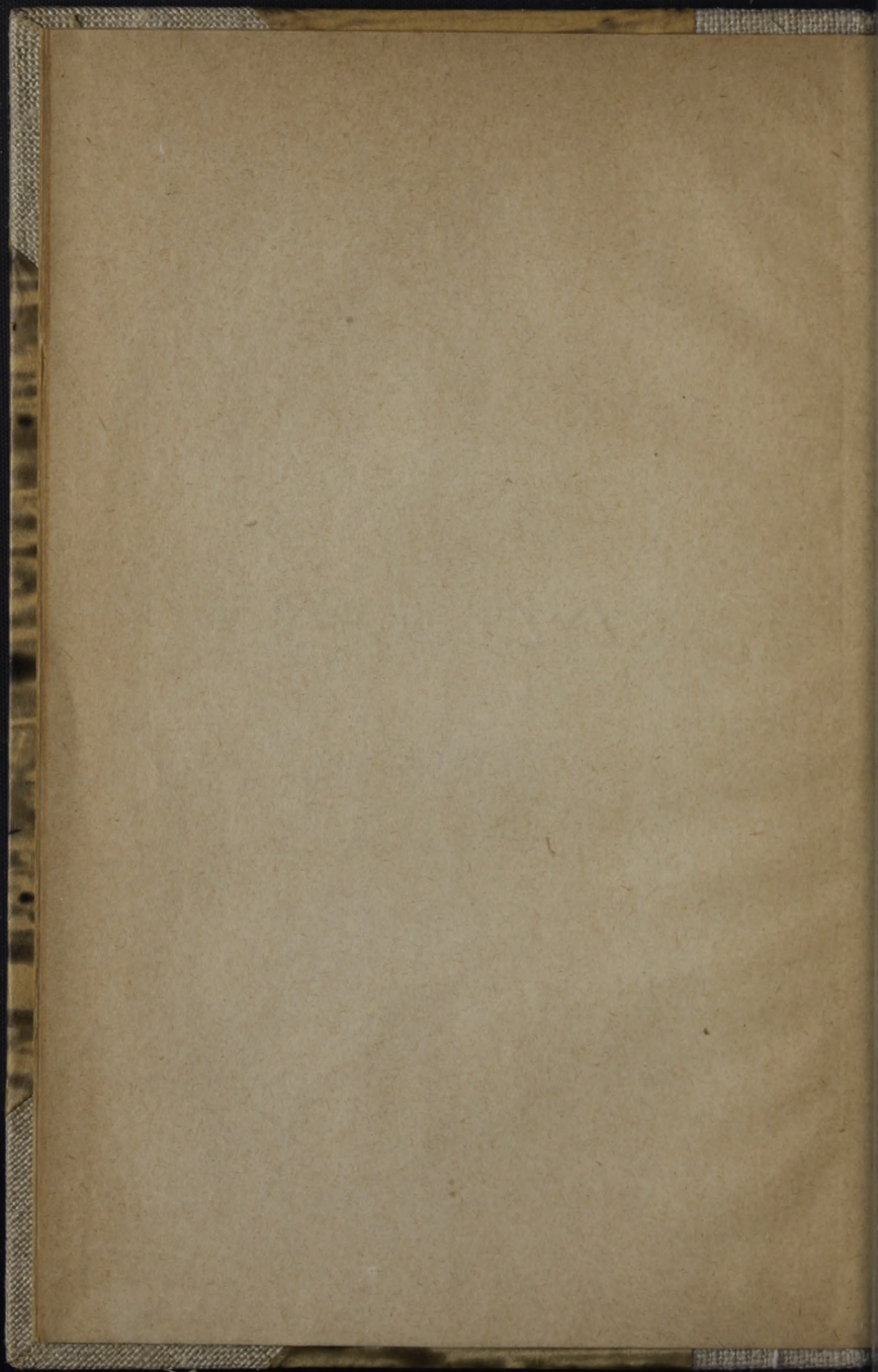
Teraz spokojnie na tyłach stajen, na kupie śmieci leżała bezwładna Norma; oczy mgła jój powlokła, z ust toczyła się piana, a ona kończyła życie, mając przed oczyma obraz dzieci, zostawionych bez opieki pod płotem ogrodu.

Ze stajen dolatywały głosy ludzkie, słyhać było, jak konie żują owies, chrzęszczą łańcuszkami uzd; zza parkanu rozlegało się oszczekiwanie psów swawolących po trawnikach. Z wnętrza śmietnika powyłaziły szare szczury, ostrożnie zbliżały się do konającej Normy, szybko poruszając wąsami i topiąc w niej swe małe, przenikliwe oczka...

Spojrzała ostatni raz w jasne słońce, drgnęła i szczury zniknęły w kryjówkach. Po chwili ukazała się na śmietniku wielka liczba szczurów; wszystkie szły śmiało do Normy, która już nie żyła.



KRZYŻ I OGIEŃ.



KRZYŻ I OGIEN.

W ziemi, gdzie Ararat dwoma szczytami w niebo strzela, gdzie Eufrat oba swe potoki między skał urwiskami toczy, gdzie Tygrys jeszcze szemrze jako młody strumyk, — w ziemi téj jest piękne jezioro Wan i miasto tegoż nazwiska.

O dawnych czasach mówić tu zamierzamy, bo z górą czternaście wieków minęło, kiedy ziemią Iranu władał Jezdegerd drugi. Krzyż zstąpił z Golgoty, ażeby tryumfować szeroko, a jego pełna niebiańskich obietnic ewangelia pojawiła się niebawem i w onéj krainie, która przed niepa miętnymi czasy miała stanowić przystań patriarchy, nękanego burzami potopu.

Stara cześć świętego ognia nie zdołała sprostać w zapasach z nauką nazareńskiego mistrza, która nie tylko sama bujnie się krzewiła, lecz nadto dała pochop do wzrostu mnogim latoroślom. Tak Mani, syn Futtaka, prorok religii nowéj, godząc Chrystusowe słowo z naukami Zaratustry, poniósł straszną śmierć męczeńską przez odarcie ze skóry.

Za chrześcijaństwem stali teraz murem cesarze rzymscy, podczas gdy staréj wiary ognia bronili pierściami swemi konserwatyzm ludowy i ci władcy, którzy swą siłę na nim opierali; tylko jedni sekciarze, ludzie wolnéj myśli, pozostawali bez opieki, bez protekcyi możnych panów ówczesnego świata.

Podboje krzyża były obecnie wyborną przednią strażą dla rzymskich legionów. Kiedy się staczały walki tego rodzaju, walki o śmierć lub życie,—wszystkie interesa społeczne koncentrowały się w jednym jedynym punkcie, w religii, i na ten punkt zwracały się oczy każdego lepiej myślącego a potężniej czującego syna swojej ojezyny.

Szemrali chrześciance, że ich prześladowają wyznawcy staréj tradycyi; ale któż bez oporu pozwoli gasić ojezyste ognisko? — Tchórz chyba lub przენiewierca.

Na południowém wybrzeżu jeziora Wan stała starożytna świątynia ognia; tu przed gorejącym płomieniem dniem i nocą zastęp kapłanów spełniał święte obowiązki wiary. Z ich oczu nieustannie płynęły łzy od dymu, co się wżerał pod powieki; ludzie ci, poczernieli i okopceni, podobniejsi byli raczej do jakichś podrzędnych strażników państwa podziemnego, aniżeli do opiekuńczych istot ogniska świętej wiary. Huczały tutaj

topory, rąbiące drwa, a dłonie kapłanów od téj pracy zgrubiały i szpetne je pokryły odciski. Ciągłe noszenie wiązek drew pochyliło ich ku ziemi i garbami pokryło postaci. Tak, miłość wielkiej tradycyi ciągnie za sobą olbrzymią pracę, najcięższe w świecie obowiązki; ale ta sama miłość krzepi i z marnego człowieka olbrzymą tworzy.

W górach, niedaleko od świątyni, żył możny haik, armeński szlachcic, nazwiskiem Ardżasp; władał on obszernemi włościami i posiadał liczne stada wielbłądów, koni, mułów, wołów i owiec. Na górach wzrastały jego lasy z wspaniałych dębów, buków, sosen; w dolinach pysznie się zieleniły latem pszeniczne niwy; u stóp gór widziałeś wszędy bogate winnice i oliwne gaje.

A był to człowiek, strzegący rzetelnie wiary pradziadów. On wierzył, iż ogień na ziemi jest tém, czém słońce na niebie, iż płoszy diwy, weseli bogów i ludzi. Ogień jest w błyskawicy, w cieple człowieka, w roślinach, w górach i wielkim Panu nad Pany, Ahuramazdzie; ogień jest święty i wiecznym być powinien, niema on zgasnąć ani w przyrodzie, ani w piersi ludzkiej. Niechaj, o Stwórco, płonie nam wieczny ogień na ziemi i niechaj wiecznie czystym będzie człowiek!

W takiej tradycyi wychowywał Ardżasp dwóch synów: Mirana i Pakora.

Stary ten ojciec z całej duszy nienawidził Rzymian, a na wzmagającą się przewagę chrześcijaństwa spoglądał z goryczą i niechęcią. Okrutnie



bolalo go to, że nowa nauka zyskiwała coraz więcej zwolenników w krainie Urartu, a stronnictwu kultu narodowego z każdym dniem ubywało obrońców. Więc pracował Ardżasp, knując spiski zgubne dla wrogich sztandarów. Robota jego była niemniej ciężką, jak obowiązki kapłanów ognia; boć i jemu o stary ogień chodziło.

Jeздеgerd drugi odnowił był pokój z Rzymianami, a na mocy tego część Armenii, Persarmenia, pozostała pod rządami królów perskich, nad resztą zaś kraju Bizancyum utrzymywało zwierzchność.

Była to właśnie dziejowa chwila, kiedy się nawróciła wielka liczba Armeńczyków, i Ardżasp gorąco pobudzał innych, nienawróconych jeszcze panów armeńskich, ażeby wpłynąć na rząd perski i wywołać prześladowanie nowej religii.

Chrześcijaństwo wciskało się ze wszystkich stron; ale znaczna część ludności wrzała jeszcze nienawością dla nowych idej. Ardżasp pobudzał synów swoich do brania gorącego udziału w tych arcy-ważnych sprawach społecznych. Starszy syn, Miran, był to dobry i dzielny młodzieniec; słuchał on rozkazów ojca i wiernie je wykonywał, jednakże nie posiadał jego duszy namiętnej, pełnej religijnego zapału i fanatyzmu. Młodszy znów, Pakor, wątły, zawsze zamyślony, usposobieniami swemi bardzo się różnił zarówno od ojca i od brata.

W owe czasy przebiegali Armenią ludzie jacyś tajemniczy, którzy zachodzili do chat, najmowali

się do robót w polach, a często wałęsali się po lasach i wśród skał dzikich. Mówiono powszechnie, że to są chrześcijańscy mnisi, pustelnicy i ich wysłańcy. Ardżasp był bez litości dla tych, jak mawiał, przybłądów; trudno go było podejść podstępem, bo wiele miał w sobie chytryści.

Pewnego razu Pakor obchodził szerokie niwy ojca i po drodze swój spotkał człowieka wynędzniałego, opalonego przez słońce, w bardzo lichy odzieży; pielgrzym ów zdawał się iść z dalekiej podróży, bo cały okryty był pyłem, z trudem kroczył, podpierając się kijem, a przez ramię zwieszoną miał torbę.

Młodzieniec wszczął rozmowę z podróżnym, który—zrazu tajemniczy i skryty—stawał się coraz bardziej szczerym, otwartym. Pakor niebawem nabrał téż przekonania, że ma do czynienia z apostołem i opowiadaczem nauki nowój.

— Idziesz, jak widzę, zdaleka — mówił syn Ardżaspa;—pot okrywa twe czoło, a członki omdlewają ze znużenia; potrzebujesz spoczynku, ale ktokolwiek jesteś, nie radzę ci wstępować do domu mego rodzica, jesteście bowiem nieprzyjaciółmi chrześcian.

— Nieprzyjaciół ja się nie lękam—odparł pielgrzym; — przebywam wśród nich nieustannie; noszę zaś ze sobą tarczę zarówno przeciw nieprzyjacielowi, jak przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu.

— Jakaż to jest tarcza?—spytał Pakor.

— Miłość Boga i ludzi! — odrzekł z powagą podróżny.

— Czyż to może ci dać jakąkolwiek obronę?

— Niezawodnie daje, każdego mogę o tém przekonać!

— A jednak słudzy ojca mojego niezawodnie zabiliby cię, gdybyś się wśród nich pojawił!..

— Tém lepiej dla mnie! — zawołał podróżny z zapalem. — Błagałbym ich o ciężką śmierć męczennika, bo krew przelana potwierdza prawdę życia.

— Nie mogę cię pojąć — rzekł młodzieniec.

— Tylko ten, kto ginie, służąc Bogu i bliźnim, tylko ten żyje wiecznie; każde inne życie nie jest życiem.

— Więc to jest prawdą, co o was mówią, że śmierć wysławiaacie, a gardzicie życiem?

— Dowiedz się, młody człowiecze, że śmierć szlachetnego na ziemi jest warta więcej, niż milion marnych żywotów; bo, mówię ci, śmierć taka jest dopiero początkiem prawdziwego życia.

— Ale czyż prawdą jest, że nie macie względu na zaszczyty oraz dostojęstwa ludzkie, że szycie ze sławy, że szanujecie gmin prosty i nieokrzesany, że pogardzacie bogactwem, ceniąc nadewszystko ubóstwo? Powiedz mi, jesteścież wy tak nierozsądni?..

Twarz podróżnego ożywiła się teraz niezmiernie, oczy mu zajaśniały i zawołał:

— Pamiętaj, młodzieńcze, że w oczach mojego Boga nie mają znaczenia ludzkie godności, zaszczyty i bogactwa!... Ten Bóg nie jest sprzedajny, jako ludzie, a przeto ja więcej cenię tych, którzy na ziemi ciężko pracują, cierpią i żywią nadzieję... Bo kto w życiu ma spoczynek i używa, nie jest nigdy lepszym od takich, którzy ziemię bogactwem okrywają. Któż sprawił urodzajność niw i winnic twojego ojca?... Nie sąż to biędni pracownicy, których wy traktujecie nieraz gorzej, aniżeli psy swoje?

— Jest to prawda, sam nieraz tak myślałem— rzekł młodzieniec. — Ale pomyśl, że jeśli najmniejsi najmniej są warci, to stąd wynika, iż nasz miłościwy monarcha, Jezdegerd...

— Młodzieńcze!—zawołał nieznamy. — Dość mi na tém. Twój rozum otwarty jest dla prawdy, a serce dawno ją umiłowao. Z twych oczu poznaję brata, który tylko zewnętrznie nie porzucił jeszcze dróg błędu; ale duchem jesteś już uczniem Jezusa, Syna Bożego.

— Bądź cicho! — odezwał się ponuro Pakor, rzucając dokoła siebie niespokojne spojrzenia; po-tém dodał: — Biada nam, gdyby mój ojciec do-wiedział się o tém spotkaniu!

— Niczego się nie lękaj, skoro nasz Bóg jest z nami!... On wstępuje oto w ciebie i będziesz silny, dzielny, niezwyciężony!

— Czyż Bóg ów jest tak potężny, aby mię mógł zasłonić przed słusznym gniewem mojego rodzica?

— Zasłoni cię, bo ci da w rękę zwycięstwo, Ja jestem prostakiem, jak widzisz, nędzarzem się urodziłem... Jak ostatni niewolnik drzałem przed panami tego świata. A dziś nie lękam się już nikogo: ani rzymskiego cezara, ani waszego króla.

— Zaprawdę, mężny jesteś! W tej chwili pojąłem twoją pogardę dla życia. Tylko z takimi uczuciami człowiek zwyciężać może.

Ażeby cię, dzielny młodzieńcze, pozyskać dla wielkiej sprawy boskiej i ludzkiej, dziś jestem gotów oddać swoje życie. Bo tyś wart tysiąca takich jak ja żołnierzy. Tobie przystało być wodzem chrześcijańskiej armii, która krzyżem rozjaśni góry i doliny Armenii.

— Stój!—zawołał Pakor. — Dom mojego ojca jest już blisko.

— Więc wejdę do domu twego ojca i niewolnikom jego będę opowiadał słowo boże.

— Zamordują cię niebawem.

— Krew moja przyda się na chrzest dla ciebie; nie sądź zaś, że zwycięstwo przy moich mordcach zostanie.

— Nie chcę, ażebyś naprózno utracił życie.

— A ja ci mówię, że je pozyskam, bom jest nieśmiertelny, bo niema takiej siły, któraby mię zwyciężyć i zniszczyć zdołała...

— Wytłomacz mi to jasno, bo cię nie rozumiem.

— Kiedy wojsko zdobywa warownię, wtedy pierwsi giną ci, którzy idą naprzód, po nich gi-

na jeszcze inni; ale ostatni dlatego tylko zwyciężają, że tamci zginęli. Zrozumiej przeto, iż obowiązkiem człowieka jest umrzeć dla celu wielkiego, a plodem śmierci będzie wtedy tryumf.

Zamyślił się Pakor; zapal apostoła przeniknął w jego duszę, żywo zabiło mu w piersi serce, a rozum niebawem z sercem się pogodził.

Droga zwracała się właśnie prosto ku siedzibie Ardżaspowój; zanim w nią wstąpili, młodzieńiec pochwycił rękę podróżnego i, powstrzymując go, nalegał:

— Błagam cię, nie opowiadaj kim jesteś! Mój ojciec uczci cię jako gościa, lecz niechybnie zażyć rozkaże jako chrześcjanina. Nie chciałbym, ażebyś śmierć znalazł pod tym dachem.

Pielgrzym mileżał naprzód, po niejakićj zaś chwili mówił znowu:

— Pamiętaj, że nie we własnej przybywam tu sprawie! Ani ty nie masz prawa mię powstrzymywać, ani mnie nie wolno namowom twoim ulegać. Kto stoi na straży wielkiego dzieła, ten czynić winien wszystko, co należy; inaczej dzieło zostanie bez tych, którzy je czynią. Mój Bóg zawsze jest ze mną, On tak czynić mi każe. Chcesz-że ty, abym Mu nie był posłuszny? Abym zdrajcą był Boga mojego?...

— Siłę olbrzyma ma duch twój; jeżeliś ją zaczerpnął z nowój dla mnie nauki, to wielką jest nauka owa i wielki jest Bóg taki, który człowie-

ka nigdy nie opuszcza—powiedział Pakor ze szczerością.

W domu Ardżaspa podejmowano szczerobliwie nieznanego gościa i chętnie ofiarowano mu nocleg.

Pakor téż po wieczerzy udał się na spoczynek; ale tak był zajęty myślami, których nawał rozbudził w nim chrześcijański apostoł,—tak dziwne miały nim uczucia, że sen zbiegł z jego powiek. Nieustannie pojawiała się przed nim ta nikła, a jednak tak silna postać pielgrzyma; widział ciągle przed sobą jego płonące oczy i słyszał sympatyczny dźwięk słów, gorąco przemawiających do serca oraz umysłu. Pakor był tak samo dzieckiem swego czasu, jak niem było chrześcijaństwo i jego apostołowie.

Wczesnym rankiem opuścił miejsce spoczynku i biegł czempredzój szukać chrześcianina. Zaledwie się ukazał, gdy jeden ze służebników ojca tajemniczo podszedł ku niemu, mówiąc:

— Chcesz spotkać sługę Boga jedynego?

— O co mię pytasz?—rzekł zmieszany młodzieniec.—Skąd wiesz, kogo poszukuję?...

— Powiedział mi przed śmiercią imię twoje, za brata dał mi ciebie.

— Jakto, więc on umarł, zginął? Mów, co się stało!

— Z rozkazu Ardżaspa w wór go zawiązali służebni podczas nocy, poczem wrzucono go w wody jeziora. Modląc się, eicho śmierć poniósł.

— Lecz jak się stało, iż ojciec poznał w nim chrześcianina?

— Sługa żywego Boga zebrał nas wkoło siebie i przy świetle gwiazd nauczał, gdy się pojawił Ardżasp, strasznie gniewny.... Resztę już wiesz.

— Mówisz, jak gdybyś bolał nad jego śmiercią.

— Oddawna już jestem chrześcianinem!

— Milcz-że, nieszczęsny!—zawołał Pakor trwożny.—Chcesz bezowocnie zwiększyć liczbę ofiar?

— Ja się nie lękam nikogo, prócz mego Boga!—odparł śmiało służebnik.

— Ci ludzie są odważni jak lwy—pomyślał młodzieniec i kroki swoje zwrócił w kierunku jeziora.

Tu spotkał ojca, który żywo rozmawiał z jakimś obcym człowiekiem, przybyłym właśnie na łodzi od strony wschodniej. Pakor pragnął uniknąć ojca, chciał odejść, ale Ardżasp przywołał go do siebie, a kiedy nieznajomy wsiadł w łódź, aby odpłynąć, starzec tak przemówił do syna:

— Patrzyłem na twą młodość i dziecięce swawole, rad, że serce przodków odrodzi się w tobie, kiedy pacholę na dojrzałego męża wyrośnie. Ale synu, Pakorze, znasz-li dobrze obowiązki swoje?... Przychodzi oto chwila wielka na kraj Urartu, a ręce moje drżą już i słabe są do czynu, choć dusza, jak ołtarz świątyni boskim ogniem gore... Dziś są mi potrzebne ręce synów,

bo przychodzi bronić największych i najdroższych skarbów.

— Jakaż to potrzeba zachodzi, ojcze?—pytał niespokojny Pakor.

— Bodaj nigdy już większa nie zaszła! Bodajbym nie potrzebował dzisiaj udzielić ci nauki, coś czynić winien! Stary atoli jestem; wnet dusza moja około téj siwój głowy trzy noce będzie krążyła, a czyny moje staną przed nią. I pójdzie dusza moja do ostrego jak miecz mostu, którym się czas z wiecznością spaja,—pójdzie, aby oczekiwać powstania i wskrzeszenia, a ciało me przyjmie wielki duch ziemi, ażeby i ono kiedyś także zmartwychwstało tutaj, gdzie się rozstało z duszą. Zanim to jednak nastąpi, synu mój, starać się muszę, iżby sąd tamtego świata znalazł godność w mojej duszy, aby jój nie strącono w otchłań kary, gdzie najkrótsza chwila czasu jest długą jako wieczność. Moim najpiérwszym obowiązkiem jest walka z bezbożnym wrogiem świętych ołtarzy ognia. Jabym ich żywcem grzebał, sercabym wydzierał i trzewa, bo są na wieki nieczyści, jak ci, którzy zwłoki psa pożerają!

Gdy mówił te słowa Ardżasp, zaciskał zęby, błyskawice miotał oczyma i grozić się zdawał wyciągniętą naprzód prawicą.

— O chrześcianach mi mówisz, ojcze?—odezwał się Pakor, jakby go przerażały te przekleństwa Ardżaspa.

— Chcę ci powiedzieć, iż się przygotowuje bu-

rza piorunowa, potrzeba wielka. Wardan stanął na czele chrześcian, ten wróg śmiertelny naszego rodu; masz wiedzieć, że z nami trzyma Wasak, potężny ksiązę armeński. Zabierzesz niebawem najlepszy oręż z domu i udasz się do niego; sprawa to pilna, nagła; ale ją tajemnica otaczać musi, przeto pospieszysz sam jeden bez drużyny: takie zalecenie przyniósł mi dzisiaj pospieszny goniec, który przed świtem przepłynął jezioro.

— Jakiemiż słowy mam przemówić do Wasaka?

— Powiedz mu: „Jestem Pakor, syn Ardżaspa; on ci odrzeze: Syn sprzymierzeńca świętej wiary jest sprzymierzeńcem naszym. I potem pośle cię Wasak do wielkiego wodza Mir Nerseha, którego liczne i dzielne wojsko zajęło równinę Awarajra. Gdy przed nim znowu staniesz, oddasz mu pokłon głęboki i powiesz: Panie, oto jestem nieprzyjacielem tych, którzy ogień zabijają, zanieczyszczają wodę, plugawią ziemię i do zwycięstwa pomagają Arymanowi; przybywam służyć sprawie króla i przodków swoich.” Idź i działaj! A kiedy spełnisz wszystko, jakom wyrzekł, ślij do mnie gońca z wieściami.

— Rozkazy twe spieszę wykonać — odrzekł młodzieniec.

Więc przybrał Pakor godowe bogate szaty, za pasem z jednej strony umieścił obosieczny scytyjski topór, a z drugiej — kosztownie oprawny pu-

ginał; wsiadł w łódź i płynął w tym samym kierunku, w jakim o wczesnym ranku widział odpływającego gońca, który snadź Ardżaspowi przyniósł był wieści czy zlecenia.

Słońce ostatnie swe promienie rzuciło na wodę, kiedy syn Ardżaspa dobijał do brzegu, na którym zdaleka widział dwóch ludzi, zdających się kogoś oczekiwać. Wydało mu się, iż w jednym z nich po stroju rozpoznaje onego nieznanego gońca, co tak wcześnie rano rozprawiał był żywo z ojcem ponad jeziorem. Kiedy łódź zawinęła do lądu, człowiek ów gdzieś zniknął bez śladu. Ale jakież było nadzwyczajne zdziwienie młodzieńca, gdy, wysiadłszy z łodzi, w drugim pozostałym na brzegu człowieku poznał teraz pielgrzyma, z którym wczoraj żwawą prowadził rozmowę i którego mienił być już nieżywym.

— Sądziłem, żeś zginął—mówił Pakor;—sługa mi bowiem opowiadał, jako z rozkazu Ardżaspa wrzucono cię w wody tego jeziora.

— Podobało się Bogu mojemu, abym żył jeszcze; snadź dobra sprawa życia mego potrzebuje... Przy tym brzegu przez cały dzień cię oczekiwałem.

— Alboż wiedziałeś, że tutaj przybędę? Moja podróż jest tajemnicą, mnie tylko znaną...

— Mój Bóg chciał, ażebyś o tém wiedział — odparł podróżny.

— Czyż Bóg twój znać może myśli moje? A jeżeli przenika je, czyż to wyznaje przed tobą?

— Wszystko, cokolwiek na ziemi się dzieje, jest cudem bożym i wszystko z wola, z wiedzą Boga się odbywa.

— A więc wiesz chyba i to także, dokąd dążę?

— Spieszysz do Wasaka księcia, Pakorze, stamtąd masz się udać do armii Jezdegerdowej, na czele której stoi wielki wódz Mir-Nerseh. Pragniesz walczyć z chrześcianami, których Wasak zdradza tak samo, jak zdradził swojego króla i ziomków...

Zdumiał się młodzian tą mową chrześcijańskiego apostoła, jego cudownym ocaleniem, jego wiedzą o tém, co zaszło i co nastąpi. Podróżny zdawał się podслуchiwać tajemne myśli Pakora oraz stan jego uczuć, bo rzekł:

— Wszystko, co zaszło, stało się dlatego, ażeby niewierni uwierzyli prawdzie, oświecili się, porzucili drogę błędu i żyli lub umarli dla sprawy wielkiej.

*

*

*

Dzień po dniu mijał, a stary Ardżasp nie otrzymywał żadnej wieści od syna, jakkolwiek Pakor, rozstając się z ojcem, przyrzekł był, iż gońca z wiadomością niechybnie nadeśle. Więc niecierpliwy starzec przyzwał jednego razu drugiego syna, Mirana, i w te słowa przemówił:

— Udaj się do obozu marszpana Mir-Nerseha, opowiedz tam kim jesteś, i przynieś wieści od Pakora, bom pełen niepokoju o świętą sprawę.

Toż dawno już wysłałem brata twego do Wasaka, który nam po krwi i myśli jest powinowaty. Pakor miał stamtąd pospieszyć w szeregi obrońców naszej wiary, gdzie przecież krew moja obecną być powinna. Idź, patrz, słuchaj, a z wieścią szybko mi wracaj!

Miran sprawił się ściśle, jak mu ojciec przykazał. Szóstego już dnia pod wieczór wrócił w ojcowskie progi i tak prowadził opowiadanie:

— Na Boga, widziałem wojsko wielkie, jak nie znaleźć drugiego na świecie! Niby słońca błyszczą rycerze dumni i świetni, a jak lwy wspaniali. Któż takim podołać może? Rżą ich rumaki ze złotemi wędzidlami i strzemionami, orłom podobne z polotu i wejrzenia. Oni, rycerze w bogatych szatach, rwą się do walki, a są jako wał żelazny, który stopami słońców i koni świat może zdeptać. Ich ostre strzały przewiercą tarcze i zbroje. Co to za wojsko! Gdy lwy takie wypadną, to ziemia cała trupami wrogów się pokryje. Jak tam huczą kotły i trąby wojenne! Jak wśród hufców, zakuty w żelazo, złotem szyte powiewają jedwabne sztandary, a na sztandarach widzisz lwy, smoki, i słonie, i wilki! Lud pieszy nosi skórę na nogach, a pancerz spizowy na piersiach; w rękach trzymają wysokie tarcze, zbrojni są w dzidy i krótkie miecze, na ich barkach palmowe łuki, w kołczanach trzcinowe strzały, piórami zdobne. A inni, w hełmach grzebieniastych z żelaza lub miedzi, kolezyste dzidy i

maczugi dzierżą. Konie jezdnych—medyjskie, silne, z czubami na łbach. Co tam uroczych dziewcząt, tancerek! Mirty się sypią, kadzidła dymią, purpura iskrzy... I przebiegłem, ojcze, równinę Awarajra, patrząc na te dziwy, a wszędy rozpytywałem o brata Pakora.

— Czy go znalazłeś nareszcie wśród ludu Ormuzda?

— Toż lepiej może, abym ci nagięj prawdy nie wyznał...

— Człowiek czysty powinien mówić prawdę, choć ją uważa za przykrą i szkodliwą; uzbrój się przeto w ducha prawdy, niby puklerz; powiedz, coś słyszał o bracie swym a synu moim.

— Ardżaspie, ojcze, on jest wśród chrześcian, którymi Wardan dowodzi! Pakor się z nimi modli, wiarę ich przyjął. Dziś, jutro—krew się poleje, a brat mój oreź, zabrany z domu ojca, poniesie w boju przeciw nam, mścicielom pokrzywdzonych bogów. Mąż zetrze się z mężem, grzmieć będą ciosy, niby huk młotów w kuźni, i jeśli Stwórca zechce okazać swą chwałę, zniszczy niewiernych!

— O wielki sędzie dusz! — zawołał Ardżasp, wznosząc ręce w górę. — Jakaż to straszna dolę duch losu mi nawiązał na samym końcu nici mego żywota! Ja, brat armeńskich królów a wodzów, na świat wydałem oto krew i kości potwora, gorszego niż czarne diwy! Stwórcu uciśnionych światów, natchnij mię, powiedz, co czynić ma nie-

szcześliwy śmiertelnik, który szatana spłodził? Mamże swe ciało przesunąć przez płomień dla oczyszczenia, ponieważ boży wyrok wzmoenił w śmiertelnych siłę dobrego, rozkazując istnieć złemu? Mamże ofiarę krwi złożyć czarnym węzom, wcieleniom diwów?

Ardżasp składał teraz ofiary, oczyszczał się świętym nirangiem, zanosił modły: „Wzywam Cię i sławię, o Stwórcu Ahura-Mazdo, jak słońce jasny, największy, najlepszy, najdoskonalszy, najpotężniejszy, najmędrszy, najczystszy, Ty, któryś jest źródłem wiedzy, rozkoszy,—któryś nas stworzył,—któryś nam postać nadał,—który nas żywisz!”

Udał się do świątyni, gdzie na płaskim czworograniastym kamieniu stało naczynie metalowe, po brzegi wypełnione popiołem, na którym święty ogień płonął. Tu krzątali się około ezi kapłani w czystych rękawiczkach, z ustami chustką zasłoniętymi, ażeby goła ręka ani oddech nie zetknęły się z ogniem. Uzbrojeni w obcegi i łyżki, sypali na ołtarz wonności. Na boku, w dwóch niszach leżały wiązki drzewa granatu, sandału, benzoesu, aloesu,—czyste i wonne. Tutaj obdarzył kapłanów datkami i w obliczu świętego płomienia, podług świętej księgi *Wendidad*, zapytywał Stwórcy, co czynić wypada, gdy syn czystego człowieka nieczystym się okaże. Stamtąd podążył Ardżasp do innej kaplicy, gdzie była studnia do świętych obmyć. Potem szedł przez ogród,

pełny róż wonnych, który dokoła otaczał świątynię, i wydało mu się, iż krainę wiecznego szczęścia przechodzi jego dusza, którą Ahura - Mazda Stwórcą wszech-dobra, dobrem natchnął.

Już noc na ziemię padła, gdy starzec wracał do domu; wznosił w niebo oczy i błagał jeszcze starożytną armeńską Astlik, boginię gwiazd, albowiem bał się téj nocy strasznych mar sennych. Toż zmarli pradziadowie jego, oburzeni niecnym czynem Pakora, mogli się nocą pojawić z gniewnym obliczem i czynić starcowi straszne wyrzuty za dzieło syna. Cześć gwiazd—to cześć przodków. Teraz już wrócił do domu uroczysty, wypowiedział się przed bogami i zyskał ich natchnienia. Niebawem przyzwał do siebie Mirana i tak do niego mówił:

— Posłuchaj uważnie, synu, jakie rozkazy otrzymałem od bóstwa. Głos Stwórcy wołał do mnie: Ardżaspie, są dzieła, których święte prawo ojcu spełnić nie pozwala, lecz jeśli dzieła te wykona syn, rozkazom ojca posłuszny, będzie to bogom przyjemne! Złożyłem ofiary, zaniósłem modły; wiatr poniósł do Boga me prośby z zapachem ognia i niedługo posłyszałem w swój duszy odpowiedź: Ojciec i matka nie na to płodzą potomstwo, aby je zabijali; zabić dziecię jest gorzej ojcu, niż zabić siebie samego, a przeto synobóstwem nigdy nie kazi się człowiek naszej wiary. Ale brat brata nieraz już zabił i nieraz zabić miał obowiązek, a przeto ziemia cała jest

bratnią krwią zboczona... Miranie, Pakor jest twoim bratem, Pakor jest zdrajcą twojego ojca i twych praoców!.. On zdrajcą braci jest także! On krew przelewać pragnie, więc jego krew przełaną być musi!..

Twarz starca przybrała strasznie surowy wyraz sędziego, którego nie przebłagać nie zdoła. Synowi wydało się, że istotnie bóstwo przemawia z głębi duszy ojcowskiej.

— Potęga wielka jest w głosie twego rozkazu, o ojcze!—zawołał.—Drzę, jak liść wątlej rośliny, kiedy mi słowa twoje z iskrami ognia twój duszy padają na serce... Korzę się cichy, bom z ust ojcowskich rozkaz Boga słyszał. O gdybym mógł Boga i ciebie przebłagać!.. Boć ciężko podnieść rękę na brata; straszną jest rzeczą zniszczyć życie, które początek wzięło z tego samego źródła co moje! Czyżbym nie chętniej we własnej pierśi utopił ostre żelazo?

— Nie bądź małoduszny! — zawołał starzec z zapalem. — Czyż wola Ahura-Mazdy nie jest ci dana wraz z bohaterską krwią Haika i syna jego, Arameneaka, co pierwszy w Armenii zasadził gaj święty ze srebrzystych topoli?.. Powiedz, czy, kiedy zwierz krwiożerczy rzuci się na bezbronne pacholę lub niedołężnego starca, ty nie staniesz w ich obronie?.. Czy prawo nie poleca ci ocalić czystego, zabijając nieczystych? A czemuż jest moje życie? Czy nieczemny zdrajca nie rzucił się na mnie i nie rozdarł mi serca na po-

ły?.. Miałebym wlec to straszne brzemię splugawionego żywota?.. Nie!.. On musi zginąć! Musi, lub ja się targnę na własne życie...

— Wiesz-li ty, Ardżaspie, że twe natchnienie od Stwórey światła pochodzi?—zapytał Miran.— Boć ludziom i czarne bogi myśl poddają... Nie-raz diwy obsiadą skroń człowieka i w ucho szepcą, a głos ten miesza się z głosem Boga; stąd się rodzi wątpliwość, co w duszy naszej jest boskiem, a co szatańskim.

— Oh, biada mi, biada!—porwał się Ardżasp.— Sędziwość na mnie padła, bezbronny się stałem jak gołąb, a oto jeden z mych rodzonych sromotę dał mi wobec bogów i ludzi, drugi jest małoduszny i więcej szacuje sobie uczucia własne niż wielkie sprawy! Przekleństwo więc życiu starca, który gaśnie bez odrodzenia na świecie! Przekleństwo téj jego bezpłodności!

— Stój, starcze!—zawołał Miran.—Czuję, że to przekleństwo odbija się od głowy twój, białym okrytój włosom, i we mnie prosto godzi. Ja drzę, kiedy przeklinasz ty, któryś do dna wychylił czarę żywota! Lękam się straszego ognia piorunów, wywołanych drżącemi usty gniewnego ojca... Bo gdyby ciebie, Ardżaspie, bogi nie wysłuchały, to, zaprawdę, nikomu nie przystałoby błagać.

— Czy sądzisz, synu, że łaska bogów, jednemu tylko człekowi dana, może stanowić trwałą szczęśliwość?... Czy sądzisz, że gdyś syt chwały na

ziemi i zbawion za ziemią, toś spełnił ludzkie zadanie życia? Wiedz, że kto wielkiego ducha nosi w sobie, ten z wysoka i szeroka rozgląda się po świecie. Taki z dalekiej przeszłości wyziera na swą dobę i w przyszłość przenika z chwili obecnej. Mówię ci, duch taki wre jak huragan, i wielką swą siłą ciągnie ku sobie nieszczęście; taki szczęśliwym być nie może, bo polot jego jest jego nieszczęściem. Skoro ty nie masz odwagi zabić jednego nędznika, bo nie słyszysz głosu milionów, wołających na cię z przyszłości, skoro ty jesteś niemowłkiem czynu, a ja w bezsilnej zgrzybiałości jęczę, to, synu, ja widzę tylko bezdenną otchłań nieszczęścia dzieci i ich dzieci.

— Ojczy, twój płomień zstąpił na mnie, płonie i pali. Błogosław mi, bo biorę na swe barki twe czyny dobre i grzeszne!.. Idę!.. Kto niesie miecz zemsty za starych bogów, ten nie jest bratobójcą.

— Pojales! Nie trać więc czasu! Spiesz na pole czynu!

*

*

Mir-Nerseh, wódz mazdajaznijskiego króla Jezdegerda, króla królów Iranu i Aniranu, z niebiańskiego rodu bogów, prowadził z sobą liczne hufce, mające poskromić zbuntowanych chrześcian. Do armii tej należały także słonie, a w klatkach wiezono lwy głodne, które w daną chwilę miano wypuścić na nieprzyjaciela. Wódz perski jechał

na wspaniałym medyjskim rumaku, otaczała go gwardya, złożona z dzielnych baktryjskich jeźdźców. Na samym przedzie sunęły wozy, uzbrojone w kosy na dyszlu i kołach; za wozami postępowały słonie, za słoniami szli łucznicy; na tyłach zaś dawała się widzieć strojna konnica babilońska. - Prawe i lewe skrzydło zajmowała piechota, pomieszana z jazdą. W przeddzień Zielonych Świątek Persowie ruszyli z obozowiska, zdążając w kierunku północnym, a pochodowi wojennemu przygrywała na dętych instrumentach haldejska muzyka. Przed samém południem Mir-Nerseh znalazł się wobec armii chrześcijańskiej, złożonej głównie z Greków i Armeńczyków; krzyż i ogień stanęły naprzeciwko siebie. Na czele chrześcijan stał armeński książę Wardan, towarzyszył mu zaś jeden z najgłówniejszych sprawców i naczelników powstania,—biskup Sahak. Ten zastęp liczył przeszło trzydzieści tysięcy ludzi, a dawały się téż widzieć i hufce, złożone z entuzyastycznych kobiet i z młodzieży niedorosłej, prawie z dzieci.

Na proporcach powiewał znak krzyża, w oczach wszystkich jaśniał nadzwyczajny zapal.

Gdy ujrzano zbliżającego się nieprzyjaciela, wystąpił biskup i w krótkości przemówił do wojska:

„Już ciągną na nas, jak chmura piorunowa; bracia, do pana wnieśmy swe serca! On nas nie opuści, upokorzy wrogów, dzieciom Swoim gotuje już zwycięztwo. Jesteśmy jako owieczki, na które wilki żarłoczne godzą; ale krzyż święty

naszą jest ochroną, on—mieczem, który zniweczy siłę szatana!“

Od strony Persów ze zgiełkiem ruszyły słonie, dokola otoczone pancernymi ludźmi; kierownicy pobudzali je snadź dotkliwie, bo z nadzwyczajną wściekłością, sapiąc i miotając się, gnały na nieprzyjaciela.

—„Spraw cud, o Panie, zgrom nieprzyjaciół imienia Twego!“—rozległ się głos kapłanów wśród przerażonych szyków chrześcijańskich.

I istotnie cud się stał przed oczyma zdumionych. Slonie bowiem, które z wielkim rozpędem szły na wojsko Wardana, naraz zniknęły z powierzchni ziemi, jak gdyby otchłanie otwarły się pod ich stopami i we wnętrzu ich swém pochłonięły.

W obozie Persów rozległ się szmer przerażenia; mniemano, iż zdraziecki nieprzyjaciel mocą czarodziejską dokonał tego dzieła zniszczenia. Wnet jednak widzieć się dały doły utajone, pełne ofiar w kałuży krwi broczących.

Mir-Nerseh wydał teraz rozkazy, ażeby w bój poszła gwardya „nieśmiertelnych,” może straszniejsza jeszcze w walce, niż słonie.

Dla chrześcian straszném było to natarcie. Persowie napadli na nich z dwóch boków, a siekąc i napierając, sprawili ogromne zamieszanie w szeregach. Zdawało się, iż pod ciosami „niezwycięzonych” przepadną obrońcy krzyża; jednakże znowu stał się cud dziwny. Albowiem zpomiedzy

trwożnych szyków, wypadł hufiec niewieści, z nadzwyczajną zapamiętałością rzucił się na zwyciężkich dotąd Persów, miotając gęsto strzały zapalonne i namoczone w nafcie. „Niezwycięzeni,” ranni od tych dolegliwie piekących pocisków, poczęli uchodzić w największym popłochu, tak iż nowoprzybywające pułki perskie nie zdołały ich powstrzymać.

Z kolei mniemano teraz, że krzyż zawładnie placem boju; ale tryumf był tylko chwilowy.

Najzawziętą walkę staczano około wodza Wardana i biskupa Sahaka; pierwszy z nich stracił był konia pod sobą i pieszo potykał się z nieprzyjacielem; walcząc jak prosty żołnierz; ale niebawem w wirze boju ze wszech stron otoczyli go jeźdźcy, zbrojni w arkany rzemienne i puginały; ci, pochwyciwszy Wardana na arkan za szyję, ciągnęli, dopóki ducha nie wyzionął.

Już słońce żegnało ziemię, rzucając ostatnie promienie na równinę Awarajra, już coraz bardziej milknął gwar wojenny, kiedy naprzeciwko siebie stanęło dwóch wojowników, podobnych wzrostem i postacią; przez krótką chwilę mierzyli się nawzajem wzrokiem, aż jeden z nich poskoczył ku drugiemu ze wściekłym okrzykiem:

— Zdrajco świętego ognia!.. Potworze, giń z ręki brata!

— Miranie, bracie! Jestem żołnierzem Chrystusa, lecz nie straciłem miłości dla ciebie! — zawołał napadnięty, nie podnosząc oręża.

Ale Miran miał widać w sobie żądzę krwi, choć krwią miecz jego był dobrze już napojony; jedném pehnięciem powalił przeciwnika i trzykroć jeszcze w piersi jego utopił żelazo. Nagle ktoś z tyłu zaszedł i wytrącił mu miecz z ręki, wołając:

— O! zaślepiiony w błędzie, nieszczęśliwy człowieku! Popelnileś zbrodnię, za którą ciężko pokutować winienes, aby ci ją miłosierny Pan odpuścił...

Miran odwrócił głowę i spostrzegł owego pielgrzyma, który niegdyś w domu jego ojca prosił o gościnne na noc schronienie.

Uchodzące hufce armii chrześcijańskiej pociągnęły ich obu ze sobą. Miran został jeńcem zwyciężonych.

*

*

*

Stary Ardżasp pozostał sam jeden w domu i smutno mu było żyć bez synów. Modlił się gorąco, składał ofiary i wyczekiwał powrotu Mirana.

Przybyły wieści o zwycięztwie czcicieli ognia na równinie Awarajra, lecz nikt nie wiedział, gdzie zniknął Miran i nikt nie doniósł ojcu, że Pakor padł od ciosów ręki braterskiej. Starzec upadł na duchu, straciwszy ostatniego syna.

Już był okrągły rok mijał od owój pamiętnój porażki chrześcian. Nadeszła właśnie rocznica zwycięztwa Persów i Ardżasp dzień ten obcho-

dził uroczystém świętem, jako dzień tryumfu ognia nad krzyżem.

Zachodzące słońce rzucało na ziemię ostatnie swe promienie, gdy w progi Ardżaspowego domu wszedł cichy, jak żebrak ubogo ubrany pątnik. Zaledwie go starzec zoczył, wnet rozjaśnił smutne oczy i niezwykła pogoda błysnęła mu na czole.

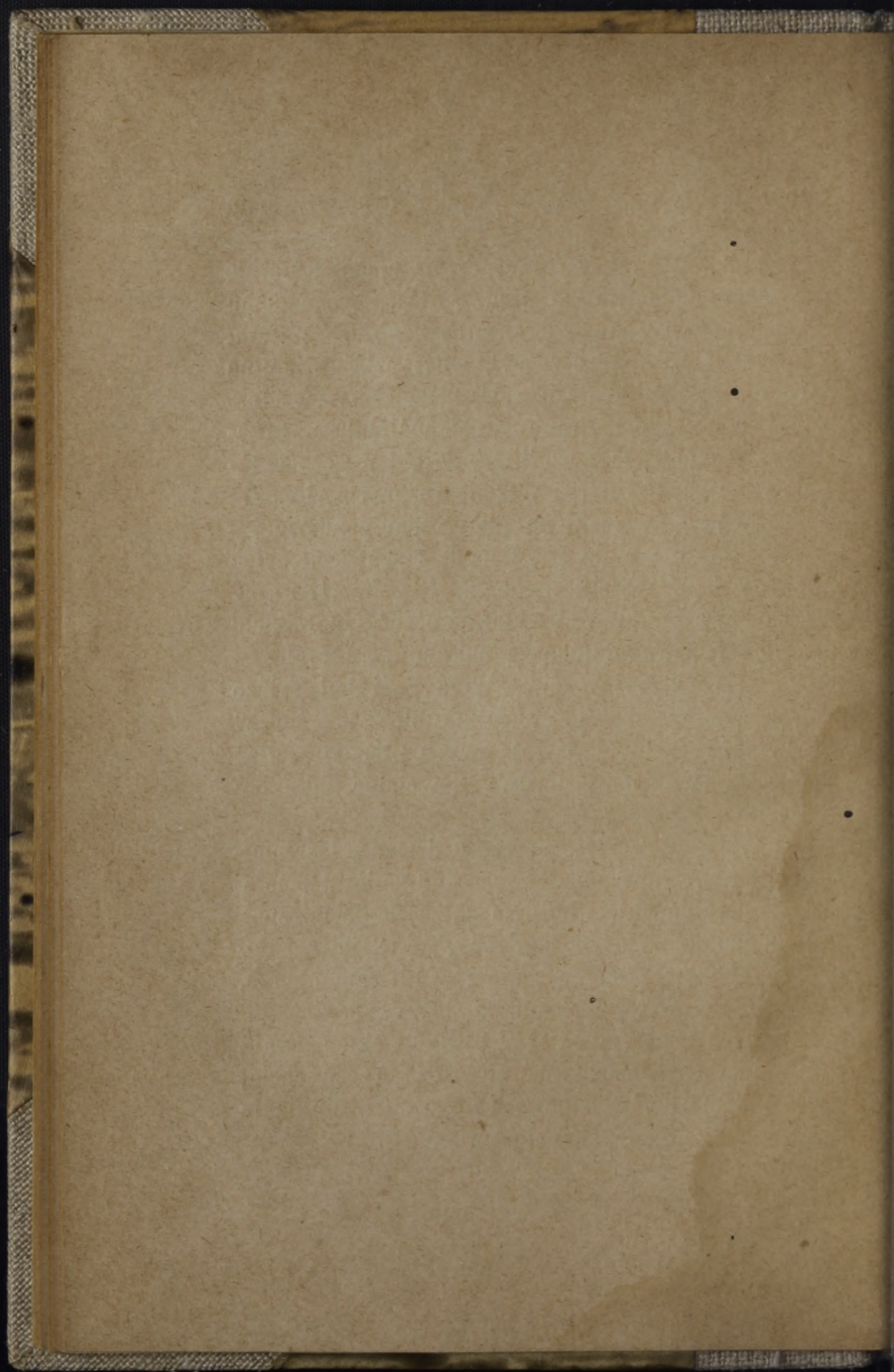
— Tyżeś to, Miranie, synu mój luby? — zawołał. — Jakżem szczęśliwy, że cię jeszcze oglądam, zanim ma dusza weźmie rozbrat z ziemią!

— Ojcze! — rzekł pątnik głosem ponurym. — niema już dla mnie szczęścia dziś na świecie, więc się nie będę weselił z tobą... Stan mojej duszy nie pozwala mi nawet wylewać uczuć synowskich; jestem bowiem bratobójcą, mordercą Pakora!

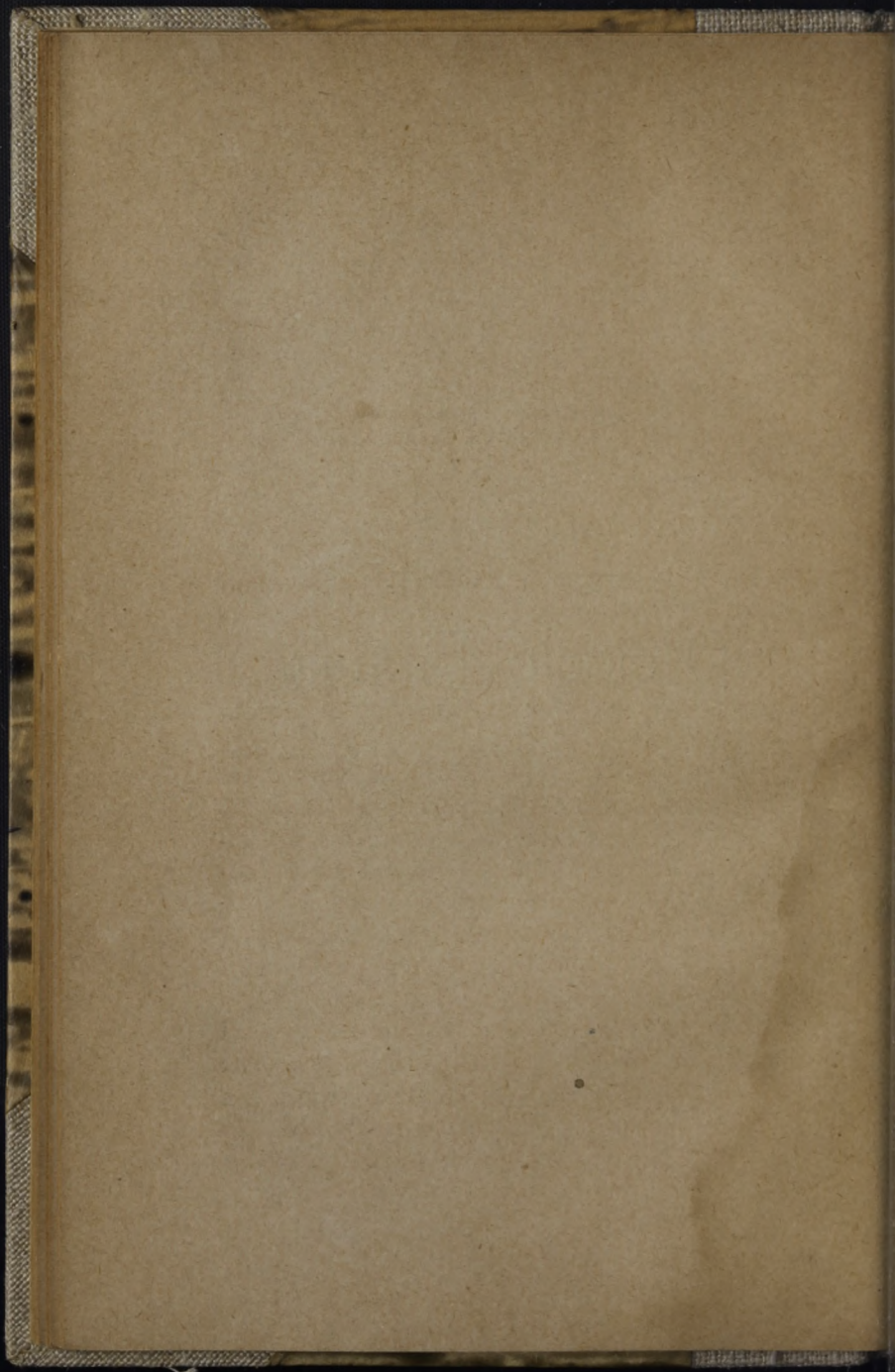
— Co mówisz, synu? Więc go zgładziłeś ze świata, zniszczyłeś tę sromotnie nieczystą zmiję? O, jakże godnym jesteś swych przodków; ileż miłości serce moje uczuwa dla ciebie, jako bohater!

— Zaprzestań téj mowy, Ardżaspie, i sromotnych występków syna swego nie zaliczaj pomiędzy cnoty ludzkie!.. Jestem chrześcianinem, spełniam pokutę za czyn haniebny, jakiegom się dopuścił przed rokiem właśnie i w téj samej porze, gdy z ust mych wyznanie to słyszysz...

Starzec popatrzał na syna błędném okiem, twarz mu się wykrzywiła jakąś straszną goryczą; chciał coś przemówić i do mowy usta otwarł, ale nagle sił mu zbrakło... Na miejscu skołał.



POCIE FRANIE.



O CIOCIE FRANIE.

I.

Niejeden człowiek po skończeniu uniwersytetu
założył ręce i myślał:

— No, a cóż teraz?

Taki najczęściej się ożeni, i... nie chcąc klepać mniejszej biedy w pojedynkę, klepie większą samowtór.

W takim właśnie położeniu znalazł się pan Kazimierz Malinowicz. Skoro tylko ukończył studia, odważny ten człowiek uważał sobie za najpierwszy obowiązek pójść do ołtarza z Andzią, panią swojego serca od pierwszego kursu.

Poznali się przy pracy. W domu zamożnej rodziny ona była nauczycielką córek, on—korepetytorem synów, uczęszczających do gimnazyum.

Kazimierz od pierwszego spojrzenia zakochał się w czarnookiej brunetce Andzi, a taką miał jakąś szczególną naturę, że za nic w świecie nie byłby wyznał przed bogdanką swoich uczuć. Dostyc mu było tego, iż ją widywał parę razy na

dzień, przychodząc na korepetycye i odchodząc; bo zawsze się jakoś spotykali,—zapewne dzięki rozkładowi mieszkania swoich chlebodawców. Czasami téż w sobotę, po odbytych korepetycyach, pani domu łaskawie zapraszała Kazimierza na herbatę; wtedy to młodzieniec ów miewał sposobność rzucenia nieskończenie wielkiej ilości spojrzeń na pannę Annę. Niektóre z tych spojrzeń były bardzo długie—starczyły za dwadzieścia i trzydzieści spojrzeń przelotnych; inne znowu były krótkie, ale tak znaczące, że obstawały za parę długich. Niekiedy Kazimierz i Anna rozmawiali nawet ze sobą, podczas takiej herbaty, rozmawiali—rozumie się—o rzeczach naukowych: o Numie Pompiliuszu, o trzydziestoletniej wojnie, o religijném prawodawstwie Konfucjusza i t. d; w takich rzeczach musieli sobie patrzeć w oczy.

Andzia była sierotą, a w dodatku osobą okrutnie zbiedzoną przez pracę pedagogicznego zawodu, który to sztandar dziewczyna owa nosiła bardzo wysoko, szcząc się swoim powołaniem. Kazimierz miał na całe utrzymanie dwanaście rubli, pobieranych miesięcznie za korepetycye. I takim chce się kochania!...

Spojrzeń studenta dziewczyna nie unikała, nie lekceważyła ich; on czuł, że każdy jego rzut oka znajduje jakieś ogromnie przyjemne, ciepłe pomieszczenie w duszy Andzi. Wie się o takich rzeczach, gdy się jest młodym. On miał lat dwadzieścia pięć, ona—dwadzieścia, jak obszył. Mniej

często, lecz za to bardziej ukradkowo, więc dobitniej, zpod czarnych brwi Andzi wypadały magnetyczne połyski, wielce podobne do świetnych promieni gwiazdy Syryusza; były one przyczyną tego, iż Kazimierz w danym razie nie odczuwał smaku herbaty ze śmietanką, a zamiast smacznego butersznita, można mu było podać kawalek waty.

Rzecz szczegółna! Zaraz po ostatnim egzaminie i na ostatnim kursie, kiedy Kazimierz powracał do domu, ażeby się nareszcie wypaść za wszystkie czasy, naraz około kościoła Świętokrzyskiego spotkał Andzię, która właśnie szła odwiedzić chorą ciotkę, mieszkającą aż przy ulicy Wiejskiej.

Kazimierz był filologiem; każdy filolog jest idealistą, a każdy idealista jest mniej lub więcej zabobonny. Spotkanie Andzi po ostatnim w życiu egzaminie, jakkolwiek istotnie nie miało w sobie nic nadnaturalnego, wydało się filologowi faktem nadzwyczajnym. W późniejszym już czasie myślał on o tém daleko więcej, aniżeli o różnych bradzo zajmujących aorystach i o wyrażeniach, jeden jedyny raz u Homera spotykanych.

A jak nie miał myśleć, kiedy zanim zpod kościoła Świętokrzyskiego przybyli na ulicę Wiejską, on jęj wyznał swą miłość, oświadczył się i został bez wahania przyjęty.

Para narzeczonych odwiedziła teraz chorą ciotkę Andzi, gdzie wizyta ich trwała dłużej, niż to

było postanowione w pierwotnym planie. Ona powróciła późno do swych wysokich obowiązków guwernantki, on się nie wyspał po egzaminach i już odtąd przez długi czas wcale spać nie mógł.

Szczęście tak samo jak cierpienie ze snu wybija człowieka. Przypuszczamy, że nie tylko on, ale oboje téj nocy nie spali.

Andzia przez cały tydzień, codziennie o jednej godzinie, odwiedzała chorą ciotkę, Kazimierz téż codziennie spotykał Andzię przy Świętokrzyskim kościele i razem chodzili w odwiedziny do ciotki. W domu, gdzie panna Anna była nauczycielką, poczęto się dziwić temu nagłemu wybuchowi jéj uczuć przywiązania dla ciotki, niedobrze się zapatrywano na to opuszczanie stanowiska i zaniedbywanie obowiązków; panienki nie miały się przy kim egzer cytować w muzyce, z czego znowu metr muzyki był bardzo niezadowolniony.

To wszystko sprawiło, iż pani domu zrobiła najprzód pannie Annie lekką wymówkę; gdy atoli guwernantka, pomimo to, znowu późno do domu wróciła, wtedy pomiędzy rodzicami zamożnej rodziny miała miejsce następująca rozmowa:

— Trzeba koniecznie zmienić guwernantkę, ta się już zupełnie popsuła! Zawsze tak bywa, jeżeli się ludzi zbyt dobrze traktuje—powiedziała pani domu.

— Więc zmień, kiedy chcesz!—odrzekł poważnie ojciec rodziny.

I zaraz na drugi dzień, dano pannie Annie do

zrozumienia, iż z powodu rozmaitych względów usługi jej są nadal niepotrzebne w zamożnej rodzinie.

W kilka dni potem Andzia zabrała swoje manatki i wyniosła się na mieszkanie do chorąg ciotki, która po zmarłym mężu, urzędniku, pobierała jakąś szczupłą emeryturkę. Atoli ta utrata posady guwernantki przyspieszyła dzień ślubu.

Młodzi szybko idą naprzód, zarówno do szczęścia jak i do cierpienia.

W parę miesięcy umarła też i schorowana ciotka, pozostawiając swój siostrzenicy w spadku stare meble i bibliotekę, złożoną z kilku starych kalendarzy, dwóch ksiązek do nabożeństwa oraz jednej książki kucharskiej.

Wszelkim nowożeńcom dobrze jest mieszkać w jednej ciasnej izdebce. To nie stanowi biedy. Młode i przybiedzone organizmy jeść też dużo nie potrzebują, zwłaszcza w epoce gorącej miłości.

A z tém wszystkiém bięda zaczyna się od chwili nieuiszczenia pierwszego komornego i od pierwszego braku rzeczy, zjeść się dającój.

Kazimierz, jako nauczyciel, nie miał zarobku, bo gdy on się oddawał uczuciom miłości, inni myśleli wtedy o chlebie i wszystkie prywatne szkoły w Warszawie obsadzone zostały w zupełności naukowym proletaryatem, pożądlwym zarobku. W szkołach rządowych nie wakowała też żadna posada, co mu dano do zrozumienia wyraźnie i niejednokrotnie. Zresztą, pamiętajmy, iż nauczycieli greki

oraz łaciny ludzkość znowu zbyt namiętnie nie pożąda.

Wiedział o tém Malinowicz i zabrał się gorliwie do studyów nad historią, która dla nauczyciela pod każdym względem stanowi o wiele wdzięczniejszy przedmiot, niż języki klasyczne. Tymczasem trzeba było żyć, a żyjąc—jeść, choćby umiarkowanie. Przenosiły się więc z biblioteki filologa różne piękne wydania klasyków, które Kazimierz niegdyś skupował, skąpiąc sobie łyżki strawy. Barbarzyństwem mu się wydawała zamiana Homera i Demostenesa, Tacyta i Cycerona na wółwinę, cielęcinę, baraninę, chleb i bułki; ale nie było innój rady. I to także musiało mieć swój koniec, i to się wyczerpało.

Wkrótce po wyjściu za mąż Andzia przestała być zdrową; na szyi pojawiły się jój jakieś obrzęknięcia, a w gardle duszności; uskarżała się na ściskanie serca i utrudnione oddychanie; opuszczały ją niekiedy siły, doznawała bólu głowy i t. d. Młoda małżonka wcześniej już poczęła mątyczyć, narzekała na brak lektury, ponieważ książki męża były dla niej nieprzystępne, a gazety jakiejśbądź nie mieli znów za co zaprenumerować.

Kazimierz z bólem serca zabrał się wtedy do ostatniego swego skarbu, słowników greckich Papego, poniósł je jako kaucyą do czytelni i zaabonował dla Andzi książki. Swoją drogą u znajomego dystrybutora wyrobił sobie pożyczkę przeczytanych już numerów *Kuryera*.

Przy czytaniu szybko czas upływał małżonkom; ale⁷ dola ich się nie zmieniła.

Nadchodziła zima, w izdebce było chłodno, Andzia ciągle kwękała i przez większą część dnia pozostawała w łóżku. Wielki nieład panował w szczuplutkim zakątku nowożeńców; wszędzie pełno było kurzu, śmieci, a różne graty zastępowały ci drogę i zawałyły kąty. Przy takiej biedzie trudno utrzymywać stałą służącą.

Większą część mebli, pozostałych po ciotce, sprzedał Kazimierz, aby opłacić zaległe komorne. On sam nastawiał w domu samowar, przynosił z miasta węgle, cukier, serdelki, bułki. I tak to małżeństwo żyło z dnia na dzień.

Pożyczane numera *Kuryerka* chwycił teraz nasz filolog z chęciwością; wszystkie ogłoszenia odczytywał on od deski do deski, zwłaszcza téż dział ich, dotyczący „pracy i posad.” Ilekroć anons zaczynał się od słów: „Potrzebny jest człowiek zdolny...” Kazimierzowi poczynało bić gwałtownie serce; ale wnet się uspakajał, kiedy wyczytał w dalszym ciągu: „technik, mogący być pomocnikiem dýrektora cukrowni;” — albo: „galwanizer, obeznany dokładnie z galwanizowaniem elektryczną maszyną”; lub znowu: „guwerner, mówiący biegle po niemiecku i po francuzku” i t. d.

Dopóki czytał te ogłoszenia, żył nadzieją, że znajdzie coś dla siebie; kiedy czytanie skończył, doznawał wrażenia, jak gdyby mu się góra waliła na głowę.

— Tyle różnych posad!—Zawołał raz z westchnieniem. I ani jednej niema dla mnie!

— Ah, bo téż ty, Kaziu, wybrałaś sobie szczególny zawód! Odezwała się z łóżka Andzia, a w głosie jój niemile dźwięczał wyrzut.

Zabolało to Kazimierza, westchnął, jak gdyby potwierdził, że żona ma słuszość. On daremnie wyczekiwał, czy ktoś w dużém mieście nie zapotrzebuje nauki greki, łaciny lub historyi, bo tyle tylko ten człowiek miał do sprzedania. Życie przyniosło mu potrzeby nieublagane, a on ich nie mógł zaspokoić, choć stracił piętnaście lat życia na naukę, na pozyskanie sobie sposobu do życia.

Tymczasem gorzkiała stopniowo i Andzia, a w duszy jój poczęło kielkować podejrzenie, czy mąż nie jest przypadkiem zbyt mało uzdolnionym człowiekiem, ażeby podolał zadaniu utrzymania rodziny.

— Gdybym była zdrową — myślała — wzięłabym się bodaj do prania bielizny, a przecieżbym i tak zarobiła na wyżywienie dwojga ludzi.

Malinowicz znowu w zgnębieniu swém tak myślał:

— Przez ośm lat pobytu w gimnazyum dosta wałem nagrody z każdéj klasy; wszyscy przepowiadali mi świetną przyszłość, a ja teraz już oto jeść co nie mam wraz z żoną... Cóż u dyabła, znam przecież ludzi, których dla braku zdolności usunięto z trzeciéj klasy!... Jeżdżą oni dzisiaj powozami, a jak przepysznie wyglądają ich żony...

— Żebyś ty, kochanku, zgłosił się do jakiej fabryki — odezwała się raz z łóżka stękającym głosem Andzia. Powiadają, że dzisiaj buchalterya ogromnie popłaca... Przecież jakieś tam zapisywanie dochodów i rozchodów nie może być trudne dla ciebie...

Kazimierz kiwnął głową. Buchalterya kręciła mu się w umyśle, niby ciekawy sfinks, jakiś *Deus ignotus*, który dziś właśnie popłaca.

— Rzeczywiście, umiałbym chyba zapisywać dochody i rozchody, jeżeli to tylko ma stanowić buchalterya...

Wieczorem przyniósł od dystrybutora numer *Kuryerka* i jak raz wyczytał:

„Do prowadzenia znacznego interesu, poszukuje się inteligentnego i uzdolnionego buchaltera.”

■ Zaledwie odczytał ogłoszenie, złożył gazetę, wziął kapelusz i chciał wyjść.

— Kaziu, dokąd idziesz?—zapytała Andzia.

Malinowicz rozłożył gazetę i palcem pokazał żonie ogłoszenie o buchalterze.

— Ależ, bój się Boga, nie wychodź tak późno!... Kiedy się zostają sama jedna w tej pustce, ogarnia mnie niepokój i strach jakiś.

Mąż spoglądał na żonę wzrokiem ciężko zamyślonego, a ona znów rzekła:

— Gdzieżby ci też w nocy chciał kto dać posadę?... Oj, Kaziu, jakiś ty niepraktyczny!

Ten wyraz — *niepraktyczny* wyrwał filologa z zamyślenia, zbudził w nim nowe pojęcia i wy-

wołał nowe uczucia z charakterem przykrym. Kazimierz przyjrzał się teraz żonie bystro i spostrzegł jakiś wyraz żalu czy zawodu na jój lieu; zdawało mu się, że ona chciała powiedzieć:

— Widzisz, skazałeś mnie na ostatnią nędzę!... Przecież ja zawsze jeść co miałam. Jestem znękana, cierpiąca, brak mi wszystkiego!

Na tę myśl zabolał ciężko, usiadł przy żonie wziął jój rękę w swoje dłonie i począł okrywać pocałunkami. Ręka Andzi była zimna, jakby pozabawiona życia; na twarzy igrał jakiś omdlewający sarkazm, niby ironia rozkapryzonego dziecka.

Wstał, wyjrzał oknem i przy oknie się zadumał. Noc była ciemna, a ta okoliczność przypomniła mu nieszczęścia Eneasza, przygody Odyseusza i spalenie Troi.

Wnet jednak powrócił do rzeczywistości; przypomniał sobie wyrzut żony, że jest niepraktyczny, a słyszał był nieraz w życiu, iż niepraktyczność prowadzi do nędzy... Opadły mu ręce, czuł się zgnębionym.

Wziął porzucony numer *Kuryerka* i czytał dalej inne ogłoszenie, które brzmiało:

„Do interesu handlowego poszukuje się młodzieńca z piękną kaligrafią.”

— Andziu, czy ja piszę kaligraficznie?—zapytał żony.

— Skądże ja to mam wiedzieć?—odrzekła zapytana—pobraliśmy się przecież w sposób tak oryginalny, żeś nawet listu ze mną nie zamienił.

— To prawda — pomyślał — ona zupełnie nie wie, jak ja piszę.

Podszedł więc do stolika, umaczał pióro i zaczął się podpisywać, jak tylko mógł—najkaligraficzniej: „Kazimierz Malinow”... W tém posłyszał na łóżku łkanie; rzucił pióro i poszedł do żony, która płakała.

— Na miłość Boga, co ci jest Andziu?

Ale nie otrzymał odpowiedzi, tylko łkanie rozległo się po izbie.

— Aneczko, moje dziecko, nie smuć się! Czego płaczesz?... Los nasz poprawi się niezawodnie, przecież z głodu nie pomrzemy... Chwilowy niedostatek przeminie.

Z temi słowy ujął rękę żony, okrywając ją serdecznymi pocałunkami. Ale ona usunęła rękę i łkała jeszcze głośniej, wylewała łzy obfite. Płacz kobiety stawał się coraz silniejszy, Kazimierz niepokoił się coraz bardziej. Przytulił swą głowę do ust Andzi; lecz ona odsunęła się od niego i naraz wybuchnęła spazmatycznym płaczem, który ją prawie podrzuceł na łóżku. Zgnębiony, porwał szklanekę z wodą i oblał płaczącą żonę.

— Co robisz? — zawołała z niecierpliwością—nie chcę, nie chcę!

Przestała atoli płakać, odwróciła głowę do ściany i wnet zasnęła...

Kazimierz uczuł, iż go siły opuszczają; strapienie rozpostarło się w duszy i czyniło go nieszczęśliwym.

Żona, którą ubóstwiał, okazywała mu jakąś niechęć, obrażała jego miłość własną, robiła wyrzuty, tém dotkliwsze, że delikatne.

— Oh, gdybym ja mógł znaleźć jakiegokolwiek zajęcie!—myślał i cicho usiadł przy stoliku; wziął pióro i podpisał się kaligraficznie; potem mimowoli napisał wyraz „szczęście...” Myślał o tém, że Andzię czémś zraził do siebie. Przypomnił sobie, że niegdyś pisywał wiersze i pisał:

Jak kiedy chmura w swą szatę owinie
Bogatą jasność słońca, co z nieba przyświeca,
Tak ci gniew, Andziu, co—jak chmura—minie,
Pokrył na chwilę promieniste lica.
Ta tylko między chmurą a tobą różnica.
Że chmura wyda burzę, albo burzę wróży,
Gniew zaś twój nic nie wyda, a tém bardziej—
[burzy...

Wiersz wydał mu się bardzo złym, więc przekreślił wszystko i potem wymazywał każdy wyraz po szczególe. Na kawałku papieru pozostał tylko jego podpis i wyraz „szczęście,” w który się Kazimierz wpatrywał, myśląc:

— Gdybym ja mógł dostać posadę buchaltera, albo nawet pisarza w interesie handlowym!

Westchnął i znowu pisał drobniutkimi literkami:

Szczęście—to ptaszę o złotém pierzu.
Ono nam z nieba na ziemię splywa
Jak rozrzewnienia łza przy pacierzu;
Umysł pobudza, serce rozgrzewa
I błogosławi...

— Kaziu!... Czego ty nudzisz po nocy?... Sam nie idziesz spać i mnie przeszkadzasz!—odezwał się głos z łóżka. Gdy śpię, nie mogę znieść światła, które bije prosto w oczy.

— Zaraz, zaraz, kochaneczko!—porwał się Malinowicz—zapomniałem zupełnie, że już może być bardzo późno. Niema zegarka w domu, jak to źle!...

Nazajutrz rano Kazimierz pobiegł najpierw pod wskazany w *Kuryerku* adres, gdzie poszukiwano buchaltera. Niebawem stanął wobec samego pryncypała interesu i, czując w sobie dosyć niewyraźnie, iż popelnia jakąś niedorzeczność, rzekł nieśmiało:

— Przybyłem tu przedstawić się... Chciałbym pracować.

— Przeczytałeś pan zapewne moje ogłoszenie w *Kuryerze Codziennym*. Bardzo dobrze — mówił pryncypał.

— Tak jest, ogłoszenie!... czytałem—jąkał się Kazimierz, któremu „uzdolniony buchalter” nie mógł przejść przez gardło—możebym się przydał do jakiego pisanania...

— Ależ, panie, o pisanie tu nie chodzi! Ogłoszenie podałem przecież wyraźne. Potrzebuję uzdolnionego i wykwalifikowanego buchaltera! Jakież są pańskie kwalifikacye?—pytał pryncypał, mierząc przybyłego bystrym wzrokiem.

— To jest... skończyłem wprawdzie uniwersytet—bąkał filolog—ale...

— Uniwersytet, uniwersytet? A jakiż wydział? Coś pan studyował?...

— Ja, szanowny panie, studyowałem języki klasyczne.

— Języki klasyczne? I chcesz pan być buchalterem?... Na Boga, to jakieś nieporozumienie! Musiałeś pan wyczytać inne ogłoszenie i pomieszaleś adresy.

— Nie, panie!... Tylko ja bardzo potrzebuję zajęcia... Zresztą nic się złego nie stało... Jeżeli się pan nie zgadza, to...

— Dobrze panu mówić, że się nic złego nie stało; ale ja co kilka minut muszę przyjmować takich oto kandydatów i najniepotrzebniej czas sobie marnuję od trzech dni.

— W takim razie żegnam pana i mocno przepraszam—rzekł Malinowicz i wyszedł.

Kazimierz, jakkolwiek zrażony niepowodzeniem, udał się teraz znowu pod adres, gdzie potrzebowano człowieka „z piękną kaligrafią”. Szedł z rezygnacją, powątpiewając nawet zrazu po drodze, czy w ogóle umie pisać.

— Przecież mi nikt nie zaprzeczy, że umiem pisać!—pomyślał i skrzepił się w upadłej duszy.

W krótkim czasie znowu stanął przed jakimś pryncypałem interesu, który, nasadziwszy na nos pince-nez, rozpoczął badanie:

— A czy pan pisze także po niemiecku?

— O, rozumie się, piszę, piszę! — odrzekł Kazimierz, akcentując pewność w głosie.

— No, to może na próbę zechce pan coś napisać za mojem dyktowaniem.

Tu podał Kazimierzowi umaczane pióro i ćwiartkę papieru.

— Proszę.

„Unter diesen schlechten Umständen und namentlich auch bei der Unsicherheit der Strassen war es kein Wunder, dass der Handel stockte und vorzüglich der Vertrieb ins Innere gelähmt war. Das fühlte man auch in unserem Comptoir, da drinnen war's oft Wochen lang so still, wie in einer Kirche”.

Pryncypał przerwał dyktando, wziął do rąk zapisany przez kandydata papier, popatrzył i zawołał:

— Zlituj się pan, to przecież nie jest pismo używane w korespondencyach handlowych! Pan wcale pisać nie umiesz; ręka najzupełniej popsuta!... Jezus Marya, u mnie potrzebne coulanteschrift!

I tu pokazał Kazimierzowi jakąś korespondencyą, napisaną bardzo pięknie.

Upokorzony filolog skłonił się nisko i wyszedł, zdawało mu się teraz, iż jest tak mizernym osobnikiem, że, właściwie mówiąc, żyć nie powinien. Przez jakąś krótką chwilę miał chęć iść na most i rzucić się do Wisły, ale myśl ta szybko przeszła mu przez głowę i tylko dobrze strapiiony powrócił do swój Andzi.

— Czy też zrobiłeś, Kaziu, jaki użytek z tych ogłoszeń w *Kuryerku*?—pytała żona.

— Powiem ci, że tym razem nie się nie dało zrobić—odrzekł mąż z pewnym pomieszaniem.

— Zapewne już nie potrzebują... Musiałeś się spóźnić... Czytujemy *Kuryerka* dopiero na drugi dzień po wyjściu i zdaje nam się, że ogłoszenia są świeże, a wszyscy o nich już zapomnieli... Inni ludzie myślą o sobie.

Kazimierz nie miał odwagi wyznać przed żoną, że nie posiada najmniejszych kwalifikacyj, jako buchalter, i że nie umie o tyle dobrze pisać, ażeby go można było w kantorze użyć za pisarza.

— Opowiedz mi też, co się stało? Przecież mnie to także bardzo obchodzi — mówiła Andzia z pewną niecierpliwością.

— Na buchaltera, moja kochanko, potrzeba mieć specjalne wykształcenie — powiedział Kazimierz ze spokojem — ja się na tych rzeczach nie znam i nie mam żadnej praktyki.

Andzia potrząsnęła głową smutnie i uśmiechnęła, jakby z niedowierzaniem.

— No, a co się tyczy téj tam kaligrafii?—pytała nalegająco.

— Ja i do tego nie posiadam odpowiedniego uzdolnienia...

— Żartujesz chyba, mój drogi!... Jakto, żeby człowiek skończył uniwersytet i nie mógł się zdać nawet na pisarza w kantorze?... To nie do uwierzenia!

— Przecież, moje dziecko, ja mówię szczerą prawdę przed tobą—rzekł Kazimierz.

— Spodziewam się!... Ale cóż tam z téj prawdy.

Z temi słowy poczęła szukać pod poduszką chustki do nosa. Kazimierz spojrział na żonę i spostrzegł, że po twarzy jęj spływają obfitych łez strumienie. Ona otarła oczy, a potém zasłoniła je obiema dłońmi. Niebawem rozległo się w izdebce szlochanie, a później łkanie podobne do wczorajszego.

Malinowiczowi zrobiło się jakoś markotno, pomyślał że zadrasnął serce żony wyznaniem swęj nieudolności, wspomniał, iż jest chora i podszedł, aby ją uspokoić. Jednakże usiłowania jego były daremne, kobięta zanosila się od płaczu. Pieszczoty, uprzejme słowa na nic się nie zdały. W godzinę może łkanie jednak ucichło, Andzia była spokojna, milcząca.

Kazimierz kręcił się po mieszkaniu, szukając jakiego sprzętu, któryby można było sprzedać i za tę cenę zaopatrzyć dom w środki do życia. Gdy nic nie znalazł, otworzył szufladę stolika, skąd wydobyl pudelko ze złotym medalem, nagrodą za wieloletnią pilność w przykładaniu się do nauk gimnazyalnych. Wziął to i wyszedł.

Kiedy powrócił z pełnemi kieszeniami szynki, bułek i ciastek, zastał żonę ubraną i przygotowaną, jakby do wyjścia na miasto.

— Andziu, co to znaczy?—zapytał zdziwiony.

— Jedno z nas dwojga koniecznie musi mieć energią!—rzekła stanowczo żona. Idę na miasto i nie wrócę dopóty, póki nie znajdę zajęcia.

Pod Kazimierzem nogi się ugięły, Andzia zrobiła mu zarzut braku energii, jemu, co swój męzki charakter urabiał na dzielnych rzymskich i dzielniejszych jeszcze greckich wzorach ludzkości... Daremnie błagał, zaklinał, aby szanowała wątłe zdrowie, nie nie pomogło; kobiéta się uparła i postawiła na swoim—wyszła.

Przed wieczorem Andzia powróciła, była niezmiernie zmęczona; ale na twarzy widać było ożywienie, a na ustach miły uśmiech. Kiedy ją mąż zapytał, gdzie się obracała, ona go pocałowała w czoło i rzekła:

— Za kilka dni obejmę miejsce w fabryce kopert... Jabym tak pragnęła nie być dla ciebie ciężarem, boś ty, mój jedyny, bardzo biedny.

Pomimo niedoli, wieczór ów zszedł mieszkańcom izdebki nadzwyczajnie przyjemnie; młodzi małżonkowie rozmawiali głośno, śmiali się, wspominając różne wesołe zdarzenia z przeszłości.

Nazajutrz Andzia skarżyła się na brak sił oraz bicie serca i przez cały dzień pozostała w łóżku.

Czas upływał, Kazimierz ciągle poszukiwał miejsca, posada Andzi w fabryce kopert nie przychodziła do skutku, a biéda trwała i trwała.

Pewnego dnia Malinowicz, doprowadzony już prawie do rozpacz, powrócił do domu z nume-

rem *Kuryerka* i na samym wstępie ogłoszeń wyczytał, co następuje:

„Poszukuje się nauczyciela, któryby dwom dorastającym paniąkom mógł udzielać lekcyj Historji i Literatury powszechnój.”

— Przecież! Zawołał Kazimierz, porywając się ze stołka. „Przecież znajduję zajęcie, które jest dla mnie odpowiedniejsze... Idę natychmiast; oby mnie tylko już kto nie uprzedził!

— Mógłbyś się zatrzymać do jutra! Rzekła Andzia, odczytawszy ogłoszenie i jakby niezadowolniona z jego treści.

— O, mój aniołku, nie, nie mogę już czekać. Nie mam jednej chwili do stracenia... Gotów jestem iść, choćby o północy.

Zaledwie to wypowiedział, a już chwycił pomięty kapelusz i pędził szybko po schodach, trzymając w ręku numer „*Kuryerka*”. Po drodze układał sobie plan, według którego należałoby prowadzić takie lekcye; odezwał się w nim filolog i nauczyciel. Sam nie wiedział, kiedy przybył w Aleje Jerozolimskie, sprawdził numer domu i, jak szalony, wbiegł na pierwsze piętro.

— „Panie, panie!”—Wołał za nim szwajcar.— A do kogo to?

Ale Kazimierz nie wiedział, do kogo idzie, pamiętał tylko numer mieszkania. Zadzwonił, wyszedł do niego lokaj, człowiek bardzo poważny i uprzejmy.

— Zechciej mnie pan zameldować: Kazimierz Malinowicz, nauczyciel.

Służący niebawem powrócił, mówiąc:

-- Proszę pana.

Kazimierz wszedł do bardzo pięknego saloniku, umeblowanego wytwornie, gdzie niedługo pozostawał w samotności; przez boczne bowiem drzwi przybyła tutaj bardzo piękna kobieta, będąca mniej więcej w wieku jego Andzi; wdziękom téj damy dużo uroku dodawała jakaś majestatyczna powaga i wykwintna godność w całym zachowaniu się. Rozmowa niebawem weszła na temat wychowania, a młody filolog umiał w wychowaniu oznaczyć wartość historyi. Przedstawiał on młodej kobiecie, że dzieje ludzkości są rezultatem licznych a rozmaitych czynników fizycznych i duchowych, które, współdziałają w najrozmaitszych skojarzeniach, częstokroć utajonych dla oka. Wszystkie siły człowieka, jego przymioty i wady, stosunki do bliźnich i do przyrody,—cała działalność na rozlicznych polach odbija się w historyi. W historyi — mówił Malinowicz—naucza się prawd, może prawd nie wszystkich, ale *tylko* prawd... Win ludzkich nie należy tu upiększać, ani o nich milczeć, zasług nie godzi się przesadzać, ani ich wyszukiwać, jeśli nie istnieją. Piękna dama widocznie interesowała się zadaniami wychowania dzieci, gdyż postawiła Kazimierzowi szereg pytań, dotyczących metody nauczania.

— Że przeciążanie pamięci dzieci materyałem naukowym nie przynosi korzyści ich umysłowi i sercu, o tém dowiedziałam się już dawno — mówiła — ale oświeć mię pan, czy dobrze postępowałam dotychczas, biorąc za punkt wyjścia dzieje ojczyste i nauczając moje dziewczęta historyi innych narodów o tyle, o ile ona ma związek z dziejami naszego narodu.

— Niektórzy nauczyciele postępują w ten sposób — odrzekł Malinowicz — jednakże, mojem zdaniem, robi się tu krzywdę celom wychowawczym, ponieważ dzieci nie mogą się przyjrzeć temu, co jest największe i najpiękniejsze w całych dziejach. Na stopniu elementarnym, należy nauczać historyi biograficznie; uczniom, będącym w wieku dojrzałym, trzeba dać systematyczny wykład zarówno dziejów powszechnych, jak i ojczystych.

Kazimierz, zwykle nieśmiały i milczący, rozmawiał z tą panią, jakby to był jego kolega z jednej ławki. Poglądy jego widocznie się podobały.

— Pozwoli pan sobie przedstawić przyszłe swoje uczennice, rzekła piękna pani i z temi słowy wyszła.

Malinowicza mimowoli oblegała myśl:

— Kto może być ta pani, która się zajmuje wychowaniem dorastających panienek?.. Przecież matką dorastających córek być nie może, widać to wyraźnie ze wszystkiego...

Niebawem przybyły do salonu dwie panienki, bardzo miłutkie i uprzejme. Jak się z przedstawienia okazało, jednej z nich było na imię Zosia, drugiej — Kazia; wyglądały prawie jak jednolatki w wieku 12-tu—14-tu lat. Z zachowania się tych dziewczątek przebijało staranne wychowanie, co wywarło miłe wrażenie na Kazimierza.

Po skończonej konferencji Malinowicz, niezmiernie uszczęśliwiony, powrócił do domu i tu z ogromnym zapałem opowiedział żonie o pozyskanych lekcjach, opisał jej barwnie piękną damę, przysze swoje uczenice, dosłownie prawie powtórzył całą rozmowę i zakończył, iż nazajutrz o 10-ój rano ma rozpocząć owe pożądane lekcye.

— A ja sobie wcale tego nie życzę, żebyś przyjął obowiązki, o których mówisz!—zawołała Andzia, w oczach której Kazimierz po raz pierwszy spostrzegł jakiś dziwny ogień.

— Bój się Boga, kobyto, co ty mówisz? rzekł mąż w widoczném przerażeniu. Z głodu umrzemy, lada dzień nas wyrzucą z mieszkania, jeśli się nie opłaci komornego, a ty mi chcesz przeszkadzać w pracy jedynj, obiecującej znaczny zarobek?..

— Ja chcę tego tylko, żebyś ty pracował właściwie! powiedziała żona z naciskiem, podnosząc się i siadając na łóżku. Za nic w świecie się nie zgodzę na to, abyś dawał lekcye jakimś kobietom, któremi się zachwycasz!.. Gdy

to mówiła, oczy jój się zaiskrzyły jeszcze bardziej.

Wnet jednakże, powstrzymując się, jakoby przekładała mężowi.

— Przecież ty powinieneś nauczać chłopców; podobno w tym celu kończyłeś uniwersytet.

— Ależ ja żadnych, żadnych lekcyj dostać nie mogę!.. Głową nie przebiję muru i zginę, jeżeli w wyborze będę wybredny, jeżeli mi ty nawet będziesz stawiała przeszkody!..

— Nie zginiesz! zawołała stanowczo Andzia. To miejsce w fabryce kopert z pewnością mi nie minie!.. Zginiemy oboje, jeżeli przyjmiesz lekcye, o których mi opowiadałeś przed chwilą.

Kazimierz czuł wielką stanowczość w głosie żony, popatrzył na nią smutnie, wstrząsnął głową i usiadł przy stoliku z zamiarem opracowywania lekcji historii...

— Kaziu!—odezwała się Andzia — ty lekceważysz moje zdanie, tak być nie może; musisz mnie wysłuchać! Ja mówię zupełnie seryo: lekcji nie będziesz udzielał tym pannom!

Malinowicz złożył książkę, wstał od stolika i przystąpił do żony, patrząc jój prosto w oczy; myślał zaś wtedy o swoim zadaniu nauczyciela historii.

— Słucham cię!—rzekł—mów!

— Jak ty się na mnie brzydko patrzysz — zawołała Andzia — ty mnie musisz nienawidzieć! Poznałeś kobiety piękniejsze odemnie i porówny-

wasz je sobie ze mną... Przecież i mnie się mógł niejeden podobać!... Po co mamy tak żyć?... Powiedz jedno słówko, a zaraz się rozejdziemy; ja dziś jeszcze przyjmę te obowiązki w fabryce kopert.

Kazimierz ocknął się z jakiegoś głębokiego zamyślenia, w którym był pogrążony i nie dosłyszał połowy tego, co żona jego mówiła; pochwycił tylko uchem ostatnie wyrazy—„w fabryce kopert” i powiedział:

— W fabryce kopert... W fabryce kopert... Tak jest, w fabryce kopert nie znalazłaś zajęcia, ponieważ jesteś bardzo poważnie chora... Ja jestem jednak zdrow, znalazłem leky; ale ty nie chcesz...

— Co ty wygadujesz, Kaziu? Ty nie słyszysz co ja mówię!... Rozwiędę się z tobą, a nie zniosę abyś uczył kobiety, które ci się podobają, którym będziesz mógł prawić grzeczności, jakkolwiek masz żonę... Może im nawet nie powiesz, żeś żonaty?...

Powiedziawszy to, Andzia, jakby ją wzruszenia wyczerpały, padła na poduszkę i rozgłośnie lkać poczęła. Były to głosy niezmiernie przykre dla ucha, podobne do krztuszeń dławiącego się człowieka. Naraz porwała się, znowu usiadła na łóżku i, jęcząc, nieruchomemi oczyma patrzyła przed siebie.

Kazimierz, przelękły rzucił się do żony i błagał ją, aby się uspokoiła, całował jej ręce, tulił do piersi głowę. Jakoż, po jakimś czasie roz-

drażnienie snadź ustąpiło, Andzia przysła do siebie. Teraz zarzuciła mężowi ramiona na szyję i, patrząc mu tkliwie w oczy, rzekła:

— Czy ty mnie istotnie kochasz?

— Jesteś zepsute dziecko! — zawołał Malinowicz—rozpieściłem cię, moja ty jedynaczko...

— No przysięgnij mi, że tych lekcyj nie przyjmiesz—nalegała pieszczotliwym głosem.

— Ah! Nie przyjmę, już nie przyjmę! Uspokój się—powiedział zniewolony pieszczotami małżonki.

— Przysięgnij na wszystko, co ci było, lub będzie kiedybądź drogie!

Kazimierz chwilę pomyślał, potem rzekł:

— Przysięgam ci na honor mężki. A w głębi siebie słyszał głos, który mu niejako wyrzucał popełnienie niedorzecznego czynu.

— Wierzę ci! — mówiła Andzia — a pochwycawszy rękę męża, okryła ją pocałunkami.

W małą chwilę potem odezwała się znowu:

— Kaziu, napisz do téj pani grzeczny list z przeproszeniem, iż lekcyj przyjąć nie możesz, pomimo umowy...

— Prawda! Ja jój przecież zrobiłem zawód... Tak jest, należy napisać.

Malinowicz usiadł przy stoliku i napisał:

„Z przykrością muszę zawiadomić Szanowną Panią, iż w domu Jój nie mogę przyjąć ofiarowanych sobie lekcyj historyi i literatury powszechnéj, a to z przyczyn, które odemnie zupełnie nie zależą”.

Następnie list ten odczytał żonie, która rzekła:

— Bardzo dobrze, bardzo właściwie!... Teraz, kochanku, włóż list w kopertę, zaadresuj i wyślij zaraz przez posłańca.

— Ah, ja nie wiem nazwiska téj damy! — zawołał Kazimierz, uderzając się w głowę — a w głosie jego mimowoli brzmiało jak gdyby zadowolenie, iż list nie może być wysłany.

— Żeś téż nie zobaczył nazwiska w spisie lokatorów, lub nie zapytał szwajcara — powiedziała Andzia, niezadowolniona z takiego obrotu sprawy.

— Nic się złego nie stało — rzekł Kazimierz — pójdę do tego domu, dowiem się o nazwisku, zaadresuję list u szwajcara i zaraz go tam zostawię.

— Dobrze, więc zrób tak! — odpowiedziała żona...

Kazimierz wyszedł na ulicę; idąc, rozmyślał z niejakim żalem, iż utracą oto korzystną i prawdopodobnie bardzo przyjemną lekcję. Potém znowu rozważał, że zależność mężczyzny od kobiety w nowożytnej cywilizacji jest wielce uciążliwą i tamuje rozwój samodzielności płci męskiej. Jako filologowi, mimowoli przypomniał mu się ze starożytności przykład stosunku Sokratesa do Ksantypy i wspominał sobie, że wielki ów filozof nie zważał na kaprysy żony, robił wszystko, co mu się podobało, jakkolwiek oporność żony miała być znaczna na tym punkcie.

— Gdybym téż nie posłuchał Andzi i lekcye przyjął? Postąpiłbym sobie jak Sokrates... Prze-

cież to wierutne głupstwo wyrzekać się pracy, kiedy się potrzebuje zarobku! Ale Andzia nie ustąpi, niema co o tém myśleć... Chybabym lekcyj tych udzielał bez jój wiedzy—przystanął na ulicy, ważąc w umyśle myśl swoją. Cała jego natura miała wstręt do kłamstwa, a chęć kłamstwa wypływała na wierzch i pragnęła panować.

— Przysiągłem jój na miłość!—wspomnił sobie i wydało mu się, że jest bardzo tkliwym mężem. Ale niebawem począł w duszy krytykować wszelkie wymuszone przysięgi. Ona jest cierpiąca, zdenerwowana; gdyby była zupełnie zdrową, nie wymagałaby przecież odemnie tój przysięgi tak niedorzecznej. Ja musiałem jój zrobić ustępstwo przez wzgląd na stan zdrowia... Pójdę jednakże, dowiem się, jakie jest nazwisko tój pani.

Tak prowadząc rozmowę sam ze sobą, nie wiedział nawet, kiedy wszedł w Aleje Jerozolimskie. Przez krótką chwilę zatrzymał się przed znanym sobie domem, przestąpił próg bramy i począł rozpatrywać listę lokatorów. Właśnie odczytywanie listy doprowadził do numeru trzeciego i wyczytał imię „Franciszka”... kiedy wszedł mu w drogę szwajcar i zapytał:

— Do kogo to?

Kazimierz sam nie wiedział, co odpowiedzieć; nie wiadomo dlaczego zdawało mu się, iż ma w duszy pełno tajemnic, których przed nikim zdradzić nie powinien. Gdy się tak jąkał w zakłopotaniu, szwajcar powtórzył pytanie w sposób

niezbyt grzeczny. To już rozgniewało Malinowicza i odrzekł:

— Powinieneś pan być grzecznym! Do kogo tu przychodzę, to rzecz moja.

— Ja od tego jestem, ażebym wiedział, do kogo kto przychodzi! To mój psi obowiązek — odparł szwajcar.

— Prawda — pomyślał Kazimierz, chłodnąc w gniewie — czemu ja się rozgniewałem na niego, kiedy on swą powinność pełni?

Wtém tuż na schodach za szklannymi drzwiami dał się słyszeć szmer i głośne rozmawianie, z którego Kazimierz posłyszał najwyraźniej parę razy powtórzone słowa:

— Ciocia Frania... Ciocia Frania mówiła... Pytałam się cioci Frani...

Szklanne drzwi się roztwarły i ze służącą wybiegły dwie panienki, zdążając na ulicę. Były to właśnie dziewczęta, które Malinowiczowi niedawno przedstawiano jako przyszłe uczenice. Na ten widok Kazimierz zmieszał się bardzo, jednakże zdjął kapelusz i oddał ukłon przechodzącym dziewczętom. A one wyszły rażno na ulicę, skąd przez otwartą bramę dało się jeszcze słyszeć:

— Ciocia Frania...

— Ah, więc pan znajomy z panią Wieliszewską! — zawołał szwajcar, uprzejmie zdejmując czapkę i na bok się odsuwając — gdybym to był wiedział, nie pytałbym wcale; ale skoro tak, mo-

że pan teraz chodzić po tym domu wszędzie i ile się podoba...

— Oddać list, czy nie oddać? — stawił sobie Kazimierz w myśli pytanie—a trzymając w kieszeni surduta rękę, palcami list miętosił.

I wyszedł na ulicę jakiś nie swój, może niezadowolniony, iż go panienki spotkały przed listą lokatorów i w sporze ze szwajcarem. Zaledwie uszedł kilka kroków, kiedy sobie przypomniał, że ma zamówioną lekcją na jutro rano o dziesiątej... Andzia wie, że taka stała umowa. Może byłoby najlepiej rozmówić się osobiście z tą damą, osobiście ję odmówić, rzec się lekcji; albo, jeżeli tych lekcji ma udzielać w tajemnicy przed żoną, to i tak trzeba oznaczyć inną godzinę... Więc może wstąpić na pierwsze piętro? Nie wypada. Czemu nie wypada?... Iść—nie iść?

Wyraźnie go coś ciągnęło, aby iść. Przed bramą jeszcze się zawahał, jak gdyby sobie nogą nogę przystąpił; wszedł w bramę, gdzie mu się szwajcar grzecznie i z uśmiechem uklonił. Cofać się jakoś nie wypadało, wpadł więc machinalnie w drzwi szklane, wiodące na schody; nie zauważył pierwszych schodków i potknął się, o mało nie upadł. Potem pędził już na pierwsze piętro bez żadnej pamięci na wszystko. Zadzwoił i gdy się rozległ głos dzwonka, żal mu było, że tu przyszedł. Posłyszał w przedpokoju szelest; służący drzwi otworzył, mówiąc:

— Ah, to pan! Dobrze, zaraz dam znać pani. I poprowadził Kazimierza do saloniku.

Malinowicz rozejrzał się, słyszał wyraźnie, że mu serce głośno bije i pytał sam siebie w duszy, dlaczego jest taki niespokojny. W różnych pokojach zegary poczęły bić trzecią godzinę. Kazimierz przypomniał sobie, że Andzia musi być głodna i że on sam nie miał nic w ustach od rana, oprócz szklanki czystej herbaty; uczuł więc w sobie niecierpliwą chęć prędkiego powrotu do domu. Naraz dał się słyszeć szelest, jaki sprawia zwykle suknia kobiety, i we drzwiach przyległego pokoju stanęła znana nam już dama. Piękna kobieta nigdy nie wydaje nam się tak piękną przy pierwszym widzeniu, jak przy następnych spotkaniach. Malinowicz bezwiednie wpatrzył się w przybyłą, zapomniał powstać z krzeselka; ale wnet potem zerwał się jakoś tak raptownie, że młoda niewiasta spojrzała na niego z pewnym zdziwieniem.

— Przybyłem przeprosić panią, ponieważ się przekonałem, iż tak rannej godziny przyjąć nie mogę, a nie wiem znowu, czy inne godziny będą możliwe dla uczenia.

— O, to wielka szkoda!—rzekła dama—no ale cóż robić; musimy się do siebie wzajemnie stosować. A jakąż inną godzinę pan proponuje?

— Dla mnie bardzo dogodna godzina byłaby piąta po południu; nie wiem jednak, czy...

— Od piątej?... Od piątej do szóstej mają dzie-

wczęta czas wolny trzy razy na tydzień; mogłyby więc wtedy odbyć lekeye historyi. A cóż zrobimy z lekeyami literatury?... Wszystkie godziny od 7-méj wieczorem do 9-téj są wolne, możesz pan niemi rozporządzać.

Kazimierz się zamyślił, jak gdyby miał dużo czasu zajętego lekeyami. Przed oczyma stanęła mu w téj chwili Andzia; przypomniał sobie, że o siódméj jest ciemno, a żona boi się wtedy sama jedna w domu pozostać.

— Gdyby mogła być inna jaka wcześniejsza godzina—mówił—o siódméj muszę być w domu.

— Tak, pan ma zapewne czas bardzo zajęty... Cóż ja tu zrobię?—mówiła piękna pani, troszcząc się naiwnie—ah, możeby pan przyjął trzy razy w tydzień lekeye dwugodzinne? Tylko, czy to nie będzie zbyt utrudzające?

— Owszem, bardzo chętnie! Niezmiernie pani jestem wdzięczny.

— Więc zgoda?—pytała z uśmiechem pełnym pogody—i w takim razie zaczniemy jutro od piątéj.

Kazimierz powstał, zabierając się do wyjścia; ona podała mu swą piękną, drobną rączkę, którą uściskał; nie wiedział wcale, że drżał mimowoli i że uścisk jego ręki ugniół zbyt silnie dłoń kobiety. Późno już się zmiarkował, a żywy rumieniec całą twarz mu oblał. Ona to widocznie zauważyła, bo się uśmiechnęła lekko i jakby z poślazaniem.

Na drugi dzień rozpoczęły się lekeye.

Kazimierz był w swoim żywiole i z zapalem—rzec można—zabrał się do pracy kształcenia młodych kobiet.

Młoda i piękna dama bywała obecną na tych lekcjach.

Kto ma dużo energii i nauki, a nie jest zbyt przeciążony pracą, ten naucza z korzyścią.

Nauczanie nie polega na odrobieniu danego zadania. Jest ono sprawą wytwarzania w młodym pokoleniu wyższych gatunków myślenia, uczuć i pragnień. Jeżeli nauczyciela obiegają wielkie kwestye nauki; jeżeli dobro ludzkości i własnego społeczeństwa nie leży mu lekko na sercu; jeżeli on rzetelnie kocha, co jest prawdą, dobrem i pięknem, wtedy nie potrzebuje nazbyt wiele mówić, ani być bardzo kwiecistym, ażeby uczniom swoim udzielić owych wzniosłych pobudek. Iskra prawdziwego zapалу przenika z oka mówcy do duszy słuchacza, a szczerść i miłość, gdy wypływają z ust szlachetnych, są uczuciami bardzo zaraźliwymi.

Kazimierz ukończył pierwszą lekcję i był bardzo zadowolniony, odgadywał on, że pomiędzy nim a jego uczenicami zawiązał się stosunek sympatyczny. Jednakże, powracając do domu, czuł ciężkie brzemie, którego w żaden sposób zwalić ze siebie nie mógł. Młody idealista pojmował, że kształcenie młodocianych umysłów jest jakimś gorącym apostołstwem. Ciężyło mu na sercu, iż się źle do tego zabrał. Oszukiwał przecieź wła-

sną żonę, wnosił nieszlachetny pierwiastek w dzieło—zdaniem jego—bardzo wzniosłe. Życie nie skalalo jeszcze niczém duszy Malinowicza. Było w nim, co prawda, dużo i śmieszności; jednakże taka świeżość psychiczna ma téż wiele stron dodatnich. Niewinne oszukaństwo względem żony dźwigał on, jakoby bardzo ciężką zbrodnię. Zapytywał sam siebie w zgnębieniu, czy mu wolno bronić prawdy, nauczać o wysokich celach życia? Bo skądże taki człowiek ma prawo być sędzią ludzkich czynów, które się w dziejach przejawily? Zdało mu się, iż jest fałszerzem i wobec niewinnych dziewcząt nie powinien zabierać głosu jako pedagog.

Jednocześnie zaś, jak mógł, usprawiedliwiał się sam przed sobą. Bo bądź co bądź, oszukiwać a oszukiwać—jest wielka różnica. Wszakże czynić dobrze potajemnie jest téż rodzajem kłamstwa. Istotnie przewrotna dusza nie odczuwa wcale potworności swych czynów, albo ją odczuwa, jako własne dobro. Kazimierz posiadał wielką wrażliwość, jednakże wrażliwość taka może miewać tylko piękne zachcenia, zwykle brakuje jój charakteru pełnego energii i mocy. Znaliliśmy go, jako słabego człowieka...

II.

Dwie były panny Wieliszewskie: starsza Emilia i młodsza Franciszka. Starsza wyszła za mąż za pana Eustachego Wolaskiego, dobrze urodzonego i dobrze wychowanego obywatela ziemianina. Pan Eustachy odziedziczył był po rodzicach duży majątek, ale taką już miał rękę, że majątku w niej nie utrzymał i całkowitą ojcowiznę strwonił jak najzupełniej. Pozostawało mu do wyboru: albo jąć się jakiej chlebobajnej pracy, albo odebrać sobie życie, albo wreszcie ożenić się bogato. Wolaski za nadto dobrze odezuwał powaby życia, ażeby je sobie miał pracą zatruwać; za nadto téż ukochał wesołe i pełne przyjemności życie, ażeby się go dobrowolnie pozbawiał. Podług niego daleko praktyczniej było, straciwszy własną fortunę, ożenić się i stracić jeszcze posag żony. I praktyczniej i łatwiej—a najprzyjemniej w świecie. Powiadają poważni ludzie, że różne nowożytny teorye uczą użycia i zakażają krew społeczną; atoli żadna z takich teoryj nie była w stanie zarazić umysłu pana Eustachego; on zupełnie zamknięte miał uszy dla teoryi, a jednak umiał

używać tak dobrze, iż podobne używanie za ledwie się przyśnić mogło jakiemuś zwolennikowi filozoficznego epikureizmu. Można to przyznać, że bez wszelkiej teorii pan Wolaski był bardzo szczęśliwym człowiekiem w życiu doczesuém. Kiedy go bowiem spotkał pierwszy niedostatek, on już, dzięki pieczołowitym staraniom swojej ciotki, ogromnej familiantki, znalazł dla siebie znakomitą partya w osobie panny Emilii Wieliszewskiej. A kiedy stracił co do ostatniego grosza cały posag żony, umarł w najlepszym humorze, pozostawiając straconej wdowie troskę spłacenia rozlicznych honorowych długów, a prócz tego ciężar wychowania dwóch córeczek.

Pani Emilia Wolaska, z domu Wieliszewska, była niewiastą anielskiej dobroci. Całe skarby najwznioślejszych uczuć obrały sobie za siedlisko duszę téj kobiety. Po śmierci męża prowadziła ona życie samotne na wsi, bardzo obdłużonej; oszczędzała, broniła się przed wierzycielami, wychowywała dzieci. I ta słaba kobieta w ciągu siedmiu lat nieustannéj walki, prowadzonej wśród najtrudniejszych warunków, wykazała więcej siły ducha, energii, charakteru, niż razem wzięty cały zastęp zuchów, podobnych do pana Eustachego, zrobić to może w naszej smutnej epoce.

Nieodstępną towarzyszką wdowy, biorącą żywy udział we wszystkich zajęciach, zgrzyzotach i troskach, była młodsza jéj siostra Frania, która za ledwie sześć lat wieku liczyła wtedy, kiedy

Emilka wychodziła za mąż. Wielkie to było szczęście, lub, jeśli kto woli, zrządzenie Opatrzności, że rodzice Emilki i Frani zmarli dopiero po śmierci pana Eustachego; inaczej bowiem, zapewne i wiano Frani oraz resztki spuścizny po Wieliszewskich byłyby poszły na marne: na wino, karty, cygara itd., to jest na wielce przyjemne sprawunki.

Frانيا była zachwycającą dziewczęciem, bardzo urodziwą i była równie dobrą, jak jej rodzona siostra. Cierpienia Emilki brała do serca, jakby swoje własne, a więc od dzieciństwa przebywała ona wysoką szkołę, — szkołę cierpienia, zgryzot, zawodów i rozezarrowania. Bo nieszczęśliwej wdowie przychodziło częstokroć ratować honor nieboszczyka męża, szarpany mesłusznie, niestety! Przychodziło niejednokrotnie gorzkie lzy wylewać i tać czyny człowieka, który, ażeby posiadać nieco pieniędzy, nie cofał się w danym razie przed nadużyciem nazwiska teścia na różnych wekslach.

Takie i inne szalone burze, które nie nie kosztowały, albo kosztowały bardzo mało pana Eustachego, przewaliły się przez dusze obu siostr, niby wściekle huragany, które nie uszanują najdelikatniejszych kwiatów. Zdawało się, iż po śmierci Wolaskiego ziemia roztwarla jakieś piekielne czeluście, z których się wyrwały podłe ludzkie namiętności i chciwość lichwy, cynizm egoizmu i nagość różnych występków. Oszuści, wi-

dząc dwie zacne i łęklive kobiety, podrabiali nowe rewera, kładąc na nich podpisy nieboszczyka męża i nieboszczyka ojca; pojawiły się nadto różne nieuzasadnione pretensye... I jakie? pretensye!

Czy pani Emilia Wolaska uniosła ze sobą do grobu pamięć o swoim mężu, nie wiemy; to pewna, że kiedy znękana życiem, niby torturą, oddawała ostatnie tchnienie, istotnie świętymi łzami zlewała główki córek, a przyciskając gorąco do piersi ukochaną siostrzyczkę Franię, mówiła:

— W tobie jednej, Franiu, w twojem uczuciu rozumie i charakterze pokładam całą nadzieję, że wychowasz dobrze te nieszczęśliwe sieroty!... Po wszystkim, com przeszła, nie umarłabym spokojnie!

A potem, jak gdyby przy jój łożu stało jakieś straszne widmo, ukryła twarz w obie dłonie, wołając:

— Oh, Franiu kochaj je, pamiętaj o nich, nie opuszczaj!... Oh, jeśli one kiedy wyjdą za mąż!

I oto, wśród rozdzierającej boleści żywych ukazały się na łożu blade, martwe zwłoki kobiety, z których już uleciała arcypiękna dusza...

Teraz łatwo zrozumieć, kto była ciocia Franina. Była to żywa świątynia prawdy, miłości i poświęcenia. Na licu téj dziewicy piętnował się jakiś szczególny gatunek wdzięku. Kto na twarz jój spojrzał, doznawał ukojenia od pogody, rozlanej po licach,—od uśmiechu, który wzywał do mi-

łości,—od wzroku pełnego dobroci, a zarazem powagi i inteligencyi.

Wysoka, wiotka, pięknie zbudowana, o ciemno blond włosach, o szafirowych oczach, z melodyjnym dźwiękiem głosu, jak harfa, musiała się Frania podobać każdemu, kto ją poznał.

Taka bogata i taka piękna, mogła przecież używać świata, mogła wysysać samą słodycz z pucharu życia. Ale ona to rokoszne i barwne życie brała tylko z poważnej strony; prośba umierającej siostry brzmiała jej w uszach i wytworzyła dla niej cel świętego, wielkiego obowiązku. Frania postanowiła sobie niezłomnie wychować dwie dziewczeczki, uczynić je istotnymi aniołami cnót i ustrzedz, aby losem tych aniołów nie było popaść w objęcia szatanów. Obie siostrzeniczki były bardzo nadobne, choć każda w swoim rodzaju. Młodsza, Zosia rysami przypominała matkę,—starsza, Kazia podobna była do ojca. Ciocia Frania kochała je obie bardzo tkliwie, wychowywała nader starannie, a nie miała nigdy powodu skarżyć się na brak dla siebie miłości ze strony obu tych dziewczątek.

Nie obeszło się—naturalnie—bez tego, ażeby Frania nie miała pretendentów do swój ręki. Ale wśród młodzieży płci męskiej swojej sfery towarzyskiej spotykała ona dotąd samych potworów, czatujących na jej posag. Byli to ludzie zwykle przystojni, którzy nosili modne ubrania; niektórzy z nich wyrażali się po francuzku bardzo gładko,

rozmawiali wiele o teatrze, o koncertach, uczęszczali z balu na bal, składali wizyty w przepisanych porach dnia—słowem kręcili się po arenie życia, jak maryonетки na scenie. Co tam zaś było wewnątrz tych lalek, trudno zgadnąć. Jeżeli w niektórych z nich nie istniała dusza nieboszczyka Eustachego, to prawdopodobnie, o ile z powierzchowności ludzi sądzić można — tkwiło tam moralne zero.

Frania myślała nieraz, iż potomkowie dzielnych rycerzy smutnie się wyrodzili w salonowych kondotyerów; rozważała sobie, że owo ograbianie kobiet z posagów, owa pogoń za wygodnym życiem bez pracy nie wyróżnia się w gruncie rzeczy od rozbijania po drogach, a jest o tyle wstrętniejszą, o ile przybiera formy legalności i kłamie uczucia.

Naprzeciw tych junaków powierzchownych, zasługujących na ośmieszenie, pojawiają się legioniści nowych, którzy często wychodzą z zapomnianych warstw narodu i, bez względu na brak przywilejów, śmiało ukazują społeczeństwu nowe drogi. Ci zdobywają sobie prawa życia szturmem, własną siłą; pełni energii idą naprzód, z wiarą niezachwianą, że zwyciężyć muszą.

Niewątpliwie do rzędu takich należał Kazimierz Malinowicz, ten biédak, który dni swojej młodości spędził na przymusowych postach, a noce prześlęczał nad ciężką pracą książkową. Przecież w chwili ostatecznego sądu jego nie można

stawić na równi z tymi, co dni pracy przesyłali, a noce stawali na bezmyślnych uciechach.

Ciocia Frania nie znała życia Kazimierza; ale przeczuwała, że to jest rycerz nowego gatunku. On był inny, odmienny od wszystkich tych ludzi, których znała. Spokojny, milczący, nieśmiały, skromny, miał jednak w duszy nieporównany zapal, gdy mu przychodziło bronić prawdy, lub uwielbiać cnotę. Nigdy błahy komplement nie powstał na jego ustach, nigdy się sam nie chwalił dopiero na polu pracy, przy nauczaniu, znikala jego lekliwość towarzyska, a pojawiał się człowiek czujący i myślący. Arcydzieła literatury, które Frania nieraz już odczytywała, nabierały w ustach jego nowego dla niej znaczenia; dzieje ludzkości przedstawiały się w zupełnie nowym świetle. Poczęła więc szanować jego naukę, cenić pracę i zapal, podobać sobie w zupełnie prostym naturalnym obejściu filologa.

Kazimierz spełniał swoje obowiązki nauczycielskie bardzo sumiennie; ale jednocześnie jakoś posmutniał i więcej jeszcze spoważniał. Czasem, jakby cienie, stawały mu przed umysłem dwa obrazy: z jednej strony rozumna, wykwiutna i czarująca ciocia Frania, z drugiej kapryśna, pełna nedorzeczných wymagań i nieporządna Andzia. Odpędzał te obrazy od siebie, a one powracały same i powracały nieustannie.

Jednego dnia Andzia uczuła się być zdrowszą niż zwykle, wstała z łóżka, którego od wielu ty-

godni prawie wcale nie porzucala i zajęła się uporządkowaniem izdebki pełnej pyłu a śmieci. Dnia tego przypadala téż Kazimierzowi lekcyca w domu panny Wieliszewskiej.

Ukończywszy swoje zajęcia, powracał Malinowicz do domu, i po drodze spotkał przypadkiem dobrego kolegę, Andrzeja Wicieskiego

— No, jakże ci tam teraz idzie, Kazimierzu—pytał kolega—bo było podobno krucho u ciebie.

— Jakoś wydobywam się powoli z nędzy—odparł Kazimierz—rzeczywiście dostałem od biędzy dobre ciągi; mało brakowało, żebyśmy oboje z żoną nie ulegli głodowej śmierci.

— Cóż cię zbawiło?

— Dostałem bardzo korzystne lekcyce, które mi dają całkowite utrzymanie.

— Szczęśliwiec jesteś!—zawołał Andrzej—nauuczysz w której szkole?

— Gdzie tam!

Lekcyce mam prywatne, a nietylko korzystne lecz sprawiające mi dużo zadowolenia.

— Musisz chyba w takim razie mieć starszych uczniów?

— Ucenice, panienki już starsze, bardzo chętne i należycie uzdolnione.

— Przynajmniej jeden ty stanąłeś jako tako z tych wszystkich, co razem z nami kończyli... Ja bo z dnia na dzień wyglądam lepszych czasów, a tu nie!... Ciężko żyć naszemu bratu!

— Jeżeli jesteś w potrzebie, mogę ci ofiarować

pożyczkę paru rubli za kilka dni, gdy dostanę wynagrodzenie za lekye; obecnie bowiem sam resztkami gonię, a na dobitkę żona mi ciągle choruje.

— Jest jak największe prawdopodobieństwo, że będę korzystał z twojej uczynności, chyba żeby mi ojciec nadesłał przyobiecany fundusz; ale wątpię, bo i u niego bięda.

— Tymczasem może mnie zechcesz odwiedzić, pogwarzymy przy szklance herbaty, poznasz moją Andzię...

— A owszem, owszem! Nawet bez zapraszania miałem cię zamiar kiedybądź odszukać i odwiedzić; ale zawsze mi tak jakoś schodziło... Jak bięda, to się niczego nie chce człowiekowi.

Tak rozmawiając, obaj koledzy przybyli na ulicę Złotą i stanęli przed domem, w którym Kazimierz mieszkał. Malinowicz wstąpił do obocznego sklepiku, kupił cukru, bułek, — i niebawem przedstawił żonie swego przyjaciela.

Andzia była w wybornym humorze, zajęła się sama przyrządzeniem herbaty, do wypicia której wszyscy troje zasiedli około małego stolika. W czasie owęj uczyty, co prawda nie wystawnéj, lecz ożywionéj, przypomniał sobie Kazimierz, że kolega Andrzej namiętnie pali papierosy; więc szepnął coś do ucha żonie i wybiegł, aby się zaopatrzyć w ten sprawunek, zwykle zbyteczny, ponieważ sam nie palił tytoniu.

Przez krótką chwilę Wicieski i Malinowiczowa przeprowadzili rozmowę, która miała w następstwie bardzo doniosłe skutki.

— Cieszę się — mówił Andrzej — że nareszcie Kazimierz dostał tak pożądanę dzisiaj dla wszystkich zajęcie, bo kiedym go spotkał na ulicy przed dwoma miesiącami, chodził nieborak jak struty.

— Ale gdzież miał dostać! — zawołała Andzia — nie ma żadnego zajęcia!

— Przecież sam mi przed chwilą opowiadał, że pozyskał lekye, korzystne pod względem materialnym, że z nich jest bardzo zadowolniony, ponieważ uczennice są zdolne i wiele korzystają z nauki — mówił Andrzej, nieco zdziwiony, zachowaniem się Andzi.

— Ah, uczennice! uczennice!... — zawołała Malinowiczowa, jakby ją kto ze snu zbudził. Zrazu twarz jej oblał żywy rumieniec, znać było w oczach pomieszanie; wnet się atoli zmiarkowała, stłumiła w sobie jakieś uniesienie i rzekła, niby obojętnie:

— Tak, tak! — prawda — ma pan zupełną słuszność! — Ale taka drobnostka utrzymania nam dać nie może...

Z kolei rzeczy Andrzej się zamyślił.

— Pocziwy zawsze kolega jest z tego Kazia, widocznie chciał mi delikatnie przyjść w pomoc i udawał przedemną dobrobyt.

Kiedy Kazimierz powrócił z papierosami dla gościa, rozmowa weszła już na inne tory. Andzia

rozprawiała dużo i zdała się być bardzo wesoło usposobiona. Dopiero o jedenastej Wicieski opuścił dom kolegi. Małżonkowie pozostali sami; pierwszy Kazimierz przemówił w te słowa:

— Gdy chcesz, Aneczko, jesteś dobrą, miłą kochaną, prawdziwym aniołem!...

I z temi słowy uścisnął serdecznie żonę.

— Jestem prawdziwym aniołem? Czy istotnie jestem twoim aniołem?—pytała Andzia z lekkim odcieniem goryczy w głosie i starając się uniknąć pieśczęt męża.

A później wpatrzyła się poważnie w dobrodusznego jego oczy i jak gdyby w nich wyczytała uspokojenie dla siebie, pytała głosem, nie wyrażającym bynajmniej podejrzania:

— Czy ty mnie, Kazimierzu, nie zdradzasz?... czy poza mną nie masz jakiego anioła?...

Malinowicz nie mógł znieść badawczego, gdzieś wgłąb duszy sięgającego spojrzenia; spuścił oczy, pokraśniał nieco i wyjąkał:

— Skądże ci znowu, moje dziecko, przyszło do głowy takie pytanie?

— Ni stąd, ni z owąd — tak sobie: sama niewiem, co mi się przywiduje. Jestem, jak wiesz, nerwowa,—mówiła tonem drwiącym.

— Oj, Aneczko, żebyś ty raz porzuciła swoje przywidzenia, żebyś zawsze mogła mieć taki dobry, pogodny humor, jak dziś przez cały wieczór!—powiedział mąż.

— Żebym cię nigdy i o nie nie podejrzewała?

rzekła znowu, kładąc nacisk na wyrazie *nic* i patrząc surowo na Kazimierza.

— Oh, te twoje podejrzenia psują harmonią, a żadnej stronie nie przynoszą korzyści. Wierzaj mi, Andziu, iż takie uczucia przynoszą ujmę godności kobiety!

Czy taaak? No, no, no — nie wiedziałam o tém!

— Mówię ci to szczerze, jestem tego pewny.

— Proszę bardzo, co za szczerłość! Wypadałoby chyba wcale o niej, nie powątpiewać po takim uroczystém męzowskiém zapewnieniu—ale ja pozwalałam sobie wątpić.

— Doprawdy, nie a nie nie rozumiem cię, Andziu!

— Ooo! co temu, to już najzupełniej wierzę. Posuwam się dalej nawet i twierdzę, żeśmy się nigdy wzajemnie nie rozumieli. Prócz tego, mniemam téż, że się zupełnie niepotrzebnie ożeniłeś ze mną...

— Aneczko, porzuć ten przykry ton mowy który mnie dotkliwie razi.

— Masz racją; po co mamy rozmawiać? Udajmy się lepiej oto na spoczynek... Jestem dziś bardzo znużona.

Skwaszone małżeństwo poszło spać; ale w nocy ani Kazimierz, ani Andzia nie mogli jakoś zasnąć; każde z nich myślało o drugim. On pierwszy zauważył, że żona nie śpi, posłyszał kilka jęj cichych westchnień.

— Aneczko, czy ty nie śpisz?—zapytał.

— Nie śpię, bo rozmyślam, jak źle musi być na świecie kobietom, które nie posiadają miłości swoich mężów—odrzekła Malinowiczowa.

— Czemuż téż ty zatruwasz sobie sen tak błahemi myślami?

— O, tobie się zdaje tylko, że to są myśli blahe; one są bardzo poważne... Ale ty tego nie pojmujesz, więc śpij, śpij, mój mężu!...

— Ja nie zasnę, jeżeli ty będziesz się niepokoiła.

— No, proszę, jakiś ty dobry!... Śpijże, śpij! Ja będę także spała; nie przeszkadzajmy sobie nawzajem — mówiła Andzia — nadając głosowi swemu wyraźnie odcień szyderstwa, jakby połączonego z pewnym żalem.

— Dobranoc!—rzekła jeszcze po chwili.

— Dobranoc! — powtórzył za nią mąż, przyciskając głowę do poduszki.

I już oboje zachowywali głębokie milczenie; ale oboje długi czas jeszcze nie spali. Kazimierz zasnął pierwszy.

Nazajutrz małżonkowie byli w jakimś smutnym nastroju, nie mówili nic do siebie; on zabrał się do czytania, ona pozostawała w łóżku do późnego południa.

Kazimierz ani myślał, że Andzia śledzi teraz każdą jego czynność, każdy ruch. Kiedy wyszedł, ona podbiegła do stolika i spostrzegła, że odczytywał

podręcznik historii powszechnój, że na kartkach przygotowywał jakieś notatki.

— Niema wątpliwości, on udziela tych lekcyj; oszukuje mnie, chociaż przysiągł na miłość.

Na stoliku Kazimierza z podręcznika „Literatury powszechnój” Szera, wysuwała się kartka papieru, którą filolog włożył jako zakładkę któregoś z rozdziałów. Andzia machinalnie wyciągnęła ten papier; były to wiersze bardzo troskliwie poprzekreślane, oprócz wyrazu *szczęście* i podpisu autora. Ale i między wymazanymi wyrazami dały się niektóre w części odczytać. Zaświeciły się fosforycznie prawie oczy Malinowiczowej, rumieniec żywy twarz jój oblał i całą siłą swego wzroku wpatrzyła się w te wiersze. Jeszcze trzy wyrazy odcyfrowała: „słońce”, „promieniste lica”. Cztery wyrazy i podpis męża pod nimi, czyż nie mogą stanowić całkowitego oskarżenia?

Kazimierz, jeśli sobie przypominamy, napisał tę próbkę poezyi *in gratiam* swój żony; obecnie dokończyło to rozdrażnienia Andzi.

— On w tajemnicy przedemną udziela lekcyj, w tajemnicy pisuje wiersze—myślała strapiona.— Jego *szczęście* — to miłość dla kobiety, podobnej do *słońca*, mającej *promieniste lica*. O jakaż ja biedna, jaka nieszczęśliwa!..

Głęboko i wyraźnie wryły się w mózg Andzi te wyrary, a wyrażone przez nie pojęcia stawały jój przed oczyma już w postaci męża, poszukują-

cego szczęścia poza nią, już w postaci jakiejś pięknej kobiety, przez niego ukochanej. I w samotności zapłakała bardzo gorzko, a łzy zawiedzionej miłości, łzy rozczarowania spłynęły obficie po jój licu. Otarła je atoli szybko, bo posłyszala za drzwiami dobrze znany sobie odgłos kroków Kazimierza.

Kiedy teraz Malinowicz wszedł do mieszkania, Andzia miała oczy zaczerwienione i znać było, że świeżo łzy z nich otarła. Spojrzał na nią i myślał, że niezawodnie w czasie jego nieobecności przechodziła jeden ze swych zwykłych napadów szlochania. Ujął rękę żony i pocałował; ona zaś ani ręki nie cofnęła, ani mu jój nie podawała, była zupełnie obojętna.

Nazajutrz, o oznaczonej godzinie, Malinowicz udał się na lekcya. Zaledwie wyszedł z domu, a już Andzia porwała się z łóżka, gdzie od rana leżała, narzuciła na siebie suknię, nakryła głowę starą chustką i wybiegła za mężem. Dopóki pozostawała w łóżku, czuła się bardzo słabą, a teraz oto wstąpiły w nią jakieś nowe siły; szła niepostrzeżona i nie spuszczać z oka Kazimierza; widziała jak wchodził w Aleje Jerozolimskie, zauważyła dom, w którym jój z oczu zniknął. Teraz dopięro w duszy Andzi zagrały rozmaite dziwne uczucia; przebiegła ulicę i znalazła się na przeciwnym chodniku, skąd rozpatrywała dom, do którego wszedł przed chwilą Kazimierz.

Cóż tam mogła widzieć? Spostrzegła, iż w do-

mu owym na pierwszym piętrze, poczęto zapalać światła; pomyślała sobie przeto, że to jest właśnie miejsce, gdzie mąż jój będzie odbywał lekcye; Andzi wydawało się nawet, jakoby poprzez szybę okna dojrzała jego postać. Dom był piękny, wielki, tylko możni mieszkają w takich domach od frontu; tém gorzej dla Andzi.

Było to w końcu listopada, zimny wiatr, świszcząc, dał potężnie na przelaj przez ulicę; niebawem ściemniło się zupełnie i na ulicach zapalono latarnie. Szósta biła na zegarze dworca kolei Warszawsko - Wiedeńskiej, a Andzia chodziła jak mara tam i napowrót, przyglądając się nieustannie różnym oknom podejrzanego przez siebie domu. Przyodziana była zbyt lekko, więc zimno nawskroś ją przejęło i drżała na całym cieple, a płomień duszy nie zdołał dostatecznie ogrzać zdrewniałych członków. Światła lamp płonęły już w całym domu, w którym jój zniknął Kazimierz: tu i owdzie przesuwały się w oknach różne postaci, a Malinowiczowa badała to wszystko; Bóg wie, co sobie myślała w duszy. W jednym z takich okien zdało jój się, że wyraźnie widzi mężczyznę z kobietą, rozmawiających ze sobą jakby poufale; nachylali się ku sobie, niby się za dłonie uściśnęli... Wpatrzyła się jak najuważniej. Nie było żadnej wątpliwości, że to Kazio i owa piękna kobieta, o której on opowiadał z takim zachwytem; niezawodnie ta sama, którą sławił w poezyi jako kochankę, dającą *szczęście*, podo-

bną do *słńca*, z *promienistemi licami*... Przecież tego nie zniosłaby żadna żona, żadna kochająca!... Andzia znowu przebiegła ulicę, przesunęła się między dorożkami, spieszącemi ze stron przeciwnych i z dreszczem w członkach, z jakąś gorączką w duszy weszła w bramę domu. Ona w tój chwili przed oczyma swemi nie widziała, tylko jakieś ciemne postaci, cienie migające za oknami, to znowu płomyki światel, niby iskry, gwiazdy, lampy, świece...

Jak tylko weszła w bramę, zatrzymał ją szwajcar, pytając:

— Do kogo to pani idzie?

— Na pierwsze piętro — odrzekła Andzia bezwiednie prawie.

— Zapewne do panny Wieliszewskiej? — mruknął, ukazując palcem na drzwi szklane, a potem dodał: Ona zawsze wspiera biedne kobiety, godna osoba.

— Idę do tój pani, która się opiekuje dwiema panienkami — powiedziała Andzia z naciskiem, a głos jój był ochrzypły.

— No, tak, tak!... Na prawo, wiem, pierwsze piętro, trzeci numer...

— O, na prawo, na prawo! — wykrzyknęła Malinowiczowa, nie wiedząc sama, co mówi, a wewnątrz coś jój szeptało: Widziałam ich oboje w oknie na prawo...

I z temi słowy popędziła na schody, na nie

niepomna, zadzwoniła; pojawił się służący, który, otwarłszy drzwi, rzekł:

— Pani nikogo w téj chwili nie przyjmuje, proszę przyjść jutro.

— Pani mię dzisiaj musi przyjąć!... Ja się dziś z nią muszę zobaczyć! — zawołała Andzia — dziś lub nigdy!... Muszę koniecznie, muszę! Mówiła z taką stanowczością, z takim naciskiem, że służący uległ i poszedł oznajmić przybyłą.

Gdy powrócił, wprowadził Malinowiczową do tego samego saloniku, gdzie przed niedawnym czasem ciocia Frania przyjmowała jój męża. Wszedłszy tutaj, Andzia mimowoli rzuciła okiem w zwierciadło, przejrzała się cała od stóp do głowy i spostrzegła ogromny nieład swojej garderoby; to jój sprawiło dużo kłopotu, wyglądała jak wiedźma... Zaledwie usiadła, gdy z dalszego któregoś pokoju do uszu jój doszedł głos Kazimierza, który właśnie z uczenicami swemi odbywał lekcya. Andzi krew uderzyła do głowy i obiema rękoma chwyciła się za poręcz krzesła, gdyż doznawała takiego uczucia, jakby leciała w przepaść.

Otworły się drzwi przyległe i naraz do saloniku weszła ciocia Frania; jak zwykle — wytworna, pełna pogody i wdzięku, lekko ukloniła się nieznajomój, spoglądając na nią z pewnym zdziwieniem. Malinowiczowa była jakaś przerażona, straciła prawie przytomność i niewyraźnie bąkała:

— O, tak, Kazimierz musiał przyjąć te lekcye, widzę to...

— Zdajesz się pani być cierpiącą?—powiedziała Frania, zbliżając się do Andzi ze współczuciem i obrzucając wzrokiem jęj niedostateczną garderobę—radabym przyjść czémś w pomoc...

Ale Malinowiczowa uśmiechnęła się smutno i jakby przez sen; na ustach jęj wystąpił jakiś wyraz skrzywienia, rękę wyciągnęła w kierunku, skąd dolatywał głos Kazimierza, i głosem ochrypłym, znękanym zawołała:

— Nie zabieraj mi go pani!... Błagam cię na wszystko!...

Zaledwie wyrzekła te słowa, uczuła w sobie jakieś straszne ściśnięcie, potrzebowała odetchnąć, a nie mogła; chciała wybuchnąć łkaniem, ale poczuła w gardle jakiś kurez, duszenie. Widocznie mocno cierpiała, bo oczy wybiegły jęj z orbit, usiłowała powstać, lecz się zgięła i padła na ziemię.

Stan, w jakim była Andzia, oceni każdy, kto miał do czynienia z niewiastami nerwowemi, albo przynajmniej czytał opisy stanów tego rodzaju.

Panna Franciszka przyzwała natychmiast służące, nacierano skronie omdlałej Andzi, oblewano ją wodą kolońską i nareszcie po stosunkowo długich usiłowaniach doprowadzono do przytomności; ale Malinowiczowa była jakaś przerażona, wszystka krew zdała się jęj uciec z twarzy, błędnym wzrokiem bezmyślnie wodziła dokoła. Przeniesiono ją niebawem do łóżka i posłano po lekarza.

Tymczasem Kazimierz zupełnie nie wiedział o tém wszystkiém, co zaszło; ukończył swą lekcją z dziewczętami, a ponieważ panna Wieliszewska nie była obecną, przeto odszedł bez pożegnania. Kiedy powrócił do domu, znalazł drzwi mieszkania na klucz zamknięte, a klucza nie było w zamku; daremnie powtarzał kilkakrotnie stukanie, nikt mu nie otworzył.

— Zapewne Andzia na chwilę dokądś wyszła i niedługo powróci—myślał—ale co jój się takiego stało? O téj porze nigdy dotychczas nie wychodziła z domu sama jedna.

Więc zbiegł ze schodów, przebiegł kilka razy wzdłuż ulicę, znowu powrócił do drzwi i znowu stukał nadaremnie. Niejeden raz powtórzył to samo. Nareszcie przyszła mu do głowy myśl straszna:

— Ona może zemdliała, pozostaje może w izdebce bez ratunku, może nawet nie żyje...

I w téjże chwili począł drzwi odbijać. Z trudem udało mu się wylamać zamek, wpadł i drżącą ręką zapalił światło; w izdebce było cicho, jakoś ponuro; przestрах go opanował. Obejrzał się po sprzętach i spostrzegł salopę oraz kapelusz Andzi.

— Jak ona mogła wyjść na takie zimno z gołą głową, bez płaszczyka?

To spostrzeżenie przeraziło filologa jeszcze bardziej. Przypomnił sobie teraz, iż od niejakiego czasu Andzia była bardzo rozdrażniona, dziwna

w obejściu, pełna przywidzeń; opadły go więc i trapiły przykre przecucia.

— Kobięta taka jak ona, mogła się nawet utopić!

Opuścił smutną izdebkę i pobiegł na miasto, szedł jak obłąkany; zdawało mu się, że między przechodniami spostrzegł Andzię; podążył za nią, ale wnet się przekonał, iż za żonę wziął jakąś nieznaną kobietę. Jeszcze drugi i trzeci raz się omylił w podobny sposób. Kiedy, znękanym temi poszukiwaniami, wracał do domu, w nadziei, że może żona wróciła, miejskie zegary w rozmaitych punktach wybijały północ.

W domu panny Wieliszewskiej wszyscy zajęci byli chorą Andzią; nikt jej tu nie znał; ale czyż chory człowiek przeto mniej cierpi, iż jest obcy dla swych bliźnich? Niebawem pojawił się wezwany lekarz, a kiedy mu ciocia Frania opowiedziała całe mniej więcej zdarzenie, przystąpił do chorój, wy dobył zegarek i rozpoczął badanie od mierzenia pulsu. Andzia leżała jak martwa, usta miała zacięte, oczy zamrużone—słowem nie zdradzała życia. Lekarz poszepnął coś do ucha słuchając i, o ile można było jak najprędzej, dostarczono mu z apteki flaszeczkę z jakimś płynem. Po właściwem zastosowaniu tego środka chora szeroko otworzyła oczy.

— Co to jest?—zawołała — gdzie ja jestem?... Gdzie Kazio?...

Lekarz począł jój robić delikatne przedstawienia; ale ona porwała się szybko, wyskoczyła z łóżka i poczęła biedz na oślep przed siebie.

Po drodze napotkała pannę Franciszkę, która właśnie szła, aby być obecną przy lekarskiem rokovaniu, Andzia spojrziała na nią, zasłoniła sobie twarz rękoma i biegła dalej. Wypadła na schody rozczochrana, w jednej sukni, błędna; drze miący szwajcar przyglądał jój się z wielkiem zdziwieniem, gdy bramę otwierał.

Było już późno, ciemno i zimno, kiedy Malinowiczowa z nadzwyczajnym pośpiechem pędziła do domu. Przybiegła i zastała mieszkanie stojące otworem, zamek od drzwi wyłamany, a na stole Kazimierza posepnie płonąła lampa; cisza panowała w tój izdebce jakby w grobie. To ją wiadać przeraziło, bo się zatoczyła po pokoju, wykrzyknęła jakiś wyraz, rękoma chwyciła się za głowę i poczęła pospiesznie zbiegać ze schodów; ale potknęła się i upadła.

Miało to miejsce wtedy, gdy Kazimierz bardzo zgnębiony powracał już o północy z miasta. I on z pośpiechem nadzwyczajnym, gorączkowym, przebiegł schody, kiedy naraz potknął się o jakiś przedmiot i upadł. Z dotknięcia osądził, że na schodach leży ciało ludzkie; czémprędzej więc pobiegł do izdebki po światło i z przerażeniem ujrzał leżącą jak bez czucia Andzię; była biała, sztywna, a na zranioném czole świeciły krople krwi. Malinowicz skamieniał, serce mu było mło-

tem w piersi; przerażenie zupełnie nim owładnęło. Pochwycił oburącz tę martwicę i z trudem przyniósł ją do izdebki, gdzie umieścił na łóżku, a potem począł cucić, nie szcędząc zaklęć jak można najtkliwszych,

Andzia odetchnęła, co wlało otuchę w jej męża; wnet potem przyszła do siebie i znowu szeroko roztwarła oczy, znowu bezmyślnie wodziła niemi dokoła, pytając słabym głosem:

— Gdzie ja jestem? Kto tu jest?... Gdzie Kazio?

— Moja droga, moja jedyna, jestem przy tobie, patrz—jestem! Mówił Malinowicz, do ust przyciskając rękę żony. Bądź tylko zdrowa, nie opuszczę cię nigdy...

Nie upłynęła godzina czasu, a Andzia już się lekko uśmiechała, lecz uśmiech ten jej miał smutny wyraz, jak gdyby nie był uśmiechem.

— Oh, widziałam ją, widziałam,—odezwała się nareszcie. Jest piękna, dobra, daleko piękniejsza i lepsza odemnie... Ja wiem, Kaziu, że ty mnie kochać nie możesz, bo ja przy niej znikam.

— Ależ, daj pokój, wypocznij tylko!... Nie wysilaj się, po co mówisz? Jesteś cierpiąca, zmęczona. Przygotuję ci oto ciepłej herbaty, bo drżysz od zimna—mówił Malinowicz.

Rzeczywiście dreszcze przebiegały po ciele Andzi. Kazimierz gorliwie zajął się przygotowaniem herbaty, podczas gdy żona jego trzęsła się od zimna i prawie szczykała zębami.

— Kaziu, nakryj mię salopą, wszystkiem, co tylko jest w domu!...—wołała.

I on niebawem spełnił to polecenie. Zgotował herbatę, której szklankeę podał żonie. Andzia za ledwie cokolwiek skosztowała ciepłego napoju, a wnet potęm poczęła majaczyć. Wygadywała dziwne rzeczy o oknie, w którym stoją ludzie i ścisną się za ręce,—o pani, która jest podobna do słońca,—o lekeyach historii powszechnęj i literatury.

Kazimierz o mało nie zapłakał, widząc ten stan żony; siedział przy nięj, uspakajał, pieścił, zaklinał, ona majaczyła nieustannie. Nareszcie zasnęła, a chociaż się zrywała często, choć bredziła we śnie, jednak spała do rana. Malinowicz czuwał nieustannie przy żonie i oka nie zmrużył.

Kiedy się przebudziła rano, miała wyraz twarzy nadzwyczajnie łagodny, spojrzęła na męža z tkliwością i rzekła:

— Nie gniewam się na ciebie, Kaziu! Tyś biędny, bardzo biędny! Cóżęś ty winien temu, że mnie kochać nie możesz?... Ja się już teraz pogodzę ze swoim losem.

Po niejakięj chwili usiadła na łóżku i tak znowu mówiła:

— Przysięgnij mi!.. Eh, nie, na co się zda przysięga?... Nie chcę, nie...

— Ale moja jedyna, ja przysięgnę, uczynię wszystko, co chcesz, bądź tylko zdrową! — Mów mi, o co ci chodzi?

— To prawda, jakaż ja jestem niedorzeczna! O co mi chodzi? Czegóż mogę wymagać od ciebie? Alboż mam jakie prawo?

— Aneczko, wymagaj wszystkiego, co chcesz, bo ja dla ciebie uczynię wszystko, co jest w mojej mocy, mówił Kazimierz.

— Nie mów tego! Wiem, że nie uczynisz! Ty się zmuszasz, aby mi dobroć okazywać... O, nie rób tego Kaziu!.. Ja wolę szczerłość.

— Lecz czegóż odemnie żądasz, moja droga? Andzia podniosła się lepiej jeszcze i, patrząc mężowi w oczy, tak mówiła:

— Jednego się boję... śmierci! Bo, bo!... bo ty ożenisz się z inną, jak tylko ja umrę.

— Dziecko jesteś! Jak możesz nawet takie rzeczy przypuszczać?

— Ja to wiem z pewnością, że umrę! zawołała Andzia. Nic już innego niema dla mnie na świecie.

Zaledwie powiedziała te słowa, poczęła płakać. Że jednak organizm jej był bardzo wyczerpany, przeto łkania były też słabsze, a po nich Andzia zasnęła i spała cicho jak dziecko.

Malinowicz oddalił się do swego stolika, gdzie usiadł i zaczął pracować. Ale praca mu nie szła, bo i sam był jakiś znużony i żona też wkrótce poczęła przez sen mówić, a mówiła rzeczy, które Kazimierza obchodziły. Już to upierała się we śnie, aby nie dawał lekcyj w domu przy Alejach Jerozolimskich, już wykrzykiwała, że nienawidzi

pięknej pani. Kiedy się zbudziła, podniosła głowę z poduszki, przyjrzała się mężowi i rzekła:

— Nie masz pojęcia, jaki strasznie męczący sen miałam!

— Cóż ci się śniło? spytał filolog, zamykając książkę.

— Byłam na twojej lekcji we śnie... Jak to dobrze, że się obudziła, że się skończyła ta lekcya...

— Musiała być niezmiernie nudna?

Andzia widocznie była cierpiącą; narzekała na ból w całym ciele, skarżyła się na zawrót głowy, na nudności, to znowu czuła dolegliwość w kręgach kolumny pacierzowej, a łóżka już nie opuszczała. Do takiego stanu dodajmy mnóstwo urojeń, przypuszczeń, podejrzeń, obaw, a będziemy mieli obraz małżeńskiego pożycia Malinowiczów. On chodził, jak lalka w szopce, ona stękała. Pamiętajmy tu jedno, że urojenia kobiety nie powinny być brane w pospolitem tego słowa znaczeniu; są one bowiem objawami choroby tak dobrze, jak każde inne objawy.

Szczęściem dla filologów biednych, a posiadających ogniska rodzinne jest to, iż mają zwykłe kolegów lekarzy, którzy w takich razach nie przyjmują honoraryum, Kazimierz udał się właśnie po radę do jednego z takich kolegów i opowiedział mu stan swój żony z całą żywością barw oraz z tym przejęciem się sprawą, jakie cechuje filologicznie wykształconego człowieka; za to pominął on

wszystko główne, co jest również właściwością mózgu filologa. Na szczęście, uważni lekarze w pewnych razach umieją z błędnego i niedokładnego obrazu odtwarzać rzeczywisty, a to dzięki ścisłej logice, którą się fach ten rządzić musi.

Kolega lekarz, wysłuchawszy opowiadania Malinowicza, tak mówił...

— Mój kochany, powiadasz, że żona twoja uskarża się na różne nieokreślone bóle, na cierpienia, których umiejscowić nie można, że popada już to w nadmierną czułość, już w apatyę, a innym razem znowu uczuwa w sobie wielką energią do pracy... Cóż ja ci mogę poradzić na to w naszym nerwowym wieku? Jest to zapewne rezultat czynników takich jak: odziedziczenie po rodzicach, nadmierna jej praca jako uczenicy, a później jako nauczycielki. Za najwłaściwszą uważałbym tutaj zmianę warunków życia, przeniesienie żony w inny, że tak powiem, środek, i to na czas dłuższy... Powietrze i woda, mój drogi, są to stare sposoby lecznicze, które z każdym dniem nabierają coraz więcej znaczenia.

— Masz niezawodnie słuszność—odparł filolog, wzdychając — ale dla mieszkańca miasta, te pozornie najtańsze lekarstwa są jednak najdroższymi. Czyż ja mogę nawet marzyć o tém, abym wysłał żonę na świeże powietrze? Zresztą, bezemnie ona się nie ruszy z Warszawy...

— Więc wam źle idzie?... Cóż tu zrobić? No, a gdybyś też tak kolega zgodził się na wyjazd

z Warszawy? Jesteś sam rozbity, sponiewierany, błądy, źle odżywiony; z pewnością przydałby ci się pobyt na wsi. Przecież belferkę jakąś łatwo znaleźć, a skoro w Warszawie źle idzie, czegoż tu siedzieć?... Zaręczam ci, że choroba żony nie jest groźna; ale uleczyć ją można tylko za murami naszej stolicy.

Lekarz, udzieliwszy Malinowiczowi takiej rady, zaproponował bliższe zbadanie stanu zdrowia Andzi, pragnął ją zobaczyć, aby nie polegać na samém opowiadaniu. Trzeba jednak wiedzieć, iż Malinowiczowa za nic w świecie nie byłaby się zgodziła na przyjęcie lekarza, co téż Kazimierz wyznał przed swym kolegą. Skończyło się więc na zapisaniu jakiegoś lekarstwa, mającego tymczasowo wzmocnić chorą kobietę.

Nasz filolog opuścił nareszcie lekarza, a w uszach ciągle mu brzmiało pytanie: — po co siedzieć w Warszawie?

Kiedy powrócił do domu z lekarstwem, mającém uspokoić i wzmocnić Andzię, projekt wyjazdu na wieś już go entuzjazmował, a to dla tego, że lekarz bardzo dobrze postawił kwestyą w formie pytania: Po co siedzieć w Warszawie?— Brzmiało to o włos że nie jak pół heksametru. Ale pod spodem tego pytania, niezależnie już od rozmaitych okoliczności, spoczywało inne pytanie:— czy się żona zgodzi? Stanowiło to resztę heksametru. Cóż znaczyła jego wola, jeżeli Andzia wyjechać nie zechce?

Przecież od czasu, jak się ożenił, jego własna wola miała najmniejsze znaczenie!

Z wielką przeto oględnością postawił żonie za-
pytanie, jakby téż uważała wyjazd na wieś.

— Oh, przewybornie! — zawołała Malinowiczowa—wyjadę stąd jak najchętniej razem z tobą; Warszawa mi obrzydła!

Zachęcony w ten sposób filolog podniecał się już coraz bardziej i zapalał do myśli wyjazdu na wieś. Prawie sam sobie się dziwił, że tak wspa-
niały projekt nie przyszedł mu dawniej do głowy. Rzecz prosta, iż idea pobytu na wsi, wicherząc po mózgu Kazimierza, wywołała mnóstwo przytoczeń ze starożytnych autorów. Horacy i Wirgiliusz skakali mu po głowie, a każdy z nich przemawiał zachęcająco, wystawiając wdzięki przyrody sielskiej:

me gelidum nemus
Nympharumque leves cum Satyris chori
Secernunt populo!

Wykrzykiwał Horacyusz Flakus.

„Strawiłem wiek szczęśliwy na pasterskiem pieniu:
„Tytyrze, ciebiem sławił ja w bukowym cieniu”

Głosił Wirgiliusz Maro, podczas gdy Horacy przerywał mu natychmiast mowę, wołając do Malinowicza z uśmiechem:

„Phoebe silvarumque potens Diana,
„Lucidum coeli decus, o colendi
„Semper et culti!”

Filologowi trudno jest wytrzymać dysputę z takimi rzecznikami. Kazimierz, powtarzając sobie te przerozmaite cytaty, jak kot z pęcherzem biegał teraz po różnych kantorach, przedstawiając swoje kwalifikacye oraz warunki.

Jakoż w parę tygodni potém znalazł się amator na filologa, jakiś obywatel z Płockiego; umowę zawarto i Kazimierz otrzymał zadatek oraz pewną sumę pieniędzy na kosztą podróży.

Malinowicz był z gruntu uczciwym człowiekiem, zanim więc wyjechał z Warszawy, wpadł przedtém do kolegi swego, Andrzeja Wicieskiego i przekazał mu lekeyą u cioci Frani.

W Warszawie wszyscy znajomi stracili z oczu Malinowicza.

III.

Siedm lat z górą upłynęło od powyżej opisanych zdarzeń.

Było to jednego pięknego dnia lipcowego po południu w ogrodzie Botanicznym warszawskim. Na ławeczce, ustawionėj przy sadzawce z wodnymi roślinami, siedziała jakaś małżeńska para, a w pobliżu tych dwojga ludzi, igrała także para prześlicznych dzieci; starsza dziewczynka mogła liczyć jakie pięć lat wieku, chłopczyk był od niój może o rok młodszy. Ten małeć odbiegał często od rodziców i swawoląc, puszczał się w uliczkę

wysadzoną bzami, którą każdy warszawiak zna chyba dobrze. Chłopczyk, jak zwykle małe dzieci zamożnych rodzin, był widocznie dosyć rozpieszczony; wybiegłszy w uliczkę, odwracał figlarnie główkę, uśmiechał się i znowu wracał do rodzicielskiej pary, a za każdym swoim powrotem odbierał pieszczotę już od małki, już od ojca.

Dziewczynka, przypominająca nadzwyczajnie rysy matki, z wielką powagą obchodziła wokół sadzawkę, piastując na rękach strojną lalkę.

— Kaziu, Kaziu!... trzeba słuchać tatki i nie odbiegać stąd tak daleko—mówiła matka, rzucając na chłopczyka spojrzenie, pełne macierzyńskiej troskliwości.—Przypatrz się, jaka to Andzia grzeczna, nigdzie od nas nie odchodzi!...

Ale jak nie miał wybiegać Kazio w uliczkę, kiedy z przeciwnej strony wybiegał znowu do niego na pół drogi inny piękny chłopczyk, który był prawie rówieśnikiem Kazia. Obaj ci malecy spotykali się z sobą na środku uliczki, a popatrzywszy w oczy jeden drugiemu, z wielkim pośpiechem wracali—każdy do swój rodzicielskiej pary.

— Jak tobie na imię?—pytał synek rodziców, siedzących zdala od sadzawki, na ławeczce pod jesionem.

— Mnie Kazio!—odpowiedział malec, należący do rodziców, siedzących przy wodozbiorze.

— I mnie téż Kazio!—rzekł pierwszy.

Roześmiali się teraz tym srebrnym dźwiękiem

śmiechu szczęścia, którym się człowiek później nigdy już nie śmieje. Roześmiali się na cały głos i pierzchnęli od siebie, popędzili w przeciwne strony; bo każdemu z nich przecież tak pilno było, aby opowiedzieć swym rodzicom, że spotkał drugiego Kazia. I znowu się spotykali.

— Umiesz się ty bawić? — pytał Kazio zpod jesionu.

— O i jak! — odpowiedział drugi Kazio.

Potem się ze sobą porozumieli w krótkich słowach i pobiegli znowu do rodziców. Niebawem jeden Kazio pędził, co miał sił w drobnych nóżkach, od strony sadzawki, drugi od strony jesionu, a obaj wołali:

— Balan, balan — tliks!... Balan, balan — tliks!... (Baran, bbaran — tryks!) A kiedy się spotkali teraz w środku uliczki, jeden o drugiego uderzył tak silnie, iż padli obaj plackiem na ziemię, krzycząc z płaczem:

— Mamo, mamol... Tatku!

Obie rodzicielskie pary drgnęły teraz i najprzód ojcowie porwali się ze swoich ławek, spiesząc na ratunek malcom. Piérwszy nadbiegł ojciec zpod jesionu i popodnosił obu chłopczyków, tonących we łzach boleści; zaledwie ich atoli począł uspokajać, kiedy przybył drugi ojciec. Ci dwaj ojcowie spojrzeli sobie w oczy i jeden z nich zawołał ze zdziwieniem radosném:

— To ty?... Kazimierz Malinowicz!

— Andrzej Wicieski! — zawołał drugi.

I jeden drugiemu rzucił się w objęcia, a bez względu na miejsce publiczne, licznie odwiedzane, ściskali się i całowali tak serdecznie, jak to tylko uczynić są w stanie dobrzy koledzy.

— A bodajże cię! — zawołał Wicieski — jakżeś się ty rozrósł, zmężniał! chłop jak dąb.

— No, widzisz mój drogi Jędrku!—od tygodnia dopiero wróciłem ze wsi z rodziną; przez siedm lat byłem prywatnym belfrem i teraz myślę już na stałe osiąść w Warszawie... Ależ ty? Widzę, żeś się ożenił; to twój ten śliczny chłopak?

— Jak to ma nie być mój?—naturalnie!—ożeniłem się, mój bracie, i to z twoją dobrą znajomą, nawet... wielką zwolenniczką i przyjaciółką!... Pójdźże ze mną, przedstawię cię zaraz żonie; wyobrażam sobie, jak ją to uszczęśliwi.

— Bardzo dobrze!—poczekaj chwilkę, niech tylko odprowadzę malca do matki.

— Ale po co go masz odprowadzać? Niech się tu tymczasem bawi z moim!

Niebawem obaj dobrzy koledzy znaleźli się przy sadzawce, Andrzej poprowadził Kazimierza do ławki, gdzie siedziała jego żona i przedstawił:

— Mój dobry kolega i przyjaciel od serca—Kazimierz Malinowicz.

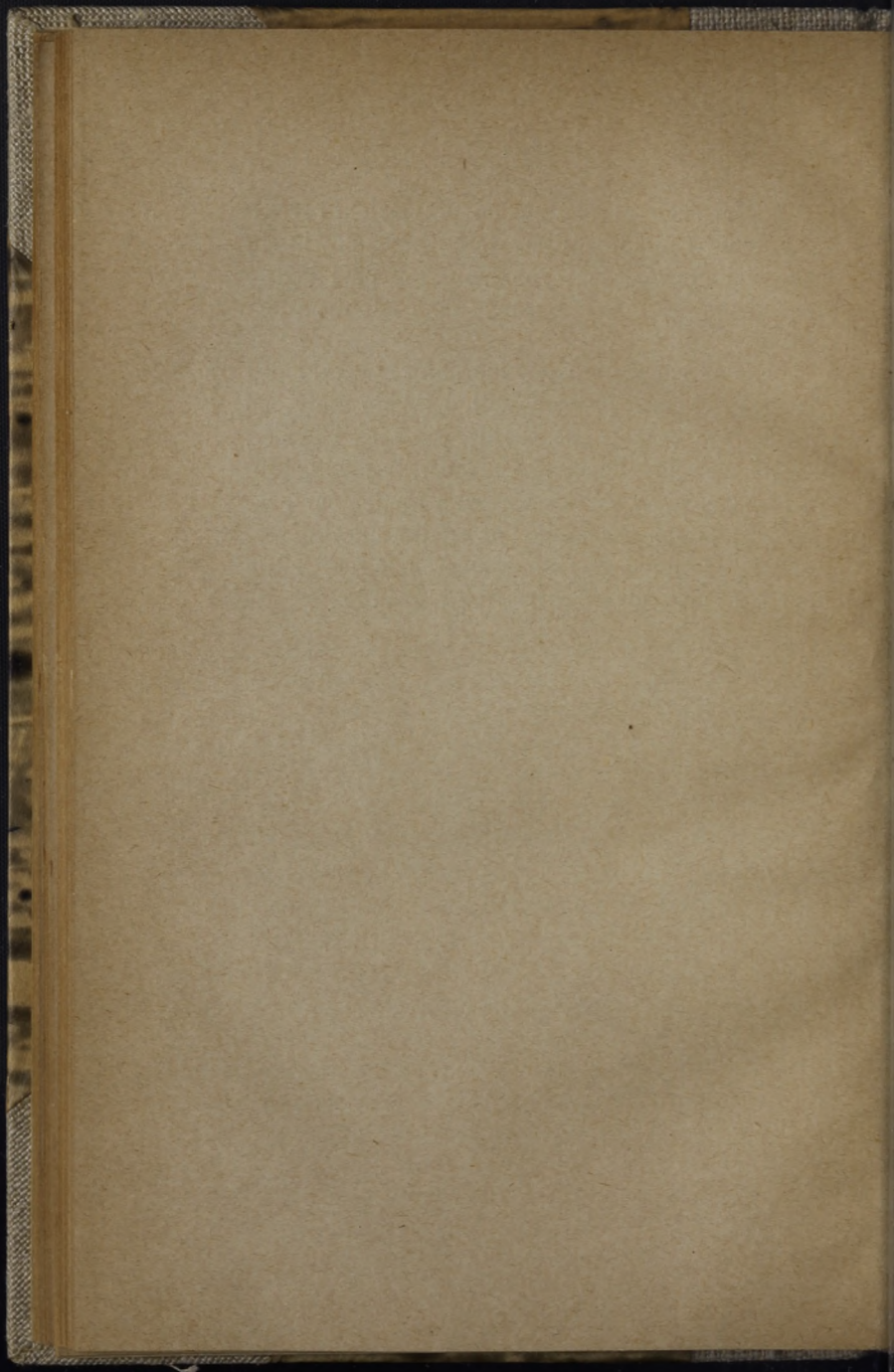
Kazimierz spojrział i zdawało się zrazu, że zaniemiał; przed oczyma jego siedziała ciocia Frania, piękna, pogodna, wytworna i dziś także. Z uśmiechem wyciągnęła dłoń do Kazimierza, mówiąc:

— Jakżem rada, że pana widzę.

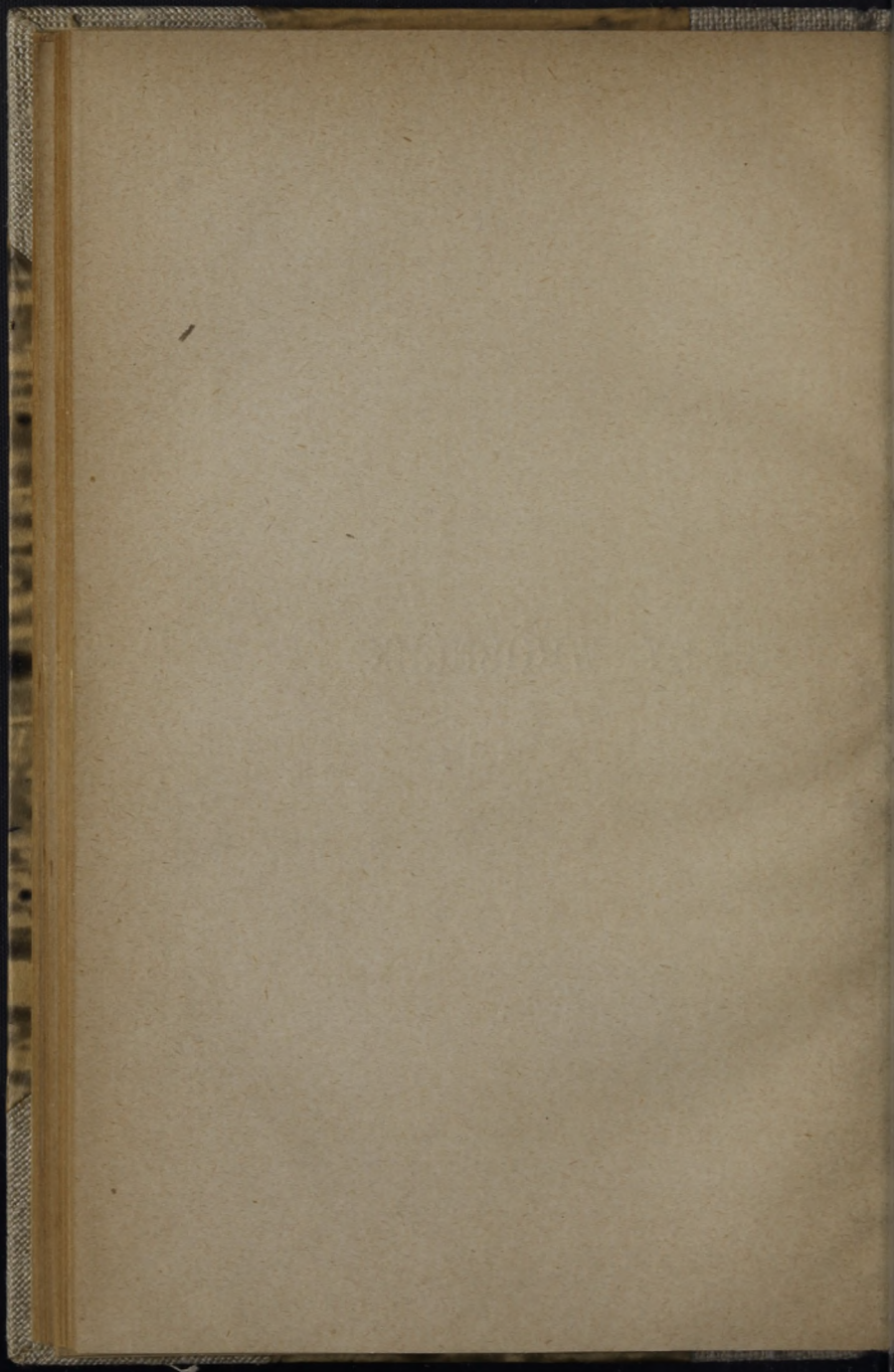
Andrzej spojrział bacznie na przyjaciela i rzekł:

— Moja Franiu, pójdźmy teraz przedstawić się pani Malinowiczowej; wyobrażam, jak nam będzie dobrze, znajdując w Warszawie dom istotnie przyjacielski.

I całe grono udało się w kierunku ławeczki pod jesionem; ale nie potrzebowali dojść do mety, bo Andzia, nie widząc powracających ojca i synka, już się poczęła niepokoić i wyszła naprzód, prowadząc z sobą za rączkę córeczkę—imieniem Franię. Spotkanie nastąpiło na środku uliczki, wysadzonej bzami, w tém samym miejscu, gdzie obaj Kaziowie przed chwilą byli upadli...



BIĄŁY WRÓBELEK.



Biały Wróbelek.

Wiosenne słońce uszczęśliwiało Warszawę, zalewając ją snopami swych promieni; wszyscy szli do Saskiego Ogrodu, gdzie zieleń liści i młodych trawek miała tyle cech świeżości i tyle powabu dla oka, że każdy chętnie spędził tu tę parę godzin czasu, jakie mu w budzecie zajęć dziennych pozostawały wolne. Jaskółki, te istne nurki powietrza, ród niestrudzonych latawców, rzeżko zwijały się w błękitnym oceanie, zasiadały niekiedy na szczycie cukierni Lursa i stamtąd, jakby heroldy, głosiły światu, że oto wiosna odprawa swój tryumfalny pochód, a z wiosną miłość rozpiera piersi wszelkiego ziemskiego stworzenia. I miłość i nadzieja!.. Bóg szczęścia, życia — Bóg miłości i nadziei potrzebuje ciepłego słonka, aby się objawił na ziemi. Smutnie wygląda wtedy zóraw Saskiego Ogrodu, ów niegdyś nieboszczytny latacz, a teraz wygnaniec, na samotność skazany, pieszy pielgrzym, tęskniący do powietrznych szlaków. Oto, dziwna tęsknota go zdjęła,

wyciąga szyję, spogląda w górę i nieszczęśliwy nasłuchuje, czy go hasło braci nie doleci skądś od nieba. On ma związane skrzydła!

Dzień był uroczy, wiosenny; pod werendą cukierni Lursa bzy zakwitały, a woń ich szła przez powietrze, orzeźwione ciepłym deszczykiem, którego kropelki nie oschły jeszcze na liściach wielkich aleosów, ustawionych w wazonach; mieniły się więc tęczą te krople wody w promieniach słońca. Któż jest obojętny na złote pociski Heliosa, kiedy ten wspaniały władca z wozem swoim jasnym wyjedzie w majowy ranek na niebo, wolne od najmniejszej chmurki? Latorośl dzikiego wina w pąki się stroi, słońce je muska, pieści, a one pękają i w liść się wiążą. Życia, szczęścia wszystko użyć pragnie. Na płaskim dachu werendy legł duży kot bury, mruży oczyma, grzeje się; rozmarza go i czaruje wiosenna przyroda. A po trawach, po krzewach bzów i wśród konarów kasztanów rozbrzmiewają miłosne świągoty wróblego rodu.

Okolo południa duży był ruch pod werendą; goście nieustannie się tu gromadzili: mężczyźni, kobiety i z nimi częstokroć dziatwa. Zeszły się artystki dramatyczne, piękne i brzydkie, modne dnia bohaterki i inne, dawno już wyszłe z mody. Gdzie zaś są boginie, tam muszą być i ich czi ciele.

Usługujący chłopcy wynoszą z cukierni poręce kawy, herbaty, czekolady, a oprócz tego — stosy

bryoszów, szprykuchenów, ambasadorów, biskoptów, biskiuitów i t. d. Kot z płaskiego dachu werendy przygląda się obojętnie tym ludzkim zachodom, wróbelek czasem przechyli główkę i zazdrośnie spojrzy na obfite zapasy stołów.

Naraz weszła tutaj para młodych ludzi; ona miała lat ze 20, on—może 30; ona była wysmukła, jak młoda drzewina, garnąca się w boru do widoku światła, — była wiotka, jak młodziotka palma, — oczy jój połyskiwały, jak brylanty, — twarz płonęła, jak centyfolia, — usta krasniały karminem, uśmiechały się pogodnie, a pierś jój drżała, tak jak drga zwierciadło wód, kiedy je wietrzyk swawolny wzrusza.

On był wysoki, wytworny, we zwroku tkwiła siła meża krzepkiej ręki, postać zdradzała człowieka obytego z życiem.

Oczy wszystkich gości zwróciły się ku tej parze; spoglądano przez binokle, monokle i gołém okiem. Kobięty nachylały się do ucha jedna drugiej, snadź obmawiały postać przybyłej niewiasty lub jój toaletę, a zresztą przecież każdy ruch bliźniego można poddać krytyce. Ona była aniołem teatralnym pierwszorzędnej piękności, trzeciorzędnego talentu; zwano ją Minią. On należał do złotój młodzieży; ale czasy jego złota przemigły i pozostały mu tylko nałogi ludzi posiadających złoto; przyjaciele serdeczni nazywali go Tomciem.

Tomcio i Minia usiedli wśród świegotu wróbli

i wśród szeptów ludzkiej obmowy, a służący po-
dał im dwie porceje kawy ze śmietanką, na inną
zaś tacy — dużo ciastek. Minia ślicznymi palusz-
kami rozrywała miękkie ciasto i, bawiąc się, rzu-
cała je ptakom, a ptaki chciwie rzucały się na
pożywienie, piszcząc i cisnąc się po kilkunastu do
jednego okrucha. Wśród tych szarych wróbli był
jeden biały w połowie, różny od reszty wróbli.
Ileż Minia rozrzuciła żywność, szare wróble u-
siłowały białego nie dopuścić do kawałka chleba;
bily i czubily go niełitościwie, wydierały mu
z dzioba przypadkiem pochwycone okruchy.

— Biedny jest na świecie taki biały wróbe-
lek — powiedziała Minia.

Tomcio przyglądał się téj walce ptaków i rzekł:

— Ow biały ptaszek panią mi przypomina, sza-
re wróble — to twoje otoczenie, które ci zazdrości
wdzięków i powodzenia w świecie.

Uśmiechnęła się lubo Minia, zalotnie spojrzala
Tomciowi w oczy i dalej rzucała ptastwu okru-
chy, zabawiając się niezmiernie walką wróbli.

— Bezwstydna zalotnica! — mówiła jedna z ak-
torek, siedzących w oddaleniu, a w towarzystwie
innéj już podstarzałéj aktorki.

— Założyłabym się — twierdziła inna znowu —
że ta Minia będzie kiedyś zakałą naszego zawo-
du, który upośledzają sobą takie właśnie kobiety
jak ona!

Młoda debutantka, do której zwrócone były
te słowa, westchnęła mimowolnie i ukradkiem

spojrzała w kierunku dorodnego towarzysza Mini.

— Ona się na szyję prawie garnie temu Bajeskiemu, — oburzała się trzecia jeszcze, której towarzyszył jakiś jegomość w rudawej peruce. — Bezecnica, w oczy mu ciągle zagląda i zdaje mi się, że go nogą trąca pod stolikiem...

Stary jegomość westchnął mimiwolnie i ukradkiem posłał spojrzenie w kierunku urodziwej towarzyszki Tomcia.

Tymczasem bury kot z płaskiego dachu z żywym interesem począł się przypatrywać zaciętej walce wróbli o okruchy ciasta; oczyma już nie mrugał do słońka, lecz ułożył ciało do skoku; leżał nieruchomy, czasami tylko od niechcenia strzygąc jedném uszkiem.

Minia wzięła z tacy nowe ciastko i skubiąc je paluszkami, znowu rzucała wróblom garstki okruchów. Zrobił się ogromny ścisk ptastwa około biesiady spadłej z ludzkiego stołu; słyhać było trzepot skrzydełek i ciągły głos: „trzszy trzszy!” Wróble zlatywały się z odleglejszych okolic ogrodu, ilość ich wzrastała nieustannie a biały wróbelek spotykał coraz więcej nieprzyjaciół wśród szarych pobratymców. Widocznie był on bardzo głodny, więc tém skwapliwiej usiłował dobrać się do jakiegoś kąska. Ale zaledwie uchwycił w dziobek kawałek ciastka, już mu ze wszech stron pokarm wydzierano, a oprócz tego zewsząd się nań posypał grad pocisków. Popie-

late samiczki i czarnogłowe czupurne samezyki były go zapalczywie, jakby intruza. Od tych ciosów w pył się przewrócił, nie mogąc ustać na nogach, ani nie mając czasu, aby wzlecieć w powietrze. W tej właśnie upatrzonj chwili z płaskiego dachu werendy szybko, nagle a lekko wskoczył kot bury; spadł prosto pomiędzy walczące ptaki; w mgnieniu oka uciekły w popłochu wszystkie szare wróble, uleciały na bzy, na wysokie kasztany... Ale sponiewierany biały wróblek nie zdołał się tak prędko porwać z ziemi; on, biały i prześladowany, stanowił dobry cel dla skoku kota. Wnet też napastnik unosił w zębach trzepocącego się białego ptaszka, pomknął i znikł z nim w krzewach.

Wszystko to było dziełem tak krótkiej chwili, że nikt ofierze kota pomocy nieść nie zdołał.

— Patrz pani — rzekł Tomcio — ktoby się spodziewał tak smutnego obrotu rzeczy?

— Smutnego?.. — spytała Minia. Jeżeli białym wróblem jest źle na świecie wśród szarych, to powinny one szukać sobie kotów.

— I po co szukać? Wszak koty czatują na wszystkie strony... Lepiej się oddać najbliższemu — powiedział Tomcio, patrząc uważnie w twarz Mini.

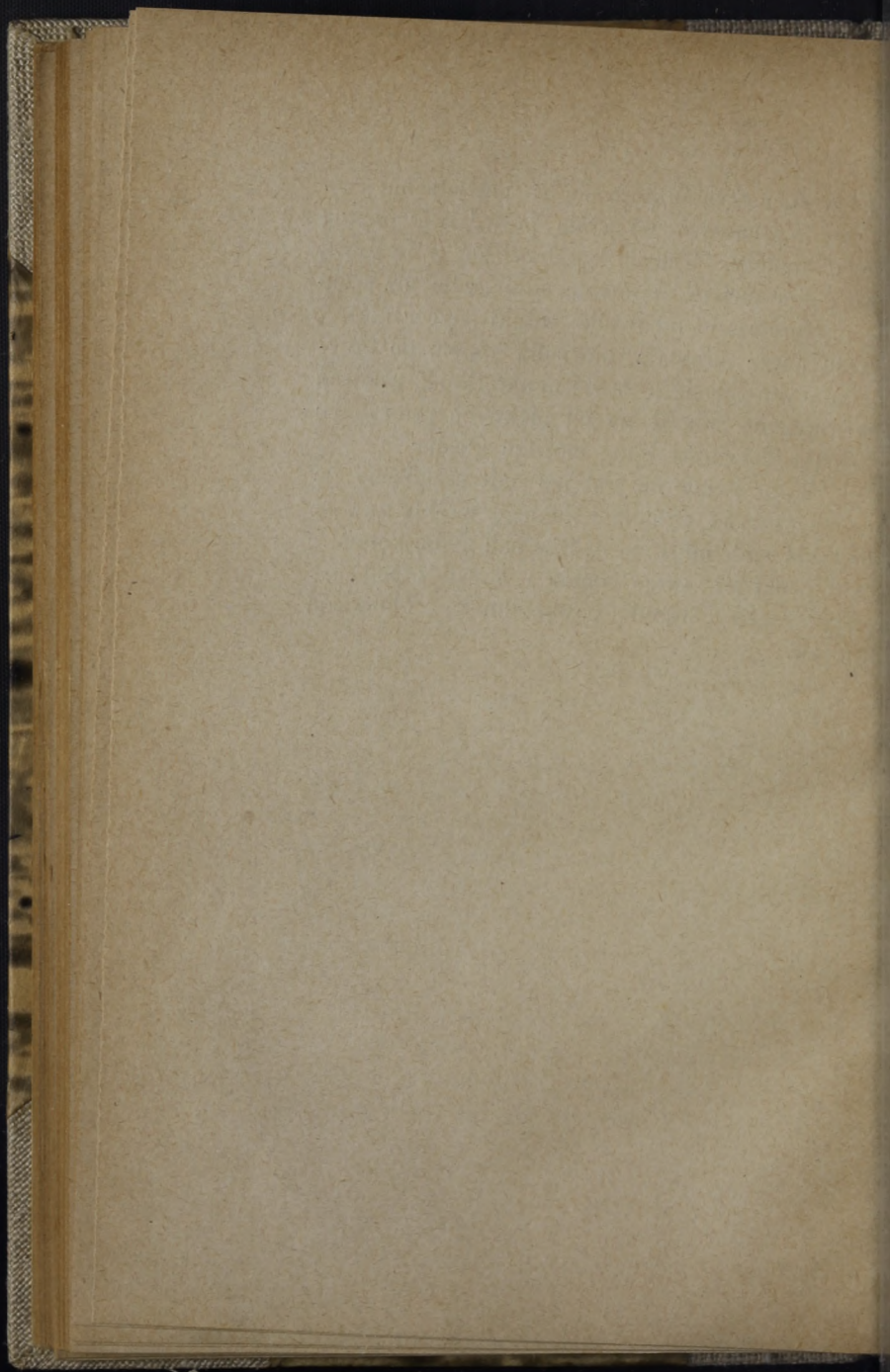
A Minia zamyśliła się, jakby posmutniała; zresztą może tylko jakieś postanowienie ważyła w duszy. Słońce przedarło się przez młode listki dzikiego wina, okalającego werendę, igrało około

jój śnieżnej szyi, ślizgało się po powierzchni czoła, co wyznaczyło wyraźnie prawdziwie piękną głowę kobiety. Tomcio wpatrzył się w tę żywą statwę z uczuciem nierównie silniejszym niż uczucie najgorętszego lubownika sztuki snycerskiej.

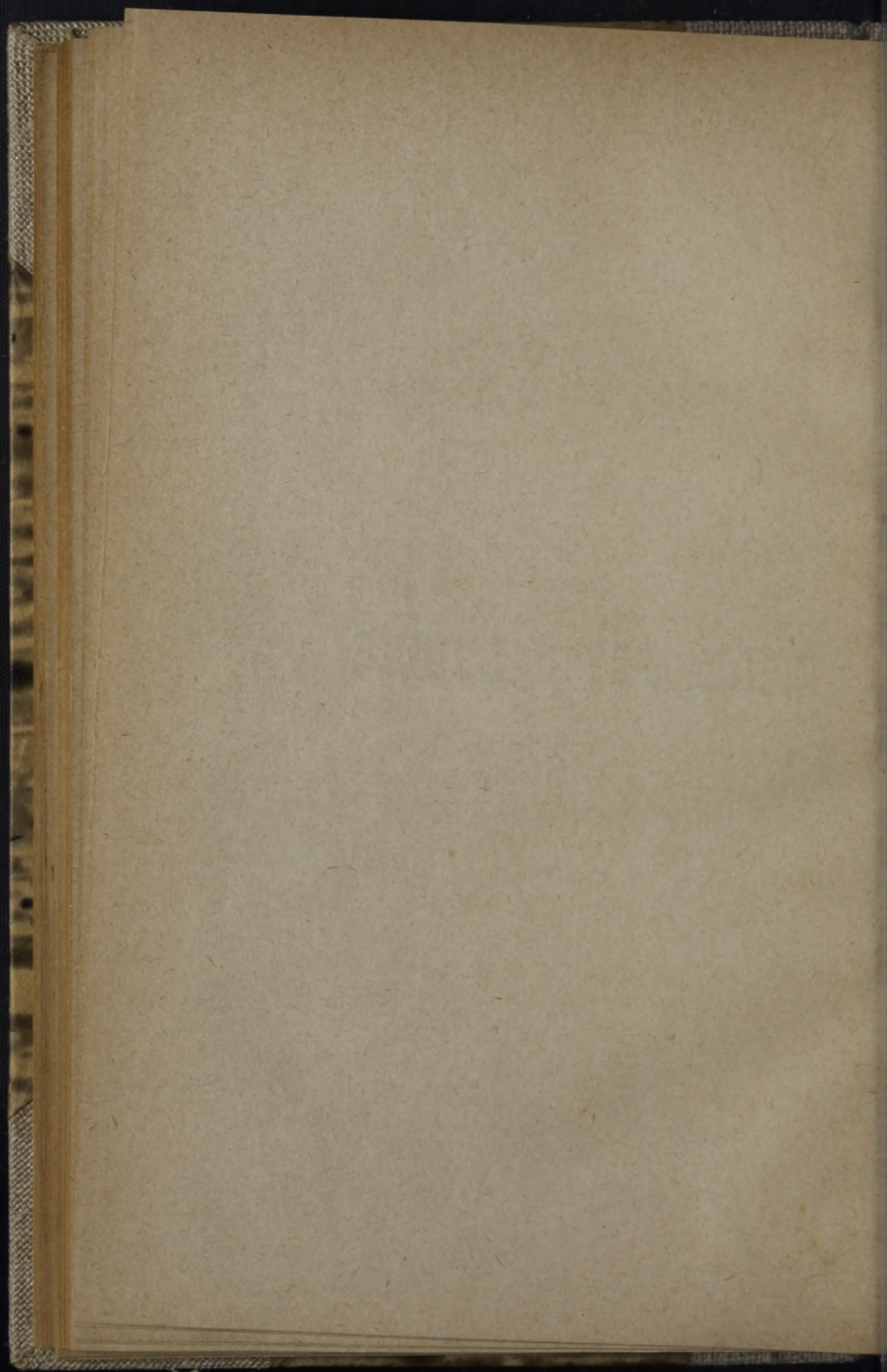
Ona nagle powstała, powiodła okiem po przyglądających jój się z zawiścią aktorkach, uśmiech lekceważenia zaigrał na jój pięknych usteczkach i podała Tomciowi rękę, mówiąc głośno:

— Skoro świat ten jest już tak urządzone, że między szarymi wróblami białego wróbla zawsze kot jakiś zjeść musi, to bądźże pan moim kotem....

On podał jój swoje ramię i wyszli z pod wendy razem wśród powszechnego oburzenia aktorek.



WILK, PSY I LUDZIE.



WILK, PSY I LUDZIE.

I.

Witajcie mi, witajcie Nadnarwiańskie lasy! Wasza woń i świeżość zdaje się jeszcze pieścić i upajać mię dzisiaj, choć już dwadzieścia lat temu, jak was pożegnałem. Obraz boru, jak wszedł w duszę, tak w niej pozostał ze wszystkimi szczegółami. I oto widzę przed sobą reprezentantkę naszej szpilkowej roślinności, sosnę. U dołu nie ma ona gałęzi, jest wysokopienna, czerwona, leni się cieniutkimi warstewkami, jakby pieniążkami, rozrzuca swą korę dokoła. Wyżej, pokryta jest sękami i sęczkami; w górze nosi koronę, jak jeleni, rozsochata, rzadką w konary, pomiędzy którymi wysoko czernieje gniazdo wronie jastrzębie lub krucze. Przysiada ją niekiedy zielona jemiola, co ku dołowi opuszcza kołpak swych liści, tak żywo połyskujących, bo na cudzej wypasionych skórce. Przy ziemi sterczą korzeniska, leży mnóstwo szyszek oraz igieł, tych materiałów budowlanych dla mrówek. Z tych owadów jedne

oto dźwigają taką igłę, rozparłszy się całemi siłami jak dwa mocne chłopcy; inne odbywają staranne poszukiwania w szyszkach, zalazłszy w każdy ich zakątek, — a inne jeszcze wybrały się w uciążliwą podróż, het ku wierzchołkowi drzewa. Alić przyłeciał piękny, pstry dzięcioł, lekko przysiadł na drzewie, okiem bystro objął pozycyą i zaczął tu swoje gospodarstwo. Strach wielki wśród pracowitego narodu mrówek. Każde stworzenie zna swoich nieprzyjaciół, umie ich dopatrzeć, dosłyszec, zwietrzyć. Więc te, które były blisko podstawy sosny, czempredzėj na ziemię schodzą, niektóre chronią się na szczyt drzewa i na jego gałęzie, a inne chcą oszukać nieprzyjaciela i chowają się w kryjówkach pod korą. Daremnie! Dzięcioł należy do drapieżników, jawnie napadających na swą zdobycz. Krzyknął głośno—raz—drugi raz... potem dziobem stuka, jak młotem, wali w korę. Strach wielki pada na ukryte owady, ten huk ogłusza je strasznie i prawie że pozbawia przytomności umysłu; wyłażą na wierzeh, przerażone, zaczynają zmykać; ale cóż im to pomoże wobec dzięcioła? Wiewiórka, przestraszona zgiełkiem, wyskoczyła także jak bomba z dziupli swojej; podskakuje, niby piłka rzuciona, lub sunie w górę zręczniej od dzięcioła; zadarła swój ogonek, zasiadła na dwóch łapkach i ciekawém okiem przygląda się dzięciolowej pracy.

Przy jedném drzewie tyle istot żywych, choć wszystkich przeliczyć nie zdołamy przecież. I émy

i pajęczki, chrząszczyki świat tu sobie założyły. Było im dobrze, bezpiecznie, przyjemnie wśród żywicznej woni, aż po chwilę, kiedy nieprzyjaciel wytropił schronienie, zniszczył rodzinne gniazda i rozrzucił je, a założycieli rodzin pozabijał, porozpędzał na cztery wiatry. Nie w prostym kierunku, ale dookoła, jak szruba, mknie dzięcioł w górę, nurtuje wszędzie państwo owadów. Taki zły, choć taki piękny: szaty jego jaśnieją i szkarłatem i jedwabistym połyskiem! Podchodzi ku szczytowi; wiewiórka parsknęła i dzięcioł odleciał do innej sosny; on także boi się kogoś widać.

W gęstwinie świerku, po jego szarzej korze, między powyginanemi gałązkami, uwija się całe stado popielatych i modrych sikorek, tych kolibrów naszych krajowych; piszczą i szczebiocą sobie zeicha, jakby wiodły poufną jakąś dysputę, a przytém prowadzą zawzięte łowy na komary, poszukujące cienia, na świętojańskie robaczki, sprężyki i t. d. Stary świerk stoi, niby na kopcu, na stosie swych opadłych i uwiedłych szpilek; niedaleko wyrosło kilku synów jego, którzy podobni są do małych gotyckich wieżyczek, otaczających wielką wysmukłą wieżę w tymże stylu.

A dalej czerni się gąszcz młodego drzewstwa, które przysłoniło ziemię swoim parasolem, tak iż się tu nie przedrą promienie słoneczne i przeto na ziemi gdzieniegdzie tylko kępka wysokości trawy porasta. Zimą przez gąszcz ten przechodzi główny trakt zwierzyny. Tędy sunie zając, a za

nim trop w trop lis ściga; tutaj wilki zbierają się na wiece; tu odyniec zakłada legowisko, spodziewając się wytehnienia przed ludzką napaścią. I zwinna kuna przemyka się tędy, i sarna goni pierzehlwa. Historią nocy może każdy odczytywać w zimowy ranek ze śladów, które mieszkańcy lasu zostawili po sobie na śniegu.

Idziesz dalej, a po drodze furknie ci przed nogami z krzykiem drozd, albo się zerwie wrzaskliwa sójka. Wobec wspólnego wroga wszystkie żywe istoty lasu mimowolnie wchodzą w związek solidarny. Gdy sójka wrzaśnie, wtedy ma się już na baczności i zając zaspany pod krzakiem, i wiewiórka na gałęzi, i motyl się z kwiatka porywa.

Kończy się gęstwina szpilkowej młodzi; widać porębę. Z poręby można się już niebu dobrze przypatrzeć. Słońce świeci tu i przygrzewa. Na słońce wychodzą z lasu węże i jaszczurki, aby się w porębie wylegiwać; o południu zaś gromadzi się wszelki owad leśny, wzdychający do jasnych promieni światła. Brzęczą tu rozmaite muszki; ważki i szklarze bujają w powietrzu; motyle przelatują to górnym to dolnym szlakiem — białe, szare, niebieskie, żółte, duże i małe. I bezskrzydłe mrówki, i zielone pająki, i czarne szczypawki, siedmiokropki albo biedronki — krzątają się rażno. Koniki polne hasają, skaczą; świerszcz przygrywa do tańca, do zabawy powszechniej. Pod wpływem promieni słonecznych zrodziła się chyba

energia i uczucie szczęścia organizmów. Więc nie dziw, iż w dzień biały, ciepły — panuje ruch tak powszechny. Wszystko się kształci, doskonali, wzrasta, każde stworzenie używa życia, jak umie.

Niéma kwiatka, w którymby jakiś owad nie pracował; gęsta trawa wstrząsa się od ruchu drobnych stworzeń, które chyłkiem i milczkiem pełzają po samej ziemi. Osy, szerszenie, trzmiele brzęczą. Czasem, jak kula, wypada z gąszczu drobna, szara ptaszyna, pogoni za motylem, schwyci go i znika. Niech się tu pokaże człowiek, koń, sarna, w ogóle większe jakie stworzenie, a w gnieniu oka opadną je krwi chciwe gzy z wielkimi oczyma, wpiją się w ciało i raczej śmierć przyniosą nad porzucenie swój ofiary.

Nastrojona wyobraźnia ludzka, niezawsze w duchu prawdy pojmuje przyrodę. Bawi człowieka ten ruch istot żywych; ale czyż się myśli zawsze, że nie wszystko tu jest szczęściem i weselem. Przedewszystkiém te stworzenia bardzo ciężko pracują, walczą jedne z drugimi. Nie każdy głos jest tu głosem szczęścia. Jest także dużo i cierpień, bólu. Miliony jestestw pada w krwawych zapasach o kawałek chleba, o uczucia swoje, o prawa: jedne giną, aby żyły drugie. Każdy się bowiem broni, każdy walczy; ale nie każdy zwycięża. Życie ziemskie, oraz ziemia sama, aby się zapłodnić, potrzebują trupów, aby życie rozwinąć dalej. Więc gdy jedni święcą pogrzeby i żałobę, drudzy ich kosztem wyprawiają wesela

i uczy. W walce o istnienie znajdujemy tak dobre trupy mrówek, świerszczów, motyli, jak zwłoki ludzi i różnych ssaków. Bo nie się nie organizuje bez dezorganizacji. Wszędzie jest wojna, wszędzie bohaterowie, tryumfatorzy i bohaterzy-męczennicy. Pająk usnuł piękną, symetryczną i jakby z jedwabiu siatkę, na którą poeta patrzyłby ze zgrozą, gdyby się w niej łowili ludzie, zamiast much i komarów. A jednak, ściśle mówiąc i te stworzenia są naszymi bliźniami, podobnie jak same pająki.

Wśród liściastych drzew i krzewów znów inny rodzaj życia panuje. Rumieni się kalina; drżą srebrne liście osiki; biało połyska brzoza; szumi górą dąb stary, wiązy i grabina; jeżyna dołem się ślania, bujnym swym liściem przykrywa grzyby; rozłożyste paprocie, gęsto usiane borówki, poziomki, szczawie zajęcze, kępy przyłaszczek rosną naprzemian z sasankami, konwalia, pierwiosnkami. W leszczynie cieniuchnym głosikiem śpiewa a śpiewa pokrzewka i zielona żabka wtoruje jej niby grzechotką; na sęku dębu zięba nuci krótką lecz powabną piosenkę, a ponad nią wesoło pogwizduje wiwilga, przerzucając się z gałęzi na gałąź, jak kłębek szczero-złoty nici. Tęsknym, urywanym głosem gil w oddaleniu poświstuje, a tęskniej jeszcze od niego jakieś piskłę nawołuje z gniazda ku sobie zabląkaną kędyś matkę. Wśród gąszczu liści słyhać w górze gruchanie gołębi, a ponad tém wszystkiém od czasu do czasu zakraka kruk w przelocie.

Nowe znowu obrazy życia roztaczają się około leśnych strumieni, źródeł, moczarów i bieli. Strumień rwie się przez mechy, zarośla, korzenie drzew; ale tyle spotyka on przeszkód, że wreszcie traci niejako swą siłę, gubi swoje łożysko, spływa po wierzchu, rozlewa się wokół, wsiąka w ziemię, tworzy bagno. Wody przybywa nieustannie, powstaje jeziorzysko. Rosną dokoła sitowia, rokitnicy, wikle, tataraki; olszyna się rozpuszcza, korzeniami grzązki grunt trzyma; do niej tulą się sztywne trawy, skrzyppy, a gdzieś tam wykwita storczyk lub bukiet kaczyńcu; wśród wód wznoszą się tu i owdzie, jak wysepki, zielone kępki, pokryte trawą bujną, rdestem wodnym i niezapominajkami. Ale sam środek jeziorzyska albo bieli—trudny do przejścia. Wody zebrało się tu dużo, a żadne jej brzegi nie hamują; płynąć nie może już dalej, bo oto wzgórze na drodze spotkała, więc cofa się nazad i rozlewa na wszystkie strony. Lecz nim zalała okoliczne miejscowości, zebrała się głównie w jednej kotlinie. Jest to więc biel. Niegdyś rosły tutaj drzewa, ale pogniły, tylko nagie, czarne pale sterczą po nich nad wodą, po powierzchni której pływają rzęsa, pływają także szerokie liście grzybienia, a wielkie, białe oraz żółte kwiaty tej rośliny, unoszą się nad wodą, podobne do starożytnych roztruhanów. Wysmukła trzcina, to rośnie kępami wśród wód, to brzegiem gęsto porasta, woda ją wzrusza, wiatr nią kołysze i stąd dziwne szu-

my, skrzyp oraz gwizd przerywają ciszę tego ustronia. Czasem kurka wodna wyplynie, łyska, skrajami się przemyka, cyranka z potomstwem żeruje, zapadają wielkie kaczki krzyżówki i wśród trzcin oraz tataraków rozpoczynają pilne poszukiwania. W noc księżycową słychać tutaj ciągle pluski; biel nakrywa się mgłą gęstą, jakby przyślonić chciała swoje tajemnice. Latem o świcie ruch i życie zaczyna się po bielach. Kto się przybliży, ten usłyszy gwary i głosy różnorodne. Oto wielki kaczor wzniósł się nad wodę, niby stoi na jej powierzchni, skrzydłami trzepoce w powietrzu; wrzeszcząc donośnie: tak... tak... tak!.. Całe stado niebawem powtarza za nim to samo hasło. Niektóre młode wprawiają się w nurkowanie, inne opuściły dziób i szyję pod wodę, a tył ciała ustawiły pionowo. Na brzegu stoi czapla zadumana jakoś poważnie, zdaje się być obojętną na wszystko ten zgiełk wielki. Dwie bielutkie mewy z dalekich stron przyleciały tu z wiatrem, przenocowały, a raniem odbywają jeszcze przegląd bieli. Muskają wodę, rzucają się w górę szybują, to znowu jak kule spadają ku dołowi. Nadbrzeżną kałużę obsiadły małe kuliki z pliszkami. Około kępek po błocie gonią bekasy i dubelty. Czasem porwie się który, wzleci, krzyknie i znowu spada na bagno.

Wtém nagle na wodę padł cień jakiś olbrzymi, jakoby czarna płachta odbiła się na bieli. Przeciągły pisk zabrzmiał po wszystkich bagienkach,

po wodzie zaś rozległ się plusk przeciągły, rzekł-
byś, iż ciężkie jakie cielsko przewlokło się tę-
dy... to ptastwo wodne się chroni. Wszystko u-
cichło, pierzchło, bo oto olbrzymi jastrząb, łowca
i pierwszy po człowieku tępicieł skrzydlatę zwie-
rzyny odbywa ranne odwiedziny; potrzeba mu wła-
śnie podatku krwi i życia od istot słabszych.
Przeleciał nad samą powierzchnią wody powolnie,
ciężko, bacznie dokoła siebie obserwując. Nic nie
widać. Pospieszył ponad zielone kępki, zrywa-
ją się kszyki i twożliwe głosy niosą w powietrze.
Ale któż kszyka dogoni?... Zawiedziony łupieżca
wzbił się w górę i usiadł na samym szczycie są-
siedniego drzewa.

II.

Pod lasem, przy małej drożynce mieszkał Szy-
mon strzelec, chłop stary, mądry, zawołany my-
śliwy chodząca kronika boru. Wiedział on, ile
sztuk sarn jest w kniei i gdzie się która o każ-
dej porze dnia znajduje. Obyczaje dzików, wil-
ków, lisów i zajęcy były mu dokładnie znane;
z niektórymi osobnikami szczycił się nawet bar-
dzo bliskimi stosunkami znajomości, to znaczy, iż
poznawał w lesie sztuki, które kiedyś uszły przed
jego strzałem. Takim zwierzętom przypisywał
Szymon niejako związki z siłami nadprzyrodzo-
nemi. Miał on swojego zająca, którego już cztę

rykroć chybił w ciągu dwóch lat przynajmniej. Był i lis taki, co zręcznie omijał wszelkie samolówki, sieci oraz żelaza, a przed pogonią ogarów ginał nieraz, jakby pod ziemią. Gospodarzył też w tamtejszych lasach osobliwy dzik pojedynek; z nim to Szymon spotykał się już niejednokrotnie oko w oko, strzelał już do niego nabojem z grubych ćwieków, gdy zwykle kule nie pomagały. Ale i to się na nic nie zdało. Następnie więc strzelec użył święconej kuli, na której trzechkrólową krédą zaznaczony był biały krzyżyk. Dzik ów zniknął niekiedy z boru na jakiś czas, a potem znowu się zjawiał, zakładając legowisko to w gąszczach, to na brzegach bieli w bagnach. Latem wyrządzał on niemałe szkody w polach przylegających do lasu, zwłaszcza też pustoszył kartofle. Szymon zasadzał się na zwierza nocami, i on, który w sprawach myśliwskich chciał być nieomylnym, pozwalał się dzikowi oszukiwać; bo pojedynek właśnie w czasie zasadzki albo weale nie wyszedł w pole, albo pokazało się nazajutrz, że o trzysta kroków od zaczajonego strzelca skopał i zniszczył kawałek pola. Nie był to więc pospolity odyniec, jakich Szymon corocznie kilku kładł trupem. Nasz myśliwy sądził, że dzik znał jego myśli i zamiary, że więc niepodobieństwem było walczyć człowiekowi ze stworzeniem tak dziwnego rodzaju.

Jednakże ani ów mądry zajac, ani przebiegły lis, ani dzik, o którym właśnie co tylko była

mowa, nie mogły iść w porównanie z pewnym wilkiem, albo—jak go Szymon mianował—*„wilkolakiem”*.

„Przed siedmiu laty” — są słowa starego myśliwca—*„przybyło w te strony nad Narew stado wilków, liczące coś trzynaście sztuk. Zima była wówczas bardzo mroźna i śnieżna. W końcu stycznia wilki owe podeszły nocą ku jednej wsi, podkopały się do chlewa i pożarły trzy sztuki świń. Nazajutrz zrobiliśmy polowanie; wyszło w naganek dużo ludzi z drągami i widłami, a strzelców było ze dwudziestu. Obszedłem tropy, rozstawiłem wszystkich, jak należało, i sam narzecie zająłem własne stanowisko. Nigdy tego nie zapomnę, jak spadłowałem wtedy o dwadzieścia kroków. A było to tak: Wilki rozbiły się podczas obławy, nawet jeden wilk z całej gromady zniknął gdzieś bez śladu, jak kamień w wodzie. Ubito już trzech, a z pięciu uszło przez łańcuch i przepравиło się po lodzie za Narew. Na mnie wyparowały odrazu aż cztery wilki. Z przodu szło ogromne wilezysko, wyższe o głowę od innych; zwierz ten bynajmniej nie pędził, przestraszony krzykami i hałasem naganek, ale kroczył sobie dosyć wolno, podskakując zlekka; paszczę miał otwartą i język z boku wywieszony, a ogon podniesiony w górę jak pies. Karczysko było strasznie grube, porośle płowymi kudłami. Nieulękły, stanął naprost mnie i bystro wytrzeszczył ślępie; zdawało się, że pilnie nasłuchuje.*

Nigdy jeszcze w życiu nie widziałem takiego wilka! Wziąłem go dokładnie na cel, będąc ukrytym za drzewem; jednakże strzelba nie wypaliła, a i loskot wcale nie przeraził wilka. Szedł prosto ku mnie, jak nigdy nie, podczas gdy inne wilki rozbiegły się na wszystkie strony. Gdy przebiegał koło drzewa, za którym stałem ukryty, słyszałem wyraźnie jak szczęknął zębami. Sięgnąłem po kapiszon, choć mi się zimno zrobiło, bo wilka tak zuchwałego na obławie nie widziałem nigdy. Spojrzałem w stronę, gdzie poszedł, a on sobie zwolna postępuje o jakie dwadzieścia kroków odemnie. Celuję i strzelam; cóż kiedy strzał chybia. Przeżegnałem się teraz, ale już nawet nie miałem odwagi poszukać, gdzie upadł nabój ostro nabity loftkami. Wielkie wilczyisko uszło w bór, gdyż był to wilkołak, to jest zła dusza w wilczej skórze.

Jakoś w tydzień przeszło po polowaniu chwycili cięższe jeszcze mrozy, tak że ptastwo od nich padało; wilczych tropów pełno był po polach i koło lasu, choć nie dało się słyszeć, żeby gdzie we wsi stała się komu jaka szkoda od tych zwierząt. Pamiętam, było to w dzień Ś-go Błażeja, wieś złożyła się na wotywę na intencją sfolgowania mrozów. Po nabożeństwie w Goworowie zebrali się gospodarze na pogwarękę w Małowieskiej karczynie i tak też tam zeszło do zmierzchu. Wyszedłem z karczmy ze soltysem Matusem, miałem się zaś puścić zaraz ku chałupie, ale kum powia-

da: „Wstąpcie no do mnie Szymonie”. Zalażłem więc do Matusa i zabawiłem chwilkę czasu. Wyjrzał kum na świat i mówi: „Przenocujcie Szymonie, bo się jakoś ściemnia, a z Małowieży macie spory kęs drogi do domu”. — „Ha to i lepiej, kiedy ciemno — rzeknę — widać dobrze zelżało, pomogła wotywa, — może jutro będzie ponówka. A mnie przecie nie dziwno tłuć się nocą do domu”.

„I tak puściłem się w drogę, choć było bardzo ciemno. Śnieg zaczął lekko pruszyć, potem padał coraz gęstszy. Myślę sobie o jutrzejszym polowaniu, a tu naraz widzę, żem jakoś zбочył z drogi, którą przecie od jakich czterdziestu lat wracałem do chałupy, bywało i we dnie i nocami. Spojrzę, aż tu ni stąd, ni zowąd, jestem w wiklinkach na łące. „Tfu do licha ciężkiego, co to znaczy” — myślałem sobie w duchu. Zawracam napowrót; śnieg gęsto wali mi w oczy, spoglądam, a ja tu znowu jestem po drugiej stronie drogi w krzakach tarninowych. Widocznie kaduk mię opętał i nosił. Ale z duszą chrześciańską nie tak to łatwo; odpiąłem ja kurtę, sięgam pod koszulę a szkaplerz na wierzech wykładam i z dobrą miłą znowu ku drodze zawracam. Idę, idę... ile mogę, przykładam się okiem do ziemi, do nieba; ciemno okrutnie, tylko płyty śniegu sypią. Zalażłem téż w pole na gliniane pałygi, blisko wyrw i wawozów, którymi corocznie woda z całej okolicy do lasu splywa. Przyszło mi więc do głowy zaśpiewać: „Kto się w opiekę”. Czy mi

język od zimna zeszywniał, czy téż zły już tak gębę zamurował, dosyć, żem ledwie parę ze siebie puszczał, a głosu ani rusz dobyć nie mogłem. Wiedziałem ci ja dobrze, gdzie jestem: „tu stoję—myślałem sobie tam za mną Małowieża, na lewo musi być droga, zaś rychtyk przedemną bór i moja chałupa”. Trafic jak nie mogłem tak nie mogłem. „Może złego nie kusić — rzeknę do siebie — usiądę ot lepiej w jarze i przeczekam aż rozświta”. Począłem téż szukać krzaczka jałowcu, żeby mi nazbyt za kołnierz nie napruszyło. Ale coś się nie udawało znaleźć wygodnego schronienia. Więc przebyłem wąwaz i zaszedłem pod gruszę, w czystém polu stojącą. Tu usiadłem sobie w zaciszu przed wiatrem a śniegiem; miałem ochotę teraz zdrzemnąć się kruszynę, ale chciałem przedtém jeszcze rozejrzeć się po świecie. Postawiłem strzelbę pod drzewem, przyłożyłem rękę do oka i patrzę to na niebo, czy śnieżyca nie ustanie,—to przed siebie, czy nie widać czego. W górze ani jednej gwiazdeczki nie ujrzeć: czarno i czarno. W polu za to zdało mi się, że coś świeci; patrzę pilniej, światelko się przybliża: jedno, drugie, trzecie.. Zrozumiałem zaraz, że to wilki. „Zle ze mną, w takim szczerém polu i przy tak ciemnej nocy”. Dalejże strzelbę na plecy i myk w górę na gruszę. Ledwem się dostał na gałąź, spojrzę ku dołowi, a tu wilki zpod drzewa wpatrują się we mnie, jak w obraz. Gdym je przerachował, naliczyłem pięciu. — „Dobryś,

pewno to wilcze wesele, a moje takie psie szczęście, żem się na niem znalazł”. Cichutko opatrzyłem strzelbę, przykładam się, ale nie strzelam.— „A czy ja wiem—strzelać nie strzelać? Jak się bestye rozeżrą, gotowe i drzewo podgryźć, a wtedy zginę”. Przypomniałem sobie wówczas, że mam akurat pięć nabojów, to jest tyle, ilu było wilków, chociaż jeden tylko nabój był z kulą, loftek miałem na dwa strzały, na resztę szrót zajęczy. Była to dobra wróżba, — dla każdego rozbójnika jeden nabój. I to mię téż—co prawda—tak pokrzepiło, żem zamyslał spróbować szczęścia. Trudno mi było ze strzelbą siedzieć niewinnie, jak ptak na gruszy. Wymierzyłem dobrze w dwie świeczki najbliższego wilczury, a choć w ciemności, wytrzymałem tęgą chwilę. Jak nie wytnę, Panie święty,—tarach!... Pod gruszą stał sie jakiś zamęt okrutny, ale mało co widzieć mogłem, bo i ciemno, i przez gałęzie źle było patrzeć. Zmierzowałem i tak przecie, żem strzału nie zmarnował; wilk się przewalił, a kamraci — zamiast go ratować — zaczęli szarpać i tarnosić, przyczem słyszałem straszliwe warczenie i harkanie. Potem wszystkiem wilki drapnęły na bok w pole; ale za chwilę przyskoczyły znowu do drzewa; jak gdyby się wściekły, zaczęły pień z wielkim gwałtem podgryzać, tak że czułem wstrząśnienia na mojej gałęzi. Pomyślałem wtedy: „Jeżeli zgryziecie ten twardy orzech, to wam, szelmy, już na mnie zębów chyba zabraknie”. Srożąc się,

podskakiwały w górę, a jeden nawet na bok usko-
czył, wspiął się, czy też przy pomocy skoku po-
chwycił w paszczę gałąź, co ku dołowi opadała,
począł nią trząść i szarpać, aż konar pękł. Mia-
łem chęć dać mu naukę, ale z powodu gęstych
gałęzi nie mogłem go wziąć na oko; tém trudniej
zaś było strzelać do wilków, tuż pod gruszą bę-
dących; szkoda mi było marnować naboje. Prze-
ziębnięty, prawie skostniały, wdrapałem się jak
można było najwyżej. Spojrzę po niebie, chwa-
ła Bogu, znać już tu i owdzie gwiazdeczki, prze-
szły widać główne śniegowe chmury, zaczynało
się przecierać, pogoda następowała. Opatrzyłem
strzelbę i szepcąc paciérz, wlepiłem oczy w ziemię.
Teraz już mi się nie migało przed oczyma, śnieg
bielił się wyraźnie i wyraźnie także czerniały ciel-
ska wilków. Strzelać jednak prosto z góry na
dół nie było podobna; byłem bez oparcia żadne-
go i otoczony gałęziami na wszystkie strony.
Wściekłość też wilków zmalała, bo nie słybać
było już takiego zgiełku, jak przedtém. Dopiero
jeden z nich jak zacznie wyć, a inne za nim—to
cieńszym, to grubszy głośm. Niech Pan Jezus
broni, co też to była za kapela!...

„Wypogodziło się, śnieg teraz błyszczał i oko-
licę widziałem daleko. Było mi raźniej w duszy.
Wziąłem na cel największego muzykanta, wpa-
liłem... Wilezysko, jak bomba podskoczyło w gó-
rę, zwracając ku mnie błyszczące ślępie... Pozna-
łem go wtedy, był to wilkołak... Puścił się w pole

ku wąwozowi, a za nim popędziło trzech innych, jak za wodzem. Nie miałem czasu nabić strzelby na nowo. Na placu pozostał tylko wilk, zwalony na śmierć od pierwszego mego strzału”.

Biędny Szymon ciężko odechorował opowiedzianą tu przygodę. A nie było to ostatnie jego spotkanie z wilkołakiem. Potwór ten najniespodziewaniej przebiegał nieraz drogę wpoprzek, kiedy strzelec nasz zwiedzał knieję; innym razem znowu ukazał mu w gąszczu osiwiąłą paszczę, uzbrojoną w długie zębee i polyskującą parę wściekłych oczu.

Nadnarwiański wilkołak już to łączył się z gromadą wilków, już też pojedynczo pędził samotne życie w kniei. W roku 1866 dobrał on sobie był małżonkę, która go obdarzyła jedynym potomkiem płci męskiej. Szymon dobrze wiedział o owych związkach, ale nie lubił o tém nawet wspominać. I chociaż zawsze zabierał młode wilczęta, zrodzone w kniei podległej jego rewirowi, jednak tym razem brakło mu skwapliwości i nie kusił się bynajmniej o zdobycz.

Los atoli okazał się dla wilkołaków surowym i sprawił to, czego strzelec Szymon nie chciał dokonać z powodu swój zabobonności. Niejaki Wicek Soboń, czternastoletni pasterz krów i koni, zapuszczał się często w bór, mając zamiłowanie do poszukiwania gniazd ptasich. On to przypadkiem natrafił na młodego wilkołakowicza, który, iż był jeszcze w wieku niemowlęcym, nie zdołał

pod nieobecność rodziców założyć skutecznej opozycji i został zupełnie po ludzku anektowany. Przyznam się, że była to czarna niewdzięczność rodzaju ludzkiego, zważywszy okoliczność, iż onego czasu wilezyca przyczyniła się tak wspaniałomyślnie do założenia Rzymu.

Nad Narwią wypadki miały wprost odwrotny charakter; polski Faustulus wziął wilka w jasyr, a później stanął przedemną, proponując handelek. Za marną cenę jeniec świetnego rodu, urodzony w przepysznej miejscowości, zmienił pana -- przepraszam -- przywłaszczyciela. Wiedziałem dobrze, co kupuję, gdyż z łaski Szymona byłem wybornie poinformowany o biegu spraw w kniei. Ale stary strzelec, gdy się dowiedział o wszystkim, co zaszło, przepowiadał smutne wypadki; zwłaszcza też Wickowi nie wróżył on szczęścia na tym bożym świecie. O ile zaś mogłem wyrozumieć z różnych kiwań głową, wzruszań ramionami, pomrukiwań słówek rzucanych od niechcienia, to wieszczbę Szymona możnaby było sformułować w ten sposób: „Wilkołak mści się za doznaną krzywdę, a jeśli sobie kogo upatrzy, zmarnuje mu życie“.

Co się tyczy Wicka, mogę z góry zapewnić, że to opowiadanie całe nie będzie wyzyskane na temat ziszczenia się przepowiedni Szymona, jakkolwiek efekt mógłby mieć powodzenie. Bo cóż kto winien, że Wicek został później dworskim fornalem, a potem ożenił się z jedyną córką zagro-

dnika z Brzezia i z czasem został spadkobiercą chaty, sadu, stodoły, wozu, czterech krów, pary koni i piętnastu morgów gruntu, nie licząc w to wszystko trzody chlewniej, jałowizny, psa, kota i kilkunastu królików.

W istocie, w parę dni potem wilki porwały chłopską czarną owcę; ale trudno to uważać za pełne świadomości uczucie zemsty. To samo mniej więcej wypada powiedzieć o zduszeniu pod lasem stariej szkapy. Wypadki tego rodzaju miawały zawsze miejsce w Małowieży i jej okolicach nad Narwią, a w czasach dawniejszych drapieżność wilków—podobnie jak ludzi—musiała być jeszcze większa. Szymon atoli złowrogo oceniał wspomniane fakta, a mnie szczerze i wymownie doradzał, abym zaniechał idei wychowania wilkołakowego syna, lecz już raczej puścił go do lasu, gdzie—mówił—„znajdzie on swoich“.

III.

Wileczek mój wzrastał. Z początku był dosyć niedoleżny, podobnie jak małeńkie szczenięta—stawał nogi ociężałe, często się przewracał, miał duży brzuch wypukły z obu boków, kudelki pomięte, puchowate i miękkie. Przeważałem go Buta, co znaczy po sanskrycku istota żywa (od pierwiastku *bhu*=być, istnieć, rosnać, żyć.) Bez względu na legendarne swoje pochodzenie, lubił namię-

tnie igrać z maleńkimi piaskami. — Zdaje się, że w tych najmłodszych chwilach życia nie miał w sobie poczucia różnicy gatunku; wilk i szczeniaki były wtedy jakoby jeden gatunek. Podobnie i maleńcy patrycyusze zabawiają się z synkami fornali, ekonomów, karbowych, a jednym i drugim nie zależy wówczas na tém, kto kogo rodzi. Mniemam téż, że i dziatwa bezbożnych czerwonoskórców chętnie igrałaby z malcami chrześcijańskich europejczyków; małe jakie francuziątko bawiłoby się w najlepsze z eskimosiątkiem. Jednakże w Małowieży stara ogarzyca Śpiewka, matka psich szceniąt zwietrzyła odrazu pochodzenie Buty, a widząc go ze swoim potomstwem strojącego figle na polu wilecze, na polu psie, obwąchała najprzód troskliwie od stóp do ogona, potem zaś najeżyła sierść na grzbiecie, a nareszcie ucięła dotkliwie w pośladek. Krzyknął i jęknął, zaskomlił żalonym, wileczym dyszkantem mój wychowaniec; był to pierwszy cios, jaki otrzymał na łonie cywilizacyi, co mówię — pierwszy policzek. Chwilowy impuls uczuciowy pobudzał mię, abym surowo skarcił Śpiewkę, wprowadzając równouprawnienie między zwierzęta. Niebawem atoli przyszła mi na myśl filozofia i historia, pomyślałem sobie o tradycyjnej nienawiści ras, a nawet pobratymczych plemion. Wprawdzie w epoce wychowywania przezemnie Buty nie istniał jeszcze antisemityzm, ale żydem pogardzali chrześciance już i wtedy. Otóż takie i tym podobne refleksye usposobiły mię

mniej nie wrogo względem ogarzycy. Pomyślałem był sobie: jak tu wymagać od zwierząt równouprawnienia, kiedy ono dla ludzi jest nie dostępne. Niech mój wilk wcześniej pozna gorycz życia cywilizowanego, niechaj ma w historyi swego żywota i tragiczne elementa. Skończyło się na powiedzeniu Śpiewce moralnego kazania, któremu z mojej strony towarzyszyła pewna poważna gestykulacja. Mniej więc suka rozumiała, o co chodzi, jednak w imię swego psiego przesądu nie chciała się nigdy i za nie w świecie zgodzić, ażeby Buta w jej obecności igrał w wesołym towarzystwie niemowłęcego psiego pokolenia. Szanowałem w granicach mojej możliwości tradycją na tym punkcie. Niechajże i psom wolno będzie mieć przesady. Z drugiej strony nie chciałem się dopuszczać oszustwa względem matki własnych dzieci, więc też nigdy nie pozbawiałem ich samowolnie macierzyńskiego wpływu na edukacją. Bo—myślałem sobie—przecież ona lepiej chyba odemnie potrafi wychować swoje psięta. Ale ilekroć Śpiewka oddaliła się od potomstwa, nie broniłem też szczeniętom i wilezkowi robić, co im się podobało.

Jakkolwiek Buta był młodszy wiekiem od psów, jednak zęby i w ogóle siły jego fizyczne jako też inteligencja zwierzęca, organizowały się u niego widocznie wcześniej, aniżeli u kolegów i towarzyszy zabawy. Gdy się rozigrał, wpadał jakby w dziki szał i Nielitościwie rozbijał wtedy psiaków. Kiedy już miał mniej więcej trzy miesiące

wieku, wspólne zabawy stały się niepodobieństwem; wówczas psy same unikały igraszek, a jeśli sobie pozwoliły czasem swawoli z wilkiem, to niebawem zmuszone były uchronić, skomląc i unosząc na skórze ślady jego zębów. Te zaś okoliczności wbijały im się w pamięć tak silnie, że w późniejszym czasie na widok Buty zmykały po kątach, tuląc pod siebie ogony.

Nie lepsze uznanie zyskał sobie wilk i u innych psów, dojrzałych w latach. I tak, ulubieniec mój, duży buldog duński, Jork, tolerował Butę jedynie przez wzgląd na jego poufałe ze mną stosunki. Inny znowu wielki, biały pies węgierski, z rasy owczarskiej — nazwiskiem Milord, nie przeszedł nigdy około wilka bez pomrukiwania, warczenia, wyszczerzania zębów, rzucania piorunujących spojrzeń i tym podobnych oznak niezadowolnienia, gniewu oraz pogardy. Niepodobieństwem też było, aby w ważnej chwili spożywania darów bożych psy znajdowały się razem z wilkiem; zmuszony byłem unikać tego przezornie. Bo gdy się psy między sobą o kość pogryzą, to zawsze tylko swój swego pokaleczy, a potem się pogodzą; ale na wilka byłyby się one wszystkie jednoznacznie rzuciły i śmierć mu przedwczesną zgotowały.

Wycieczki w pole i do lasu odbywały się specjalnie pod moim nadzorem i kierunkiem; w takich razach wilk szedł przywiązany na łańcuszku, psy używały wolności. Jeżeli zaś chciałem

dać swobodę wilkowi, musiałem psy w domu uwięzić. Trudne to jest położenie kierownika i wychowawcy w takim stanie rzezy!

Skoro już Buta liczył jakie trzy kwartały wieku, wziąłem go był jednego dnia na przechadzkę wraz z węgryzmem Milordem. Nałóg i wspólna dola istot coś jednak znaczą na tej naszej planecie. Do pewnego stopnia można się żyć nawet z wrogiem. Na łące dałem wilkowi swobodę, co widząc Milord przyskoczył skwapliwie, a pomerdując poważnie swoim bogatym ogonem, starannie na wszystkie strony obwąchał Butę; ten ostatni parę razy jakby uśmiechnął się fałszywie, podnosząc do góry czarne wargi przykrywające mu zęby; poczem puścili się oba w zawody na harce po polu. Gonitwa trwała długo; wilk pędził za psem, przesadzając śmiało rowy; obaj się zziąjali, obaj wywiesili języki. Jeżeli Milord wietrzył co na ziemi, Buta przypadał do niego i także węszył. Chociaż nie mogłem zblizka obserwować, jak się to wszystko odbywało, wnoszę jednak, iż przy takiej to właśnie czynności tropienia i wietrzenia zaszło jakieś nieporozumienie między zwierzętami owemi. Nieporozumienie było grube. Usłyszałem tylko z jednej strony błagalny głos wilka, wołający o pomoc, kto w Boga wierzy,— z drugiej — gniewny, imponujący krzyk Milorda. Pędzę, ile sił starczy, przynosząc dla miłości zgody interwencją osoby, szpicróżgi ciętą oraz łańcuszka. Ujrzałem w trawie powalonego w znak

Butę, pies zaś łapami przyciskał go potężnie do ziemi, zadając od czasu do czasu szarpiące razy. Wobec walki zachowałem się bardzo groźnie i piorunującym głosem wrzasnąłem na cywilizowanego tryumfatora: „Milord, do nogi!”. Pies usłyszawszy nieubłagany głos kodeksu prawodawczego, natychmiast zdjął silne łapy z piersi przeciwnika i cały zapieniony počzął się cofać. Ale zaledwie popuścił ofiarę, gdy ta porwała się wściekle, a dopadłszy kudłatego karku wroga, zatopiła w nim wściekle zęby. Z kolei pies upadł na ziemię w skutek natarczywój napaści, a zupełnego ze swój strony nieprzygotowania. Nie było się co namyślać; wprowadziłem w ruch bat, ten czynnik pokoju i zadałem wilkowi kilka razów dotkliwych; lecz wnet się przekonałem, że są na świecie skóry wytrzymałe, na których kije się łamią. Zbliżam się tedy, chwytam Butę obiema rękami za uszy i na bok odciągam. Zaledwie rozjąłem dwóch zapaśników i, chcąc rozjuszonego wilka przykuć na łańcuchu, popuściłem jedną ręką, gdy oto Buta zajadłe sięgnął paszczą do mego ramienia i zadał mi dotkliwą ranę. Prawdopodobnie był to odwet za ciosy wymierzone szpicróżgą. Moich usiłowań w interesie zgody wilk nie pojął tak jak pies i potraktował mię niby wroga, przyczém uporeczywie oponował przeciw zakuciu swójój szyi w łańcuch. Milord ciekawie, ale i niecierpliwie przyglądał się całej operacyi poskramiania wilka; zdawał się on oczekiwać

skinienia mego, aby po żandarmsku wziąć za koltierz dzikiego towarzysza. Sądziłem, iż nie wypada szezuć poczciwym psem także poczciwego, choć zuchwałego wilka. Sądziłem, że każde zwierzę, mające za szeląg rozumu, musi ostatecznie zrozumieć taką szezera politykę i odpłacić za nią tą miarą przywiązania, na jaką zwierzę dane w danych warunkach zdobyć się jest zdolne. Zupełnie innego zdania trzymał się strzelec Szymon, który nietylko że był zwolennikiem *absoluti domini*, ale doradzał mi nawet dopuszczenia się haniebnego czynu: „Niech pan tę bestyą wypuści w pole i zaszczuje psami, nim dorośnie, bo z tego nigdy nie będzie pociechy.” „Mój Szymonie” — mówiłem mu — „cóż wilk temu winien, że się wilkiem urodził i nie na naszą pociechę?” Myśliwy wstrząsał ramionami, kiwał głową, przyrzeczem uśmiechał się dosyć zarozumiale oraz lekceważąco.

Nietylko psy i Szymon ucezuwali wstręt do Buty. Nie lubili go także wszysecy służący we dworze i wszysecy chłopci w całej wsi. Kiedym przechodził w towarzystwie wilka, słyszałem mniéj lub więcéj głośno wypowiedane zdania: „Widzicie go, jaka to psia wiara teraz spokojna! A do lasu ha!” Czulem za mojego wilka upokorzenie, wstydziłem się także za ludzi, znosiłem cierpliwie te i inne jeszcze obelgi. Ale cóż robić? Nie można przeinaczyć wilka, psów, ludzi i wszystkich stworzeń. One się same przemieniają w ciągu czasu.

Największą nieprzyjaciółką Buty była kobieta, stara panna, nazwiskiem Trukawska, ochmistryni dworskiego drobiu oraz jój pomocniczka, rodzaj kurnikowego sekretarza, dziewczka Jagna. Pokazuje się, że wszelka nawpół cywilizacya jest jeszcze równie dzika, co i stanoweze barbarzyństwo. Tém się chyba tłumaczą nieokielznane fanatyzmy, kłamstwo, pycha, zarozumiałość małych ludzi w wieku naszym, tak chępliwym z dzieł swoich. Cnota ludzka widocznie musi przejść przez te przywary, zanim się istotną enotą stanie. Nie można tego odnosić do jednostek, ale do dziejów całych pokoleń. Przyczém godne jest uwagi, iż wspomniane przymioty, nietylko od woli człowieka nie zależą, ale go unieszczęśliwiają, podobnie jak głupota. Jednostka przewrotna jest przez całe życie prześladowana i chłostana, często przez ludzi gorszych nawet od siebie. Nasz wilk, potomek rodu wilkołaków nad Narwią, nie był ani kłamecą, ani zarozumiałcem, ani fanatykiem, a był jednak popychany i poniewierany przez wszystkich. Dlaczego? Trudno jest rozwiązywać doraźnie tak ważną kwestyą. Ale zdaje się, że ludzie w wilku prześladują i nienawidzą własną przewrotność. Zresztą nienawiść taka może pochodzić i stąd, że w prastarzej religii człowieka wilk był także ubóstwiony, a każdy przesąd podminowany ściąga pioruny nienawiści w następstwie...

Buta, jak każde inne żywe stworzenie, uro-

dział się pod pogodnym okiem słońca. Znam jego ojczyznę nad piękną rzeką i wśród pysznych krajobrazów. Mimo to wszystko, sądzone mu było na ziemi przekleństwo, jako szkodliwemu!... Nie wymienię tu stworzeń najszkodliwszych, bo przekleństwo może od nich zależeć.

Pani Trukawska w poufnych rozmowach z Jagną oczerniała Butę w sposób |nielitościwy. Jagna dolewała oliwy do tego żarzewia. Widziałem konspiracyą nietylko przeciw wilkowi, ale i przeciw mojej osobie, zajmującej w społeczeństwie już i tak dosyć lekceważone stanowisko prywatnego nauczyciela domowego. Razem więc z wilkiem znosiliśmy prześladowanie od ludu. Nie w moim, ale w Buty interesie, chciałem raz tłumaczyć pani Trukawskiej zasady demokratycznej etyki, atoli niewiasta owa ofuknęła mię, że „chłop między ludźmi znaczy tyle, ile wilk między zwierzętami; smaruj jednego i drugiego miodem, nie nie pomoże: — chłop— chłopem, wilk — wilkiem.”

Trzeba się mieć na baczności — pomyślałem, oczekując spokojnie biegu wypadków i starając się o utrzymanie harmonii z wilkiem, psami oraz ludźmi; wszyscy mieli własne przesady, na których opierali uczucie osobistój godności.

Właśnie w skutek swoich przesądów, Buta szybko posuwał wypadki do krańcowości. Z wilkiem rozwiemożniały się w nim wszystkie jego wileze enoty oraz przywary, a jedno i drugie

Trukawska jako też Jagna łaskawie zapisywały na karb grzechów śmiertelnych, jak gdyby wilk był człowiekiem i miał obowiązek znać dekalog oraz uczyć się na pamięć *Małego Katechizmu* ks. Putyatycznego. Aż nareszcie nadszedł dzień pamiętny, w którym stromnictwo, spiskujące przeciw wilkowi, stanęło na stopie wojennej. Rzecz tak się miała:

Buta przez cały dzień wylegiwał się w ciemnym klombie na dziedzińcu. Tam zatopiony on był w jakimś dumaniu, którego naturę — o ile się dało — poznałem. Do klombów przychodziły gwary ze świata stanowiącego otoczenie. Słychać tu było rzenie koni, szczekanie psów, rozmowy ludzi, geganie gęsi, gdakanie kur, nawoływanie się indyk, perlic, pawi, kaczek, kwik prosiąt i t. d. Buta słuchał tego wszystkiego z jak największą uwagą i kombinował sobie stąd może obraz zewnętrznego świata oraz przemyślał nad zajęciem w tym świecie pozycyi odpowiedniej dla siebie i swoich wymagań. Niekiedy zdrzemnął się, ale gdy mu na nosie usiadła mucha lub komar, przerywał sen i obserwował dalej, nastawiając bacznie uszy, a w ślad za spostrzeżeniami uszu posyłając na wszystkie strony i wzrok bystry.

Karmilem go dosyć obficie i głównie raz na dzień po obiedzie; wtedy to pożerał parę talerzy mięsa oraz kości, resztek, pozostałych z obiadu. Na zawołanie: „Buta!” zrywał się i pędził co

tehu z klombu w ganek, wiedząc dobrze, iż się go wzywa po odebranie racyi. Żarłoczność wilka była duża; polykał nieraz całe kości, więc też niejednokrotnie musiałem robić operacyę, wyjmując mu za pomocą nożyczek kość utkwioną w gardle. Przypuszczam, że w stanie dzikim wypadki tego rodzaju przytrafiają się wilkowi mniej często.

Cokolwiekbym mógł powiedzieć na rzecz mojej dbałości i w ogóle pedagogicznych zabiegów gwoli uprzyjemnienia wilkowi polykania różnych gorzkich owoców cywilizacyi, muszę jednakże przyznać, iż zapewne niezupełnie dobrze zbadałem jego szeroki apetyt oraz dobrze uregulowaną funkcyę trawienia. Albowiem wspomniane powyżej samotne rozmyślenia wilka w klombie i rozważanie gwarów świata zewnętrznego doprowadziły go były do nadzwyczajnie radykalnego przedsięwzięcia. Tuż za klombem, ku polu, znajdowała się bardzo piękna łączka, porośnięta bujną trawą i skropiona strumieniem. Jak zauważyłem, Buta w tę stronę najczęściej posyłał swoje słuchy, a za słuchem zwracał też pełne dziwniej pożądlivości oczy. Zdaje się, że i delikatny zmysł wilezego węchu odgrywał niejaką rolę w tych zwiadach a rozmyślaniach. Gwar z łączki, zaledwie dający się słyszać dla mnie, człowieka, wśród największej ciszy, dla Buty był już jakimś upajającym koncertem, którym on się lubował po całych dniach; aż wreszcie wytwo-

rzone na drodze tego zachwytu uczucia i skojarzone z nimi wyobrażenia, popchnęły go na pole czynu. Na strumieniu w łączce codziennie pluskały się i prowadziły poufale spokojną pogwarkę kaczki dworskie, istne oko w głowie panny Trukawskiej i jój powiernicy Jaguy. Owo zachowywanie się kaczek, pływających po strumyku, nie uszło uwagi Buty, jakkolwiek terytorium jego znajdowało się w odległości jakich trzystu kroków od łączki. Gdy się już dobrze nasłuchał kaczycich rozmów, które może i rozumiał, zdecydował się na czyn. Pewnego więc dnia przed samym wieczorem zeszedł z klombu na łączkę i położył się eichutko przy samej ścieżce, którą kaczki wydeptały i po której codziennie rano z kurnika szły do strumienia, a wieczór tędy również do kurnika powracały. Zarówno panna Trukawska jak i Jagna potrzebowały tylko zdaleka zawołać: „taś, taś, taś!” a kaczki zaraz, jak która mogła, gramoliły się z wody na brzeg i dalejże pędzić, co im kaczycich sił starczyło. Posiadały więc i kaczki pewną ilość zdolności, którą ludzie zowią wnioskowaniem. Cóż dopióro mówić o wilku, zwierzęciu wyższego rzędu?

Buta już w klombie skombinował sobie, że kaczki muszą wracać do domu wieczorem i że będą przechodziły po ścieżce; według tego ułożył plan kampanii i we właściwej porze zaczął się przy kaczycich gościńcu. A było tam ptastwa

przeszło sto sztuk; szły sznurkiem, przechylając się na krótkich nóżkach to na prawo, to na lewo, a paplając, jakby salonowe towarzystwo w Warszawie po francuzku. Dzikie kaczki zwierzyłyby wroga swój krwi w zasadzce, ale inteligencya kaczek domowych zmarniała; pozostało jej tyle tylko, ile potrzeba, aby się utuczyć na pieczeń dla człowieka. Straciły one węch, słuch a po części i wzrok: zmysły ich się stępiły. Przecież za nie panna Trukawska i Jagna patrzyły, słuchały, wietrzyły i myślały. Buta z zadowoleniem przyglądał się sunącemu po ścieżce kordonowi; może on i liczył sztuki, a najprędzej upatrywał najpulchniejszój. Zresztą, przydługi namysł mógł mieć miejsce z tego powodu, że wilk po raz piérwszy miał się dopuścić rozboju na własną rękę. Każdy się namyśla w takich razach. Więc téż Buta porwał dopióro jedną z ostatnich kaczek, wyskoczywszy nagle z ukrycia; poczem szybko oddalił się z cennym łupem w gęstą trawę i tam go spożył.

Przelekły się kaczki okrutnie; ostatnie z nich wydały okrzyk trwogi, który rozszedł się natychmiast po całym szeregu. Co która miała w sobie tehu, rwała do kurnika. A kiedy wpadły przed kurnik, nie uspokoily się bynajmniej, ale sprawily wśród rozmaitego drobiu rwetes nielada. Wystraszyły się niezmiernie sangwiczne kury i perlice, nawet flegmatyczne indyczki powyciągały swe szyje, spoglądając dokoła pełnemi nie-

pokoju oczyma. Najwięcej zaś temu popłochowi nadał wyrazu paw długopióry, który, porwawszy się w górę, frunął na dach kurnika i tam zawołał: „ewuś, ewuś!”

Zajście tego rodzaju uważném okiem oceniła Jagna.—„Coś się takiego stało”—mówiła—„wlałam oto kaczkom do korytka naci buraczanej ze serwatką, a te psie nogi jeść nie chcą, ale, jakby się wściekły, uciekają do kurnika.” Panna Trukawska jako osoba rządząca się raczej głębokiem, czystém myśleniem, niż powierzchownemi spostrzeżeniami, bodaj czy nie zgromiła nawet Jagny za jój przypuszczenia.—„A cóżby się znowu stać mogło? Czy mnie to tu niema przy drobiu, czy co? Kaczki, jak kaczki, głupie stworzenia i koniec. Leci to, a samo nie wie dokąd.” Taka mądra perswazyja i wykład rzeczywistego stanu rzeczy wystarczyły Jagnie najzupełniej, przekonały ją i uspokoiły do szczętu. Bo w samęj rzeczy, cóżby się kaczkom mogło stać złego w dzień, kiedy Trukawska oraz Jagna czuwają pod kurnikiem?... Co innego w nocy, kiedy oba te duchy opiekuńcze zasypiają, wtedy tchórze, kuny, lisy, szeszury, a także niektórzy chłopci, słowem—różni złodzieje mogą drób niepokoić, a nawet przywłaszczać sobie. To téż w myśl powyższej argumentacyi porachunek drobiu w malowieszkim kurniku odbywał się zawsze o piątęj godzinie rano latem, a o ósmęj zimą. W kurnikach ościennych dworów powszechnie przyjętą

była metoda wieczornego rachowania, czemu Trukawska nie omieszkała bardzo surowo przyganiać.

Nazajutrz więc rano, przy obrachunku drobiu, okazał się brak jednej kaczki. Liczyła panna Trukawska, liczyła Jagna i znowu panna Trukawska i znowu Jagna; kaczki jak niema, tak niema. O fakcie takiej doniosłości toczyły się przez cały dzień rozmowy w kuchni. Przypomniano tu sobie różne dni w roku, kiedy zginęła kura czarna, kiedy — jarzębata, kiedy przepadła gęś, a kiedy gąsior, indyk i t. d. Przytęj sposobności wyliczano także rozmaitych domniemych i rzeczywistych złodziei, zarówno ze świata ludzi, jak i państwa zwierząt. W obecnej chwili najwięcej podejrzeń padało na Bartka, pastucha świń, a to nie z powodu, żeby go kiedy schwytano na gorącym uczynku, ale ponieważ chłopak ów był zupełnie głupi i niczemu nigdy nie zaprzeczał. Fukąła na niego panna Trukawska, lżyła go Jagna, kucharz, lokaje, pomywaczka—wszyscy, kto chciał. On zaś cierpliwie i obojętnie znosił wszelkie zarzuty, wyrzuty, obelgi i obwinienia, a nawet niekiedy uśmiechał się do brotliwie. Panna Turkawska, bezpośrednia zwierzchniczka Bartka, twierdziła dosyć stanowczo, że chłopak ten jest tylko „z głupia frant, ale szelma wie, jak trawa rośnie.” Rzeczywiście pasterz świń był roztroptym chłopcem i w zawodzie swoim niepospolicie biegłym. Do pewnego stopnia

przypominał on Eumajosa, świniarza sławionego przez Homera. Jako człowiek fachowy, z gorliwością poświęcał się obowiązkowi powołania, dosyć trudnego ze względu na świnie, i na tym punkcie nikt mu imponować nie zdołał. Wiedział on dobrze, które zwierzę z trzody jest uparte, a które złośliwe, szkodne i t. d. Jako człowiek uczuwał też dla jednych osobników predylekcyą, do innych był źle uprzedzony. Zdarzało się nieraz, że któraś nierogata sztuka, ni stąd, ni zowąd, wrywała się z gromady i jak szalona puszczała się w cwał ku cudzemu zbożu lub kartoflom; wtedy Bartek pędził jak wiatr za świnią, gonił, gonił, aż wreszcie zwierzę z sił opadło i pozwoliło już sobą powodować. Ponieważ atoli chłopaczyna nigdy się nikomu nie odcinał, a mimo to dawał często dowody znacznego sprytu, więc i kucharz, pan Drożdżewicz, trzymał z panną Trukawską, mówiąc, że Bartek jest „z cicha pęk.” Od tak ugruntowanych podejrzeń do posądku o złodziejstwo na kuchni dworu Małowiezkiego było niedaleko. Więc też panna Trukawska, chcąc poniekąd i ze siebie zrzucić odpowiedzialność za utratę kaczki, wsiała z krzykiem na Bartka: „Słuchajno, ty mądralo”—wołała—„kaczka dworska zginęła, wiesz ty chamie, czém to pachnie?” — „A bo co?” — bąknął Bartek, uśmiechając się naiwnie. — „Widzicie go, uśmiecha się jeszcze; ukradł kaczkę, pewno w polu upiekł i pożarł. Jaki mi piesek

bołoński!... Cóż to ja dla ciebie będę pański drób chowała?... Ty, ty hunewocie jeden!... Poczekaj, powiem ja to panu ekonomowi.“—Bartek podrapał się tylko w głowę. Aż tu dopióro, jak na niego nie wsiądzie Jagna, za Jagną pomywaczka, dziewczka od krów, kucharka, co dla czeładzi strawę warzy, jój pomocnica, cały kuchenny fraucymer: „A ty taki, ty owaki! Ty maszkaro!...“ wołano zewsząd. Bartek ledwie zdołał usta otworzyć, zakrztusił się, chciał powiedzieć: „Bójcie się Boga, niesprawiedliwe kobiety!“ kiedy mu zagrożono ożogiem, pogrzebaczem, warząchwią, polanem drzewa i różnemi narzędziami kuchennemi. Wymknął się więc i poszedł rozmyślać nad swym losem do obory. Ale i tam już rozniosła się wieść o jego niegodziwym uczynku, a skotak, wolarze — każdy, kto koło niego przechodził, to splunął, to wyrzucił jakieś przekleństwo lub obelgę.

Na drugł dzień zginęła znowu jedna kaczka. Tym razem oburzona wielce panna Trukawska zanosła już skargę do ekonoma. Ten zaś wezwał przed siebie zalęklęgo Bartka. Chłopak, na widok straszego majestatu władzy, stracił najzupełniej przytomność i trząsał się jak osika, kiedy ekonom groźnie do niego przemawiał: „Cóż to ty sobie myślisz, łajdaku, jeszcze tego brakowało, żebyś szarpał pański majątek? Ja ciebie tu zaraz nauczę!...“ Przyczém ujął chłopca za ucho, tak że ten jędnął z cicha: „boli!“ — Eko-

nom ciągnął dalej: „Od jutra nie masz służby we dworze! Ruszaj precz, gałganie!“ — Biedny Bartek nie czuł wcale swojej niewinności, owszem, zdawało mu się, że jest winnym. A gdzieżby on się śmiał tłumaczyć wobec tak wysokiej instancji?

Chłopiec istotnie wyglądał jak gałgan. Nogi miał czerwone, pokaleczone od kamieni, podrapane od rżyska, pokłute od cierniaków, pełne blizn, rysów, nawet krwi świeżo przyschlęj. Głowy jego nie tknął nigdy grzebień, zpod włosów rzadkich widać było strupy; mydło też nie pozostało na rękach, karku i twarzy opalonej jak węgiel. Chociaż liczył blisko ośmnaście lat życia, wyglądał jednak na dwunasto-letniego dzieciaka; był niezmiernie wątły. Nosił na sobie kawałek kitli, której brakowało jednej poły, a zpod której dołem ukazywały się źle przyodziane i chude uda, górą zaś pod dziurawą, jak przetak koszulą, widniały opieczone przez słońce piersi. Głowę ubierał w kapelusz, pozbawiony barwy oraz formy, z dziurą w środku i obszarpany dokoła. Największą wagę przywiązywał do kozika, to jest nożyka składanego, z żółtym, drewnianym trzonkiem, a zawieszzonego na rzemyku u pasa. Bartek miał starą matkę komornicę, która regularnie zabierała całą jego pensyą, nie troszcząc się o przyodziewek syna. Wypędzony z dworu, wzgardzony, przybył na łono rodziny; ale tu też o mało że nie odebrał basarunku. — „Wychowa-

łam takiego drąga“ — wołała, trzęsąc się ze złości komornica — „i nigdzie nieponiu miejsca zagrzeć nie możesz!“

Tymczasem Buta znowu spożył kaczkę trzecią, czwartą i byłby zapewne ciągnął dalej korzyści z tego samego źródła, ale Jagna poczęła teraz na seryo myśleć nad całością i bezpieczeństwem stada kaczek. Puściła się ona w łękę i tutaj znajdowała rozrzucone pierze nieboszczyków; ponieważ zaś wilk wydeptał sobie był własną ścieżkę aż do swego legowiska, przeto bez wielkiego natężenia władz myślenia, na zasadzie powyższych przesłanek, łatwo już dał się wyprowadzić wniosek ostateczny. Jagna pozbierała starannie różne pierze, poznane przez nią jako należące do rozmaitych nienaturalną śmiercią zgasłych kaczorów oraz kaczek i, dzierżąc te dokumenta w rękę, stanęła na progu kuchni. — „Widzita“ — mówiła — „posądzaliśta, to świniarza, to fernali, a to ta psia jucha wilk narobił tyle szkody i posądku.“ — „A no“ — zawołała kucharka — „czy to ja nie mówiłam, że wilk jeno szkody kiedy narobi i koniec.“ — Niebawem ciekawa publika otoczyła Jagnę. Przyzwano do kuchni w sposób gwałtownie nagły pannę Trukawską, która właśnie w swoim pokoiku stawiała kabałę i wypadal jój zawsze, jako szkodnik, walet pikowy, z tego zaś wnosila ona prawie na pewno, że w braku Bartka, winowajcą musi być fernal Sobek, człowiek bardzo hardy, jak na fernala

i chłop. Sprawa kradzieży kaczek miała tego dnia na nowo być wytoczona i to u władzy wyższej niż ekonom, bo u pana rządcy; nie dziw przeto, że Trukawska za pomocą kabały starała się zbadać stan rzeczy i czerpnąć pewne niezbite poszlaki przeciw obwinionemu. Już była na dobrej drodze, kiedy nagle wezwano ją do kuchni. Wbiegła, dzwoniąc zdaleka pękiem kluczy, wysłuchiwała sprawozdań Jagny, przyjrzała się uważnie zebranemu pierzu i rzekła tonem niewiasty, mającej za godło życia: „niezemu się nie dziwić.“ — „Moje państwo, dałabym była głowę, że ten podły wilk stanie się przyczyną wielkiego nieszczęścia w domu.“ A w myśli dodała: „nie napróżno w kabale stał niżnik pikowy.“

— Chwalić Boga jeszcze—zagaił poważnie kucharz — że się na tém skończyło; cztery kaczki niewielka parada.

— Szczęście, że psia noga nie udusił karmnego wieprzka — rzekła kucharka.

— Albo i krowy — przemówiła dziewczka od krów.

— Oho! Taki słowik, to lubi dusić i kobyłki—skonstatował dowcipnie lokaj Szczepan.

— O la Boga żywego!—krzyknęła Jagna, przerażona tym strasznym obrazem poduszonych w imaginacyi tylu pożytecznych zwierząt.

— I co tu teraz robić z tym fantem? — odezwiała się widocznie zakłopotana panna Trukawska.

— Jakto — co robić? — rzecze pan Drożdżewicz z determinacją męża stanu. — Trzeba całą sprawę przedstawić dziedzicowi, bo to nie żarty wilk w domu. Żeby to jeszcze zwyczajny wilk!... — dodał po namyśle i z miną tajemniczą. — My tu wszyscy ludzie życia nie jesteśmy pewni... — Mówiąc to, wdział na głowę białą szlafmycę, zrobił gest, kręcąc głową, a rękami wykładając jakoby na wierzch groźne położenie. Jęknęły wszystkie kobiety głosem przerażenia i lękliwie spojrzały ku drzwiom otwartym od podwórza. A kucharz dodał jeszcze: „Nawet psy nie trzymają z takim stworzeniem!... Wiem ja o tém dużo, wie téż dosyć Szymon strzelec.” I z temi słowy stuknął od niechena w stół dużym nożem kucharskim. Poważny głos i gestykulacya sprawiły ogromny efekt.

— O mój Jezusiczku najmilejszy! — szepnie ostatecznie sterroryzowana i prawie płacząca ze strachu, najnaiwniejsza w całym zgromadzeniu Jagna. — A niechże też panienska co rychło polecí do dziedzica i wytłumaczy, co tu pan Drożdżewicz gadają.

Panienką nazywały dziewczki pannę Trukawską, która, choć liczyła już pięć krzyżyków, bardzo jednak lubiła odbierać ten przydomek od swoich podwładnych. Nawiasem mówiąc, fornał Sobek nie miał względów i z tego także powodu, że przemawiał po prostu: „jejmość.”

Wieść o zbrodni Buty rozeszła się lotem błę-

skawicy po Małowieskim dworze, a z nią razem krążyła także nieobjaśniona, tajemnicza zagadka o jego pochodzeniu i naturze. Na piętrze rozmawiały o tém panny służące z boną, w czém znać było wyraźnie palec Trukawskiej i magnetyczny wpływ Drożdżewicza. Na dole w kredensie lokaje i pokojowi chłopcy trwożliwie, a jednak nienawistnie spoglądali ku klombowi, będącemu schronieniem Buty. Nawet guwernantka francuzka, osoba wyższa nad przesady, starała się dnia tego unikać ze mną rozmowy, jako z człowiekiem, mającym jakieś stosunki meno skompromitowane w narodzie. Ja sam nie wiedziałem jeszcze o niczém. Dopiero po południu chłodem, wzięwszy wilka na łańcuch, szedłem na przechadzkę i widziałem, że służba dworska wyległa do drzwi, do okien; poporzucano robotę, gapiąc się na nas, jakby to było osobliwe widowisko. Gdym przechodził przez wieś, dzieci uciekały z drogi, perzucając zabawę, a baby przyglądały się z okien. Uderzyło mię to wszystko, bo przecież mieszkańcy Małowieży już się byli oswoili z widokiem Buty. Wilk zachowywał się karnie, głos mój wywierał już na niego wpływ większy. Gdym dnia owego wracał z przechadzki, spotkałem za wsią na drodze Szymona, który od dworu zdążył ku lasowi. Przywitał mię grzecznie, ale widocznie miał zamiar uniknąć rozmowy, ledwie go zatrzymałem, mówiąc:

— Cóż to, Szymonie, chcecie już widzę zapomniać o naszych przyjacielskich stosunkach?

— Ej nie—odpowie strzelec—ale—dodał, szepeąc mi na ucho — niech mię pan posłucha i tego łajdaka zastrzeli, albo zwiąże i w stawie utopi, bo będzie z tego nieszczęście we wsi.

— Co téż mówicie, Szymonie! ..

— Ja to panu powiadam! — twierdził ze stanowczością Szymon — Cóż to mało już lamentu we dworze narobił? A co będzie dalej? Niech ręka boska broni!

— A cóż on takiego zrobił? Nic nie wiem.

— Ba, ludzie panu nie powiedzieli jeszcze? A to tam piekło we dworze: kaczek huk naginęło, Bartek pastuch już przez niego ze służby wyleciał. Co się jeszcze stać może, Bóg raczy wiedzieć—rzekł strzelec wzdychając.

Jakby na nieszczęście, Buta przy tych słowach Szymona wyszczerzył zęby i warknął na starego. Ja sobie to tłumaczyłem, iż przyczyną warknięcia była szczególnie uderzająca postać myśliwego, jego osobliwe ubranie, jako téż ciągle zbliżanie się do mego ucha i poszeptywanie. Nosił bowiem Szymon na sobie w lecie i w zimie lisią czapkę olbrzymich rozmiarów, w której zatknięte były krzywe sierpy piórek cietrzewi, jarząbków, srok, kruków i t. d. Miał na sobie krótką kurtkę barwy niegdyś ciemno-zielonej, ale wypłowiałej przez wpływ promieni słonecznych oraz deszczów tak, że przybrała odcienie różnych stopni żółto-

ści, zieloności brunatności, przyczém zrudziała i poszarzała. Przy tój kurcie był niegdyś kołnierz futrzany zajęczy, lecz sierść z niego zupełnie zniknęła, a skóra goła pomarszczyła się, tworząc około głowy krężę bardzo sztywną. Miejsce guzików zastępowało tu skórzane sznurowadło. Dolna część toalety Szymona zaledwie że zasługiwała na nazwę ubrania. Były to jakieś resztki rajtuzów, kryjących się w cholewach butów, z których każdy odznaczał się inną miarą wysokości; bo gdy jedna cholewa sięgała za kolano, druga opadała na łydki, tworząc niby fantastyczny kosz na nogę. Widać ciągle tułanie się strzelca po wodach oraz bagnach sprawiło, iż buty jego robiły wrażenie obuwia z głazu twardego; przypominały one miejscami zbarwy już to maść konia kasztanowatego, już stary parkan drewniany, lub zaśniedział samowar. To obuwie było w najrozmaitszych miejscach pozszywane i pościągane szpagatem. Niegdyś byle obcasy nadały napiętkom kierunek zbyt odległy od pionowego, a tak zwane nosy zadzierały się w górę. Z końców owych nosów oraz zpod podeszew wyglądały źdźbła połamanój słomy, czyli wiechcie, stanowiące tu dla nogi tarczę przeciw wilgoci, upałom i mrozom. Na jedném ramieniu zawieszał Szymon torbę borsuczą, obarczoną mnóstwem sznurków i sznureczków, służących do przyczepiania ubitéj zwierzyny; wisiały téż przy torbie różne grubsze i cieńsze druty,

służące jako przetyczki i zatyczki w celach mniej wiadomych ludziom nieobeznanym z fachem łowieckim. Na drugiem ramieniu głośny ten na całą okolicę myśliwy zaszczytnie dźwigał strzelbę, a raczej słabą podobiznę strzelby. Stanowiła ją gruba rura żelazna, osadzona w kawałku drzewa dębowego, nieociosanego należycie, a przytwierdzonego do lufy w różnych miejscach kawałkami skóry lub grubymi sznurkami, które się na końcach strzępiły we frendzle i kutasy. Do tego kostiumu, godnego jakiego rozbójnika z wieków średnich, dodajmy postać niską, krępą, o szerokich barach, krótkiej szyi, na której osiadła wielka głowa z twarzą barwy naprzemian czerwonej, pomarańczowej lub fioletowej. Pod małym, płaskim nosem naszego bohatera, sterczał jeden wąs, a raczej kosmyk siwych i rudych włosów, podobny do zajęczego ogona, który nie spadał na wargi wypłowiałej burakowej barwy, ale zakrzywiał się do góry hakowato i jakby z nozdrzy wyrastał. Zpod lisej czapy wyglądała para małych brych oczek, które nadzwyczajnie żywo poruszały się na wszystkie strony. Nietylko pies, wilk, lub inny zwierz, ale człowiek musiał wydać jakiś głos zdziwienia, czy przestachu, widząc przed sobą po raz pierwszy tę postać na polu śmiesznej, a na polu strasznej. Nie więc dziwnego, że i Buta warknął dosyć złośliwie, nie wiedząc z kim ma do czynienia. Zwłaszcza téż, że i zapachy tytoniu, gorzał-

ki oraz prochu strzelniczego, któremi Szymon był cały przeniknięty, musiały mocno drażnić delikatne węchowe błony wilka. Strzelec źle przyjął warczenie Buty, spojrzął na niego wzrokiem pełnym zarówno podejrzliwości jak wzdardy oraz nienawiści, skłonił mi się dosyć obojętnie i poszedł do domu.

Teraz dopióro, będąc poinformowanym przez Szymona, z rozmaitych źródeł zebrałem troskliwie wszelkie wiadomości, dotyczące postępowania wilka i poznałem nagą prawdę. Co prawda, przekonałem się, że wilk oswojony jest szkodnikiem, ale że szkody, których się dotąd dopuścił, nie były proporcjonalne do nienawiści, jaką przeciw sobie obudził.

Czy podobna jest w tym stanie rzeczy oswoić dzikie zwierzę? A jeżeli wilkiem będzie tu nowa jakaś idea, czy los jej nie będzie zupełnie podobny? Czy psy i wilk nie są to plemiona pobratymcze, a ludzie, czy nie przedstawiają się jako interesa stronictw, koteryj, osób, jako przesady i fanatyzmy i t. d.? Czy wilkami wreszcie nie są rozmaite dzikie ludy, które niby to ciągnie się gwoli ich szczęścia na łono cywilizacyi, a tymczasem giną one nieuchronnie zarówno w skutek przesądów cywilizowanych swoich bliźnich, jak i własnych gatunkowych przymiotów, nabytych w ciągu wieków? Co się tyczy idei wilkolaka, nie jestże to prastary mit, stanowiący tradycją przekleństwa, rzuconego na cały gatu-

nek istot, których losem ostatecznym musi być zagłada? Wszakże jedne i te same istoty pielęgnują zgodę i braterstwo, nie zaniedbując jednocześnie nienawiści, obłudy i złości. Któż zdoła zresztą zaprzeczyć, iż wszystko, co przechodzi przez alembik ludzkiego umysłu lub uczucia, jest nieprawdą? Człowiek bowiem ma tylko mały i jedynie swój własny świat, nieprzeznaczony bynajmniej na siedlisko prawdy. Ta ostatnia znajduje się poza nami w realnych stosunkach bytu. — W zwierciadle zaś naszej duszy odbija się świat egoistyczny, ludzki. Nie jest to świat istotny. Dopiero prawdą jest pojęcie takiego stosunku człowieka do świata. Nie w poczuciu dumy czerpie istota ludzka najwyższe duchowe siły, ale w cichém i skromném poczuciu swéj małości.

Najmniejszą rzecz zrobić dobrze — jest trudno. Aby iść naprzód, trzeba być oględnym, jeżeli krok niema być zmarnowany. Na tym punkcie rodzi się oportunizm, którego musiałem się chwycić, aby nie zgubić wilka, nie drażnić jego stosunków z psami, nie narazić go na śmierć z ręki pierwszego lepszego dworusa, a przytém utrzymać własny dobry stosunek z psami, ludźmi i wilkiem. Czyż mogłem mieć widoki powodzenia, idąc na przebój? Wszakże psy mogły stracić do mnie przywiązanie, a ludzie już zaczęli mię lekceważyć. Tylko Buta był w porządku; stał on się oswojoném zwierzęciem, o ile wilk niém

stać się może. Gdy jednak zewsząd brzmiały głosy: „zabij, otruj, utop, rozstrzelaj,” musiałem coś zrobić dla przesądów mego społeczeństwa, aby w niém wyżyć. Przeprowadziłem więc Butę do drugiego klombu na dziedzińcu, położonego zdala od łączki, a przylegającego do stodół. Myślałem sobie: Nie trzeba ani wilkowi, ani ludziom dawać sposobności, aby byli źli. Wilkowi więc stworzyłem świat cichy, wśród którego nie było pola dla łakomstwa i drapieżności. Dla ludzi zrobiłem tyle, że wilka przywiązałem na łańcuszku do pnia drzewa. Takie zastosowanie się moje wywarło dobry wpływ na publiczność. Jeżeli ludzie są niechętni dla jakiejś sprawy, wtedy mówią, że do téj niechęci mają prawo; a jeżeli ich złości stanie się zadosyć, powiadają, że ich prawo ma zadosyć uczynienie.

Była to właśnie pora żniw, zwożono snopy z pola do stodół, położonej na wzgórzu. Z początku Buta gryzł swój łańcuszek, gdy go atoli usiłowania zawiodły, topił zęby w pniu drzewa akacyjowego. Osięgał stąd pewną satysfakcją, jednakże gryzienia zaprzestał i począł się godzić ze swoim losem. To sobie leżał, przypadłszy do ziemi, to postawał na wszystkich czterech nogach, to znowu na przednich tylko. Najczęściej znajdowałem go w téj ostatniej postawie, wsłuchującego się przytém, jak i poprzednio, w różne odległe głosy. Ze stodół dochodził tu gruby, jednostajny głos mazurskiego parobka, liczącego

snopy: „jeden dwadzieścia, dwa dwadzieścia, trzy dwadzieścia i t. d.” To znowu przejeżdżał koło klombu wóz, ciężko naładowany snopami, który trzeszczał i skrzypiał w różnych swych częściach pod naciskiem ciężaru. Na koniach brzęczały łańcuszki naszyjników i rozmaite żelazne przybory; w powietrzu świsnął niekiedy przeciągle długi bicz fornała, lub rozległ się głos „wio!...” na co konie odpowiadały parsaniem. Gdy znowu próżny wóz wyjeżdżał ze stodoły, wtedy brzmiał głośny turkot około klombu, rozlegało się trzaskanie i strzelanie z bata, a czasem — niby akompaniament—słychać było rzenie klaczy, zaniepokojonej po drodze nieobecnością żrebaka, co pozostał w stodole, strojąc figle i psoty na gumnie. Usłyszawszy atoli głos stęsknionej i troskliwej matki, żrebezyk puszczał na wiatr grzywkę oraz wiotki ogonek i w susach a skokach przelatywał, tętniąc nóżkami, rżąc cieniutkim głosem, niedaleko od ukrytego w gęstwinie Buty. Wtedy wilkowi zmieniała się barwa oczu, które pały i stawały się lśniące jak szmaragdy; wtedy przywarował do ziemi i czał się w stronę żrebiecia. Dawaly się też niekiedy słyszeć ze stodoły różne śpiewy dziewczek: „dana ino dana! Oj dana, dana, dana!” Czasami zuów grzmiał donośny i groźny głos karbownika, lub dochodziły śmiechy, wesołe krzyki, gwary. Mniej często przebiegało koło klombu jakie prosię, które przed zmierzchem odbiegło od stada i pomru-

kując z cicha, pokwikując głośnieją, gnało ku stodołom; postawało, popatrzyło, pomruknęło i poszło dalej. Nieraz—ni stąd, ni zowąd, zjawiało się stadko gęsi, wiedzionych zapewne wonią świeżego zboża, które niejednemu zwierzęciu robi ślinkę w ustach. I one szły koło klombu, konwersując: „ge, ge, ge,” lub głośnieją: „tarata-tata,” a niekiedy i posykując między sobą. Te śmiałe gąski należały zapewne do jakiego urzędnika, mającego blizki stosunek ze stodołami.

Jeżeli pod kurnikiem Jagna się zdrzemnęła, a panna Trukawska w swoim pokoiku stawiała kabale, to i indyki jedna za drugą zabierały się zprzed kurnika na małą wędrówkę ku lubej stodole, owemu celowi westchnień i marzeń rozmaitego zwierza. Indyki szły, kwękając, utyskując, biadając jakby na złe losy, niby ziemianin, gdy go nawiedzi nieurodzaj; przed indykami puszył się z wielkim nosem suty indyk, strojąc wielkie fomy, jak bankier między ludźmi, a gotów zawsze przy okazji do burdy, do impertynencyj i wymyślań od ostatniego.

Miał więc Buta czém napaść swoje ucho, a nawet oko, gdyż przez gęste krzewy umiał on przebić się bystrym i pewnym wzrokiem. Nie mówiąc już o tém, że częstokroć wpadła w krzaki sroka jedna i druga, a widząc wilka, leżącego na ziemi, narobiła hałasu, wrzasku, nawrzeszczała się, naskrzeczwała i poleciała dalej. Nie zachowywały się też skromnie i sikory; ale wilk w tych

razach pozostawał stoicznie cierpliwym, słuchał, nie dając żadnej oznaki niezadowolnienia lub obrazy. Bywało, że i kot, ulubieniec francuzkiej guwernantki wpadał w gęstwinię; lecz ten szedł tak delikatnie w swych jedwabistych pantofelkach, zerkał oczkami tak bystro na wszystkie strony, że zwykle ominął Butę. Tylko pierwszy raz, gdy ujrzał wilka przyczajonego, mienił to być atakiem, wymierzonym ku swój osobie; więc o sześć kroków stanął, grzbiet wygiął w kabłąk, ogon w półkole i fuknął parę razy; ale widząc, iż wilk ciągle leży dosyć obojętny, wdrapał się na najbliższe drzewo i zwysoka przyglądał się Bucie.

Upływały znojne czasy żniw w Małowieży, gdy dnia jednego przed ich ukończeniem zaszedł następujący wypadek z indykami. Jagna na progu kurnika długo walczyła z porywającym ją w swoje objęcia Morfeuszem: to się zdrzemnęła, kiwnęła głową i uderzyła o ścianę, to znowu otwarła nawpół oczy i znowu zasnęła. Wreszcie popadła w sen twardy, w czasie którego człowiek zwykł głośno chrapać. Dzieweczyna wyciągnęła przed siebie nogi bez trzewików i pończoch, oparła na ścianie zadartą do góry głowę, otwarła usta, z których widać było dokładnie piękne, białe zęby, zwiesiła ku ziemi bezwładne ręce i spała na słońcu. Spostrzegły to indyki i dalejże się wynosić chyłkiem do stodoły. Nie szły one, ale biegły na wyścigi, jak człowiek

niemający czasu do stracenia,—aż się indyk zady-
szał. Jakoś wtedy właśnie był ekonom w stodo-
le, więc wrzasnął na chłopaka, który skrecał po-
wrósła: „Maciek, rozpędź mi to łajdactwo na
cztery wiatry!” Tego téż tylko Maciusiowi by-
ło potrzeba. Znalazł on sobie zaraz dobrą wiec,
rzucił się na stado indyk i począł je tak natar-
czywie prześladować, że strwożone ptaki, pędzą-
c gnane ze stodoły, w rozpędzie prosto z bramy
wpadły do klombu, służącego za mieszkanie wil-
kowi. Do téj zawziętości ze strony Maciusia
przyłożyła się nietylko okoliczność, iż odebrał od
pana ekonomy rozkaz, w którym indyki nazwa-
ne zostały łajdakami, ale chłopak miał żal do in-
dyka, gdyż ten zawsze maleców zaczepiał; cho-
dziło więc o to, aby napastnikowi przyłożyć co
wiką.

Ani się spodziewał Buta takich miłych gości,
spojrzał, a tu koło niego na prawo, na lewo, po-
mykają biędne indyczki, a zziajany indyk pod
sam nos mu włazi. Tego już było za wiele na-
wet na najenotliwszego wilka, cóż dopiero takie-
go, który między antenaty liczył zuchwałego wil-
kolaka. Jak więc nie schwyci indyka za leb...
chrust... chrust... chrust—i po wszystkimu.

Maciś nie wiedział o nicém, zrobiwszy swo-
je, wrócił do powróseł; indyki zaś rozproszyły
się po wszystkich klombach, niektóre nawet wy-
padły aż na pole.

To wszystko działo się w chwili, kiedy pan-

nie Trukawskiej w kabale po raz trzeci stanęły—ósemka, dziewiątka i dziesiątka pikowa razem, a tuż przy nich as téjże maści, co należy do wypadków znacznie rzadszych, aniżeli wielki szlem w wiście licytowauym, a z czego najniezawodniej wznosi się, że jakieś *wielkie nieszczęście* nastąpi *w domu*. Zaczna białogłowa została tedy niepomiernie wzruszona, ze skupieniem ducha złożyła karty i wyszła przed kurnik. Patrzy, a tu miła Jagusia błogo zasypia. Rzecz prosta, że już ten tak powszechnie antropologiczny fakt był dla Trukawskiej równoważnikiem nieszczęścia. Naprzód więc mruknęła sama do siebie: „A co, nie mówiłam?” — potem zaś zapaleczywie przyskoczyła do śpiącej dziewczyny i wrzasnęła ję nad uchem: „A ty co robisz? A gdzie indyki?... Dam ja tobie, darmożjadzie!” Już przy pierwszych dźwiękach głosu swojej „panienki” zerwała się Jagna z miłego uspienia i w cwał popędziła ku stodołę, podczas gdy Trukawska uważała za właściwe rzucić jeszcze za nią te słowa: — „Czegóż tu można dokazać przy takiej służbie?... Wszystko na nie... chłopstwo ciemne i rozpuszczone, jak dziadowskie batogi.” Dziewczyna, jak oparzona, wpadła do stodoły, a tu dopiero chłopaki w śmiech, Maciek najpierwszy przedrzeźnia ją, wołając: „Zgadnij Jaguła, gdzie jest złota kula!... ha, ha, ha!” Od śmiechu, aż się stodoła trzęsie. Śmieje się i sam karbownik, mówiąc ze szyderstwem: „Ho, ho! te bestye

dworskie baby, wszystkie dobre do pilnowania, — ale—miski.” Tój zachęty tylko trzeba było dla drwiącój rzeszy; znowu się wyśmiewają i wykpiwają. Strapiona Jagna prawie ze łzami w oczach wyszła ze stodoły; byłaby ona lamentowała na cały głos, ale z tego śmialiby się ludzie jeszcze bardziej. Idzie i woła: „truś! truś! truś!” Nasłuchuje, lecz nie się nie odzywa. Przeszła koło klombu, w klombie nic nie słyhać; idzie za bramę, spojrz, a tu kilka indyk spłoszonych, z opuszczonemi skrzydlami wałęsa się po drodze i pod płotem, a jedna nawet wpadła do rowu i nie może się wydobyć. — „O mój Jezusiczku złoty, ratujże mię téż w mojem nieszczęściu” — zaszlochała Jagna, spuszczać się z wysokiego brzegu w rów, aby wyratować i pojmać indykę. Nie łatwo to spędzić do kupy rozploszony drób! Indyka w nogi, Jagna pędzi za nią rowem i popłakuje szczerze a gorzko; ona, co przed chwilą tak przyjemnie zasypiała, może i słodko marzyła. Dopadła nareszcie indyki, wzięła ją pod pachę, wydobyła się z rowu, a zaganiając przed sobą pozostałe sztuki, powróciła z bijącym sercem przed kurnik. Ale gdzie reszta?... Do wieczora znalazły się wszystkie, brakowało tylko—naturalnie—indyka.

IV.

Zdaje się, iż zbyt czynnem byłoby opowiadać, że po zejściu wspomnianych powyżej wypadków, Buta został znienawidzony do szczytu. Teraz już i ekonom, dotychczas dosyć obojętnie traktujący kwestyą wychowania wilka, zdawał się przechodzić stanowczo do obozu nieprzyjacielskiego i to w jego radykalne centrum. Powiadają, że, wysłuchawszy opowieści panny Trukawskiej o tragicznym zejściu z tego świata indyka, odezwał się na cały głos: „Bo téż trzeba być na to waryatem, żeby wilka w domu chować.” Była to rękawica rzucona dla mnie. Drożdżewicz przytakiwał, dodając od siebie, że „dobra pigułka” będzie skutecznym lekarstwem na pozbycie się zbrodniarza. — „Naturalnie” — konkludował ekonom — „w dzisiejszych czasach jeszcze tego brakuje, żeby sobie człowiek z wilkami robił ceregiele.” Zdanie zatém osobistości tak powszechnie szanowanej, jak pan ekonom, sankcjonowało propozycyą otrucia Buty. A trzeba wiedzieć, iż Drożdżewicz odznaczał się niepospolitym talentem i zamiłowaniem do zadawania pigulek *szkodnikom*, to jest psom oraz kotom, które odważyły się nie przestrzegać regulaminu kuchennego. Kucharz wyprowadzał takiego winowajcę za drzwi

i tam rzucał mu kulkę siekanego mięsa z jakimś proszkiem w środku. Każde zwierzę, zwłaszcza też głodne, może być w dobrej wierze wzięte na ten podstęp. Czyżby truciicielstwo w połączeniu z oszustwem nie miało hańbić ludzi, jeżeli jest zastosowane do zwierząt? A jednak biedne zwierzęta taką bezgraniczną ufność pokładają w człowieku! Bo też, im więcej kto posiada dobrej wiary, tym snadniej zawiedziony zostaje. Właśnie dlatego to jest wielką enotą, że za nią ezerpie się w życiu gorycz — miasto nagrody. Drożdżewicz nienawidził wilka, a sam przyzwyczajony był do podrzynania gardła indykom, kurczętom, bażantom oraz innym niewiniątkom żywym. Nie zmarszczył się nigdy ani pochmurył, gdy pod nożem jego skakały w górę, żywcem operowane ryby lub kiedy żywe raki wrzucał do wrzącej wody. Tego zimnego okrucieństwa nie dała przyroda żadnemu stworzeniu. Każde zwierzę popełniając morderstwo, popada w szal wściekłości. Wyrafinowanym zimnym mordercą może być tylko człowiek. Kucharz w Małowieży łowił też na sidła drobne ptaszki, które dusił w palcach; jeżeli więc chodziło o życie wilka, to nie było co żartować z tak zimnym oprawcą.

Okrom tych zewnętrznych niebezpieczeństw, obawiałem się nadto, aby wilk nie zadusił kiedy prosięcia, albo w ogóle jakiegś wyżej przez ludzi cenioniej istoty żywej, bo wtedy wyrok na niego byłby nieodwołalny. Zacząłem więc rozmyślać,

co mam przedsięwziąć. Tymczasem zaś dla chwilowego zażegnania burzy za pośrednictwem lokaja Szczepana, który mię obsługiwał, rozpuściłem wieść, iż z wilkiem sprawa „w tych dniach się skończy.” Wiadomość tego rodzaju zrobiła w kuchni duże wrażenie i w duchowym organizmie wszystkich członków owego społeczeństwa miejsce nienawiści zajęło teraz oczekiwanie pełne żywej ciekawości; a to témbardziej, iż Szczepan nie powtórzył słów moich literalnie, ale jakoby od siebie samego dał do zrozumienia, że „dzisiaj a jutro dyabli wilka wezmą na pewnika.” Drożdżewicz łypnął oczyma podejrzliwie na Szczepana, bo upatrywał on w takiem przemówieniu wyraźną prywatę lokaja ex re kości, dosyć troskliwie po każdym obiedzie usuwanych ze stołu, a między kośćmi nierządno téż i wcale smacznych kąsków. Tak to dzikiemu zwierzęciu trudno wyżyć wśród uspołecznionych i należycie zorganizowanych ludzi!

„Co ja tu zrobię?” myślałem, łamiąc sobie głowę ciągle a nadaremnie. Aż błysnęła mi myśl niebotyczna. Był w sąsiedztwie leśniczy kawaler, pan Izidor Wywialkiewicz, jak to mówią, dobra dusza, człowiek uprzejmy, szczerzy, wylany, gotów zawsze zrobić dla każdego wszystko, czego od niego zażądano. Mieszkał on na ustroju zdala od świata—w lesie; pomyślałem więc, iż u niego Buta przechowa się jakiś czas; a co należy zrobić potem, pomyślimy innym razem.

Zadowolniony z mego postanowienia, zasiadłem zaraz i napisałem list krótki, a już w czasie pisania tego listu oblegała mię niepewność, czy aby Wywialkiewiczza posłaniec z pismem w domu zostanie, bo co prawda, pan Izydor był po trochu pędzi-wiatrem. Rzeczony list tak brzmiał:

„Szanowny i kochany panie Izydorze!

Zawsze Cię lubię oglądać i zawsze czuję potrzebę tego, jednakże zwykle mam mało czasu, albo go wcale nie mam, aby cię odwiedzić. Dzisiaj zaś szczególnie, dla wielu ważnych względów, nie mogę przybyć na Leśniczówkę. Zlituj się, panie Izydorze, przyjedź Ty do Małowieży, choćby o północy. Oprócz bowiem pragnienia zobaczenia się z Tobą, mam nadto bardzo ważny osobisty interes, wymagający Twój rady i pomocy.”

Konny posłaniec popędził cwałem na Leśniczówkę, unosząc moje pismo. „Dwie mile drogi, to najwyżej dwie godziny“—obliczałem — „tyleż z powrotem, przeto za jakie pięć godzin Wywialkiewicz może już być tutaj; przecież przez ten czas Buty nie otrują, choćby też dla prostej ciekawości, wzbudzonej przez Szczepana, co się stanie z wilkiem.”

Tymczasem poszedłem do klombu, aby odwiedzić samotnika. Rzecz prosta, iż moje własne usposobienie nakazywało mi widzieć jakiś niezwykle psychiczny stan duszy zwierzęcej. Wydawało mi się jakoby Buta utracił zupełnie swoje dzi-

kość i okazywał mi nadzwyczajne oznaki przywiązania. Usiadłem przy nim pod drzewem, kładłem jego głowę na swoich kolanach, brałem w rękę łapy, głaskałem go, wyjmowałem mu z welniastój szyi liście oraz słomę. Buta zachowywał się spokojnie, a gdym miał odchodzić, spojrział na mnie tak wymownie, że sądziłem, iż chce abym jeszcze pozostał, więc zostałem. Milord i Jork najczęściej mi towarzyszyli, kiedy odwiedzał wilka, ale oba te psy pozostawały zwykle przed kłombem; zapewne wstręt nie pozwalał im zbliżyć się ku legowisku swego współplemieńca. Przez cały więc czas moich odwiedzin, przysiadłszy na tylnych łapach, obaj oczekiwali odwrotu, a na ich fizyognomiach malowało się najwyraźniejsze niezadowolnienie. Gwizdząc, nawołując po imieniu, przyzywałem nieraz dzielne psy do siebie; wówczas odzywały się, poszczekując, niecierpliwiły się, przyskakiwały do samych krzaków kłombu, ale nigdy nie chciały wejść do wnętrza. Nawet ręka moja, jeśli nią przed chwilą głaskałem wilka, miała jakąś złą woń dla psów, bo żaden do niej nie chciał się przybliżyć. Swoją drogą Buta, słysząc moje gwizdanie i oszczekiwanie kłombu przez psy, jeżył sierść, podnosił się, wyciągał naprzód głowę, wyszczerzał ostre białe zęby, gotując się do przewidywanj walki. Podobał mi się w tój gniewnej postaci, w gotowości na wszelki wypadek. Podczas przechadzek żaden z psów nigdy się do mnie nie przybliżył, jeżeli prowadziłem wilka. Wszelkie

zaś przypadkowe zbliżania się groziły zwykle wybuchem wściekłości ze stron obu. Trzeba było wtenczas widzieć Milorda, jak on stawał naprzeciw Buty! Jego piękne, łagodne oczy pałały iskrami, wielki ogon, ozdobiony białym jedwabnym a długim włosem, wznosił się ni-
by bojowy sztandar; pies ten przechodził wówczas z nogi na nogę, posuwając się powoli bokiem a z piersi swój wydawał straszne dźwięki, wyrażające jego nieubłagane uczucie nienawiści. Buta był już wilkiem w pełnym rozwoju sił; każde jego szarpnięcie uczuwałem mocno, wiedząc iż gdyby raz zapragnął koniecznie stoczyć walkę z psami, nie byłbym w możności stawić skutecznego oporu. Łańcuszkiem więc, na którym prowadziłem wilka, owijałem sobie dobrze lewą rękę, a w prawej nosiłem przygotowany na wszelki wypadek żelazny pręt grubości ołówka. Dzięki losowi i taktowi moich zwierząt, nie użyłem jednak nigdy tego straszego narzędzia kary. Nie jest to żadna pedagogiczna chluba, ale jest to wielka nagroda wychowawcy. Powróćmy atoli do właściwego biegu zdarzeń. W niewiele godzin po wysłaniu listu, jak to przewidywałem, Wywialkiewicz przybył do Małowieży. Spostrzegłem go już zdaleka na gościńcu, jechał w tak zwnęj biedzie, to jest wózku o dwóch kołach, do którego zaprzągnięty był dzielny siwek. Wywialkiewicz był chłopem roslym, w wieku lat przeszło trzydziestu, urodził się i wychował wśród Nadnar-

wiańskich borów, bo i ojciec jego był leśniczym. Mój przyjaciel miał bujną czuprynę jasno blond, prawie że białą i takąż długą hiszpankę oraz śpiczaste wąsiki, bary szerokie, piersi wypukłe, małe ręce i nogi, uśmiechniętą a zawsze pogodną fiizyognomią, której charakter nadawało szerokie czoło i poczciwe niebieskie oczy. Przez cały czas jak go znałem, starał się zawsze o rękę jakiejś panny, ciągle się zakochiwał, odkochiwał i znowu się na nowo kochał; tak ciągle bez przerw. Wiedzy książkowej nie posiadał prawie żadnej, ale pisywał podobno świetne romansowe listy; przytém tańczył wybornie, jako tako grał w preferansa, jeździł konno dobrze, strzelał nieźle, pił uceziwie, mówił dużo i płynnie, choć nie zawsze dbał o należyty związek myśli. Był to więc człowiek pospolity, ale pospolity tak naturalnie, iż niejednemu pospolitość tego rodzaju przychodzi z trudem dopięro po długich doświadczeniach, studiach i rozmyślaniach nad życiem. Bardzo zdolni, wykształceni ludzie, jeżeli tylko umieją wyleczyć się z zarozumiałości, w jakim czterdziestym roku życia, stają się Wywiałkiewiczami dla stosunków towarzyskich. Pan Izydor przyszedł już na świat jakoś tak dobrze i tak się szczęśliwie rozwijał, że wszystkie jego przymioty harmonizowały ze sobą w dobrej mierze. Umiał on się zastosować właściwie do Drożdżewicza, do mnie, do Trukawskiej i t. d. Robił to zaś bez przymusu, swobodnie i szczerze. Kochali go wszyscy, nawet

Milord i Jork. Nie kochał go Buta, gdyż ten w swoich ocenach osób stawał zawsze na stanowisku rzetelnych faktów. Niktby sobie nie zdołał być zjednać wilka milcami słówkami lub glaskaniem; nawet zamiar glaskania traktował on tak samo, jak gdyby go kto chciał uderzyć. Bezkarne pieścić lub bić Butę mogłem tylko ja jeden, który dawałem mu codziennie jeść, pić, który mu wyjmowałem kości z gardła, gdy się udławił, kolce z nogi, który go uwalniałem od pasożytów, bronilem przed psami i ludźmi.

Uścisnęliśmy się serdecznie z Wywiałkiewiczem, a ten odrazu zaczął mówić:

— Dostałem wczoraj od kosza, ale za to dzisiaj mogę się nacieszyć przyjaźnią.

— Cóż znowu?—rzekłem— w takim razie wspólna nasza przyjemność zbyt drogo jest opłacona i to głównie twoim kosztem.

— Co tu mówić—zawołał Wywiałkiewicz—kobiety są jak chorągiewki na dachu. A potem dodał: Ale to nie; nie smuć się moim losem; pojedę niedługo w Mławskie i tam się ożenię.

— Jesteś już zdecydowany? — pytam.

— A nie inaczej; kuzynka moja dawno mnie tam swata.

— Więc dobrze, żeś dostał od kosza? Widocznie nie umiano cię ocenić.

— Dobrze, niedobrze, ale co robić? Emilka podobala mi się bardzo, kochałem ją nawet, jed-

nakże wszyscy tam z góry patrzą na konkurenta leśnika.

Zdawało mi się, iż w głosie Izydora jest dźwięk goryczy, więc się w duszy szczerze uzaliłem nad jego losem. Tymczasem on przystąpił do mnie z dobrą miną i patrząc mi w oczy, rzekł z uśmiechem:—Daruj, mój kochany, że przedewszystkiēm pali mię ciekawość, co u licha za ważny i niecierpiący zwłoki interes masz mi przedstawić.

Piérwsze zawiązanie rozmowy naszej zbiło mię poniekąd z tropu. Może Wywialkiewicz i kochał szczerze, może z tego powodu cierpi, może pragnął być sam ze swoim smutkiem, a ja go wywlokłem z domu, aby obarczać własnymi kłopotami. Prawie że już zapomniałem o niebezpieczeństwach, na jakie Buta był narażony. Zebrałem atoli myśli i opowiedziałem Izydorowi cały stan rzeczy, dodając usilną prośbę, aby zecheiał przez jakiś czas przechować wilka u siebie.

Wywialkiewicz nie pojmował i nie podzielał mojego interesu dla rozmaitych zwierząt. Moje gile, zięby, czyżyki, sikory, wróble, sowy, psy oraz wilk mogły go zajmować chwilowo i rozweselać. Ale co to jest niepokoić się losem psa, wilka lub ptaka, tego Wywialkiewicz nie rozumiał. Gdyby mu był nawet zdechl piękny jego koń siwek, żalowałby go jedynie z powodu pieniężnej straty oraz dobrego klusa lub stępa; lecz zapominałby niebawem o siwku, jeżeliby się znalazł w posiadaniu innego równie dzielnego konia. Większość

znaczna ludzi jest pod tym względem podobna do mego przyjaciela. Tylko patryarchowie rodzaju ludzkiego, którzy oswajali dzikie zwierzęta i z nimi żyli, mogli w duszy przechowywać uczucia istotnej sympatyi dla zwierząt. My dla tych istot, bezwzględnie nam oddanych, nie mamy ani wdzięczności za ich pracę, ani przychyłności. Służba zwierząt wydaje nam się jako mus pańszczyzniany, poddaństwo, za które zwierzęciu należą się tylko bity jedynie oraz licha strawa, na tyle pożywna, ażeby zwierzę wyżyło, jeżeli go sami zjeść nie mamy. To też rysów szlachetniejszego obcowania ze zwierzętami możnaby jeszcze dopatrzyć jedynie wśród poczciwego rolniczo-pasterskiego ludu. Ale zepsuty motłoch służby dworskiej stanowi tu bezwarunkowy wyjątek. Służba ta stoi hierarchią: pan rozkazuje rządcy, rządcą ekonomowi, ekonom karbowemu i polowym, ci zaś parobkom, a parobcy i dziewczki pastwią się nad domowymi zwierzętami, aby te zadowolniły cały szereg rozkazodawców onych. Bezprawia niema tu o tyle, o ile tego przestrzegają prawa. Że zaś zwierzęta praw są pozbawione, mogą więc być tyranizowane. Jakkolwiek z powagą przedstawiłem swoją prośbę Wywiałkiewiczowi, zauważyłem, iż słucha mię jedném uchem, myśląc o niebieskich migdałach.

— Ależ dobrze—zawołał—zabiorę twego Butę dziś jeszcze do mego samotnego zamku, stanę się jego pedagogiem, obrońcą, przyjacielem—czém chcesz

Rozmowa nasza przeciągnęła się do północy, musiałem bowiem przedsięwziąć dokładny i szczegółowy wykład o potrzebach oraz zwyczajach wilka, ażeby do zmiany miejsca i otoczenia nie przyłączyła się całkowita zmiana sposobu życia, przez co mogłoby się było zwichnąć wychowanie Buty w warunkach cywilizowanego bytu.

— Chodzi o to tylko — rzecze Izydor — jak ja go tu zabiorę.

— Nie będzie to łatwa sprawa — odparłem — gdyż Buta nie pójdzie za tobą dobrowolnie; w charakterze jego, jako wada lub enota wileza, jest upór; przywiązywać go do wózka nie można, bo ucierpiałby dużo, opierając się przez całą drogę; musisz go więc wziąć w twoją biędę i w tém właśnie sęk, czy się da namówić.

Wywialkiewicz przygotował swój ekwipaż do podróży, a ja tymczasem udałem się do klombu, skąd wyprowadziłem wilka na drogę. Wlazłem sam na biędkę i próbowałem zachęcić Butę, aby za mną wskoczył. Nadaremnie! Przywiązany z tyłu, iść nie chciał, stawiał opór i mógłby się być nawet udusić.

— Już wiem, co zrobię — zawołał Izydor — wsadzimy go w worek.

Czas naglił, nie było się co namyślać.

A teraz przypatrzmy się Leśniczówce, rezydencji Wywialkiewicza, gdzie Buta miał przez jakiś czas pozostawać jako niestały mieszkaniec.

Wśród szumiącego na piaszczystym gruncie sosnowego lasu, przy wązkiej drożynie, stoi skromny, drewniany, wybielony domek, z ganeczkiem od frontu i czterema oknami. Z boku przylega do domku mały budynek; jest to stodołka i zarazem stajnia, mieszcząca skromny inwentarz pana Izydora. Przed owym budynkiem widać różnego rodzaju aż trzy wehikuly: małe saneczki, znaną nam biédkę o dwu kołach i poniewiera się téż zepsuta jednokonna bryczka o czterech kołach; ale ta bryczka jest tak zruinowana, że oto włożą na nią wygodnie gęsi, troskliwie poszukujące niewymłóconego ziarna w słomianém siedzeniu. Kilka kur przyległo do ziemi w piasku i wygrzewa się na słońcu, podczas gdy przed nimi miarowym krokiem przechadza się, jak feldfelbel, kogut potrzęsający dumnie grzebieniem na łbie i piórami w ognie. W ganku, na ławeczce leży laciasty pies Trezor, który wszelkimi sposobami i dosyć

nieskutecznie walczy z owadem skrzydlatym i bezskrzydłym,—to zapuści zęby gdzieś pod sierść, to znowu tylną nogą skrobie skórę, bębniąc po ławce, to łapie w powietrzu muchy, szczękając zębami i wstrząsając uszyna; a gdy wszystko nie pomaga, wtedy wstaje i przenosi się na drugą ławeczkę. Pod oknami białego domku znajduje się też coś na kształt ogródka, otoczonego sztachetkami; rośnie tu jednak najwięcej pokrzyw, z którymi walczą o przestrzeń nogietki, malwy i słoneczniki, dorastające wysokości okien. Zresztą znajduje się tu jeszcze studnia przy drodze i las dookoła.

Gospodynią w domu Wywialkiewicza jest niejaka Kalasanta, niewiasta w wieku lat przeszło czterdziestu, chuda wysoka i despotyczna względem wszystkich mieszkańców Leśniczówki, nie wyłączając p. Izydora. Trudno byłoby osądzić z powierchowności, do jakiej klasy społecznej należy owa białogłowa. Wprawdzie bowiem nosiła ona na głowie chustkę, podobnie jak kobiety z ludu prostego, ale jednak nie upinała téj chustki w ten sposób, co zwykle wieśniaczki; przytém na rzezoną ozdobę głowy dobierała sobie materyału o barwach, nie będących w modzie u ludu. Czarny flanelowy kaftan dystygował już Kalasantę bardzo wyraźnie; dzięki téż zapewne głównie owej części ubrania chłopstwo, przybywające po zbierkę do lasu, tytułowało ją „jéjmością“, która to godność ma przywilej na pewnego rodzaju

adoracyą; przed jęmością zdejmuje się już czapkę i oddaje się nią ukłon po kolana, podczas gdy tytuł „wielemożna pani“ wymaga ukłonu po piętę. Jęmościami są wszelkie gospodynie księżę i nieksiężę.

Kalasanta trzymała się krzepko, cały dzień była w ruchu; mawiała też zwykle, że się *zarabia*, choć całe gospodarstwo składało się tylko z dwóch krów, psa, konia, czterech gęsi, sześciu kur łącznie z kogutem, a pan Izydor gościem bywał w domu. Robiła ona sama jedna wszystko: doila krowy, zganiała gęsi, żęła w lesie trawę dla krów, doświadczała kur, czy nie są w trakcie znoszenia jaj; przytém była kucharką, kamerdynerem, sekretarzem, praczką i szwaczką. Wywialkiewicza trzymała krótko, naganiając zwykle całe jego postępowanie. Była zaś do niego przywiązana nadzwyczajnie, jakby matka do syna; chociaż podaje tu ten ostatni fakt na wiarę słów pana Izydora, a to z następujących przyczyn: Istotą zagadkową i potrzebującą pieczy macierzyńskiej na Leśniczówce był mały jedenastoletni chłopak, zwany powszechnie Laksender (Aleksander). Niby to Kalasanta była jego matką, ale on, gdy do niej przemawiał, nazywał ją poprostu „Kalasanta“, nie używając tytułów: „matko, matusiu, matulu“. Ona też, kiedy mówiła o nim lub się do niego zwracała, wyrażała się: „Laksender“ i nie więcej. Kalasanta dopiéro od dwóch lat znajdowała się w domu Wywialkiewicza, który, równie jak ja,

był szczerze dyskretny na punkcie zbadania rodowodu chłopca. To pewna, iż ta rzeczywiſta czy przybrana matka noſiła na sobie ſłady znacznych wdzięków, które uwiędły razem z ubiegłą młodością; musiała to być osoba kiedyś nader piękna. Jeżeli okoliczność tego rodzaju może stanowić jaki przyczynek do rozjaśnienia tajemniczej genealogii Laksendra, nie mam nic przeciw temu, ale sam też nic stanowczego nie twierdzę, zwłaszcza, że chłopiec nie zdradzał w rysach najmniejszego podobieństwa do Kalasanty. Ona, chociaż dzisiaj dobrze już siwiała, była kiedyś brunetą i czarnooką, o smagłej, jakby przypalonej nieocerze; za młodu musiała robić wrażenie ciemnonponsowej róży. Chłopiec był bladym, pożółkłym blondynem o konopiastych włosach i burych, głęboko zapadłych oczach; na jego drobniutkiej, okrągłej twarzy zwracał się zadarty nosek.

Garderoba Laksendra nie odznaczała się bynajmniej skomplikowaniem. Miał na sobie grubą, jakby z tektury uszytą konopną koszulę, a przytém na nogach pantaliony, zastosowane z pana Izydora do jego figury w ten sposób, iż je obcięto po kolana. Ponieważ ta część ubrania była i znacznie szeroka i głęboka, przeto chłopak w spodniach robił wrażenie kąpiącego się w beczce. Kawalek grubego szpagatu reprezentował tu przytém jedyną szelkę, utrzymującą dosyć niedostatecznie równowagę grubych kortowych spodni, których przynajmniej część niezawieszona świadczy-

ła nieustannie, że prawo powszechnego ciężenia nigdy nie pozostaje w spoczynku. Policzki malca pokryte były zwykle czarniawemi plamkami, pozostawionemi przez muchy, a niezmywanemi przez wodę, chyba że go deszcz ulewny zastał kiedy w szczerém polu. Pod nosem téż jego zawsze można było spostrzedz niezawodny symptomat zakatarzenia błony węchowej. Czapki lub kapelusza, butów oraz wszelkich innych dodatków toaletowych Laksender nie znał weale od przyjścia swego na świat; on widywał tylko, że i w takie rzeczy ludzie się ubierają. Chłopak żył lasem tylko, wspinał się zrećnie na najwyższe drzewa, przenikał wszystkie gąszcze, wdzierał się na bagna, zwiedzał zarośla trzeicin, sitowia i tataraków po bielach. Przyroda schwyła go w swoje objęcia i wychowywała prawie bez ludzkiej interwencji. Kalasanta miała w zapasie cały słownik różnych przezwisk dla malca, a najzwyczajniej nazywała go urwipolciem oraz obibokiem; przytém suszyła mu często skórę i zamykała na kolek w chlewku z krowami. Laksender beczął wtedy na cały głos, aż mu się echo odbijało w lesie. Wyplakawszy się wreszcie dowoli i na wszystkie tony, zasypiał zwykle i tak przeczekiwał dokuczliwe chwile uwięzienia. Trezor był psem za ciężkim, aby mógł podzielać wycieczki Laksendra, przeto chłopiec nie miał towarzysza; nie było w całym domu jednéj duszy, któraby go rozumiała, jak się należy. To téż

kiedy na Leśniczówkę przybył Buta, nastąpiło szczere porozumienie pomiędzy oswojonym wilkiem a dzikim chłopakiem. Bo choć długie szeregi wieków ewolucyi leżą pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, to jednak nie zatarły się w zupełności liczne punkta, w których człowiek ze zwierzętami, a zwierzęta z człowiekiem porozumieć się mogą. Ma to zaś miejsce wówczas mianowicie, jeżeli w całym tym stosunku znika idea wojny.

Kalasanta zukosa i z kwaśną miną spoglądała na wilka, zwłaszcza gdy się dowiedziała od Wywiałkiewicza, że Buta karmi się tylko mléką i mięsem. — „A jakże tu takiej bestyi będzie można u nas nastarczyć?” wołała z gorzkim wyrzutem. Laksender to wszystko wiedział daleko lepiej i zaraz podsunął panu Izydorowi myśl, że w okolicznych wsiach zdychają barany, konie i t. d., że on się zawsze postara o mięso. Co do baranów zdechłych, Wywiałkiewicz oponował ze względów zdrowotnych, ale nie miał nic do zarzucenia przeciw zdrowej koninie, dodając, iż na utrzymanie wilka ustanawia się stały fundusz, a Laksender ma od czasu do czasu pobiedz do miasteczka, albo i przejechać na siwku, aby tam zrobić zakup wątroby, jelit, łbów, kości lub i droższego mięsa.

Prawie od pierwszego dnia chłopiec i wilk byli już na stopie poufałości, każdy zaś nowy dzień wzmacniał tylko ich przyjacielski stosunek. Laksender stał się żywicielem i prawdziwym opie-

kunem Buty; wobec takiego zaś faktu, ani wilk ani nawet tygrys nie może pozostać nieczułym. Kalasanta wykonywała nieustannie swoje nieprzerobione nigdy zajęcia, Wywialkiewicz pojechał w Mławskie na zaloty, Buty nie spuszczone dotąd ani jeden raz z łańcuszka, a Trezor stał się typem zwierzęcia, które już zmarnowało wszystkie swoje naturalne władze oraz zdolności: spał ciągle, rzadko kiedy szczechnął, nie oddalał się nigdzie z domu a pod jesień garnał się do ciepłego kąta.

Na Leśniczówce nigdy nie było wesoło; w jesieni zaś, kiedy ciągle lały deszcze, miejscowość ta zamieniała się prawie w kałużę. Laksender wystawił wilkowi budę, usłał mu ją miękkim sianem, biegał do miasta po mięso, ilekroć zaszła tego potrzeba. Skończyła się i pora deszczów, a nastaly zimne przymrozkowate poranki oraz wieczory. Chłopczyzna nosił na sobie ciągle jeden i ten sam kostyum, pomimo znacznej różnicy w temperaturze i jakkolwiek zwierzęta wszystkie przywdziały już cieplejsze szaty. Jednego dnia wybrał on się rankiem do miasteczka, a powrócił dopiero późno wieczorem. Kalasanta, według zwyczaju, wyłajała go bardzo surowo i w przystępie pasyi potraktowała nawet szturchańcem. Laksender wysłuchał reprimendy, przyjął cios po stoicku, a potém zajął się wydzieleniem poreyi wilkowi. Chłopak powrócił dziś z miasta, wybladły prawie zzieleniały, jakieś klucie i bolenie dolega-

ło mu straszliwie; nie wiedział atoli gdzie i co; postawał w drodze lub przysiadł, dlatego też bardzo późno wrócił do domu. Teraz właśnie, kiedy do budki przyniósł wilkowi żywność, zrobiło mu się bardzo zimno, dreszcze przebiegały po całym ciele i ogarnęła go nieprzewyciężona śpiączka; włożył przeto w legowisko wилcze, gdzie też odrazu zasnął. Przespał tak noc całą.

Około północy powrócił do domu Wywialkiewicz; otworzyła mu drzwi Kalasanta, strofując za włóczenie się po nocy. Zwykle nie troszczyła się ona, gdzie sypia Laksender—u krów, czy u siwka. Ale trzeba było teraz chłopaka poszukać, aby wyprzął konia i wprowadził do stajni, a jeżeli wypadło, to także napoił, założył za drabinę siana lub nasypał w żłobie obroku. Nie mogła go znaleźć tym razem, a wołanie wszelkie okazało się daremnym. W tym właśnie czasie Laksender miał bardzo silną gorączkę w wилczej budzie.

Nazajutrz rano Wywialkiewicz przywołał Kalasantę i rzekł: „Zawołajcie mi tu Laksendra, dam mu kurte, buty i czapkę, bo coś bardzo zimno; miałem to zrobić już dawniej, ale jakoś przepomniałem”. Na to rzekła gospodyni: „Szkoda dla bestyjnika takiego stroju, wielki z niego niepoń; oto i dziś w nocy, gdzieś się zawieruszył, tak że sama musiałam siwka wyprzęgać”.

— Jakto, nie nocował na Leśniczówce? To chyba się zablakał gdzie w lesie?

— Ej, gdzie tam! Skrzyczałam go wczoraj

setnie, bo jak poszedł rano do miasta tak dopiero późno wieczór wrócił; żadnej zaś wysługi ani wyreki nie ma człowiek w domu z takiego galgana.

Wywialkiewicz dnia tego miał widać zamiar w domu pozostać, przynajmniej do południa. Wypiwszy kawę i wypaliwszy parę fajek tytoniu, zdjął ze ściany gitarę, prześpiewał sobie jakąś miłosną arya, poczem wyszedł przed dom na ganek. Tutaj zapewne przypomniał sobie Butę i chciał go zobaczyć, postąpił przeto ku budzie, z której doleciały go jakieś ludzkie stękania. Jak w psie pozostaje zawsze trochę wilka, tak w wilku jest sporo psiej natury. Buta rozciągnął się na chorym Laksendrze i ogrzewał go swoimi kudłami. Wywialkiewicz przeraził się niezmiernie, sądził bowiem, że wilk poszarpał chłopaka, tymczasem oto chłopiec umierał — rzecz można — z poświęcenia dla zwierzęcia, które się niém teraz opiekowało w sposób dla siebie tylko zrozumiały. Buta z wielkiem swoim niezadowolnieniem, a nawet z oznakami gniewu zaledwie pozwolił zabrać z budy chłopca, który majaczył i był nadzwyczajnie rozpalony na całym ciele.

Na trzeci dzień chłopiec już nie żył. Skończył właśnie wtedy, kiedy Wywialkiewicz wybierał się do miasta po felczera, aby ten Laksendrowi bańki postawił. Leżało w izbie zimne, wychudłe i sińcami pokryte ciało dziecka. Po śmierci ubrano je w czystsza koszulę i dano mu całkowitą

odzież... obmyto twarz oraz ręce. Nie było żadnego płaczu po Laksendrze. Kalasanta mówiła tylko, że jój „jest markotno, bo — co prawda — psotnik był wielki, ale możeby się i ustatkował”. Wywialkiewiczowi zrobiło się téż przykro, bo śmierć w domu nigdy nie jest przyjemna. Trezor w gnuśności swojej dawno utracił wszelkie poczucie, był to pies idyota. Tylko Buta czuł nieobecność malca, więc kręcił się niespokojnie przy swojej budzie. Jeżeli znalazł przyjaciela, czemużby nie miał tęsknić za nim?...

Przyszedł grabarz z parafii, przyniósł trumienkę, włożył w nią z zimną krwią zwłoki Laksendra i zabił wieko ćwiekami.

Kto wie, czy ten chłopczyzna nie był jednym z wielkich w ludzkim gatunku; może to był wielki umysł, a może podniosły charakter? Nie znał pieszczoty matki, ojciec nie udzielał mu nauk, nie przyznał się nawet do niego. Serce dziecka piérwszy raz zabiło z przyjaźni dla zwierzęcia, a zwierzę piérwszy raz przytuliło je i ogrzało pielegnujemy szczerą miłość bliźniego, bo ona tak jest potrzebną na świecie, a dotąd nie znamy bliźnich naszych. Znamy tylko wrogów. Czy tylko miłość bliźniego nie jest czystém pragnieniem szlachetnych?—Grabarz wziął na plecy trumnę, poszedł z nią prosto na cmentarz i zakopał w ziemię. Takim nieboszczykom nie potrzeba ani pisanego nekrologu, ani pogrzebowej mowy.

A jednak ich biografie są piękne. Laksendra nie było na świecie!

W parę dni Buta urwał się z łańcucha, pobiegł w las, wietrzył, szukał, zawył, przyzywał przyjaciela jak umiał i znowu wrócił do budy na Leśniczówkę. Wybiegł na drogę, wietrzył na wszystkie strony, szukał, pędził; ale potem powrócił do domu i smutny znowu legł w swojej budzie. Może jeszcze wyczekiwał przybycia chłopea.

Wywialkiewicz włóczył się, jak zwykle, Kalasanta zaś najczęściej zapominała o wilku i morzyła go głodem, chociaż po śmierci Laksendra gajowy dosyć regularnie przynosił dla niego żywność z miasta. Trudno żeby ludzie dbali o wilka.

Jednego dnia Buta wybrał się w dłuższą podróż do lasu; ale przebył las i przyszedł do wsi, przebiegł wieś całą i znalazł się we dworze, gdzie mieszkał pan Wojecki, dzierżawca Ostrowisk, dobry mój znajomy. Po obroży poznał on odrazu Butę i ugościł go sowiecie. Na drugi dzień, prawie o tój saméj godzinie wilk znowu przybył do dworu i tu został znowu bardzo dobrze przyjęty. Odwiedziny takie powtarzały się nieustannie; ale po odwiedzinach Buta stale powracał na Leśniczówkę i kładł się w budzie. Miejsce widocznie go przywiązywało, może i wspomnienia, ale potrzebował także pokarmu, którego poszukiwał jak umiał. Pan Wojecki jednakże niezawsze był zawiadomiony o odwiedzinach Buty; służący czę-

stokroć wypędzali z sieni za drzwi natręta, grożąc dokumentnie kijami.

Jednego zimowego dnia, tak odprawiony, powracał nasz wilk przez wieś o samym zmierzchu, głodny i smutny. Śnieg dał duży, chaty były pozamykane; niktby nie wpuścił do domu wilka, choćby wilk z głodu umierał. Wszakże i człowiekowi niezawsze się robi tę przysługę. Wśród zawiei Buta nasłuchiwał i rozglądał się w przyrodzie całej; prawie już był wyszedł za wieś. Gdyby był spotkał teraz swoich leśnych ziomków, możeby ich nie zrozumiał. A oni, czyżby przyjęli do swego społeczeństwa rodaka, co się wyrzekł ojczyźnych zwyczajów, co się żył z ludźmi? W opłotkach, tuż za wsią, Buta spotkał zabląkanego wieprzaka, który pędził prosto drogą pod wiatr, pokwikuując. O dwa kroki od siebie, jeden naprost drugiego przystanąły—wilk z wieprzakiem. Wieprzak umilknął, wilk także mileżał; wieprz pierwszy skręcił na bok, ale wilk znowu mu zaszedł drogę. Magnetyczny wpływ oczu Buty osadził wieprzaka w miejscu, tém bardziej że opłotki były zawiane śniegiem. Złodziej, który pierwszy raz kradnie przyciśnięty głodem musi być drżący, choć nikt nań nie patrzy; drży on i później, gdy drugi, trzeci raz sięga ręką po cudzą własność. Pierwiastki uczuć, składających się na wyrób ludzkiego sumienia, muszą istnieć w całej żywej naturze, jako nieodłączne od procesu życia. Bo skądżeby się wzięło ludzkie sumienie? Z ni-

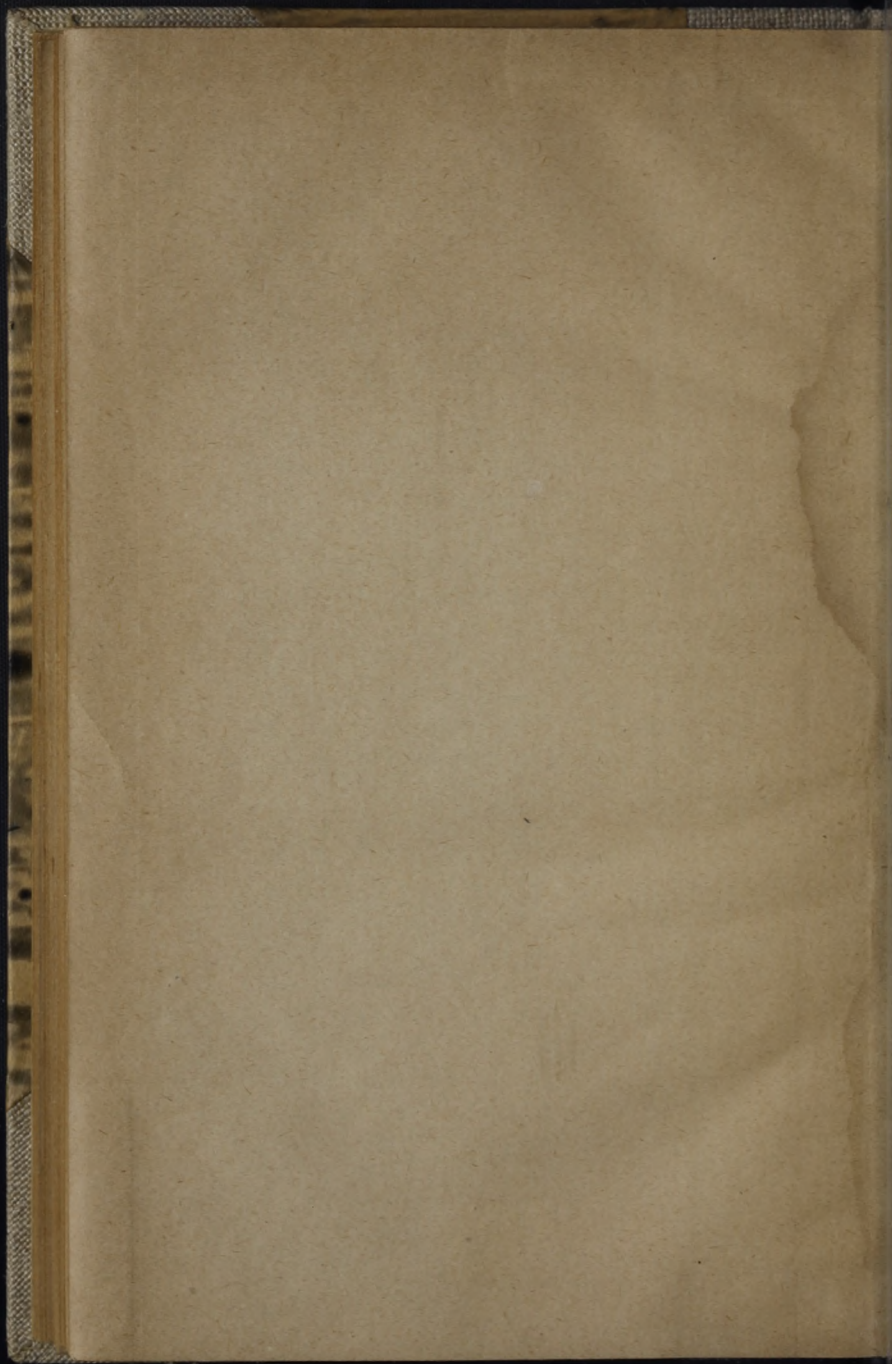
czego zapewne ono nie powstało. Rozległo się wkrótce kwiczenie wieprzaka, kwiczenie przeciągłe, długie, głos boleści dotkliwej, wzywającej ratunku spieszego. I tego rodzaju głos rozlega się także w całej żywej przyrodzie. Tak jęczy ptaszę, mordowane w szponach jastrzębia,—sarna, duszona w kniei przez wilki,—człowiek pod ciosami bliźniego mordercy. Jeżeli ryki gniewu oraz wściekłości, usłyszane zdaleka, wprawiają słuchaczy w odrętwienie, wobec którego milknie rozum a nieograniczenie władza przestrasz całego organizmu, to błagalny krzyk rozpacz i cierpienia uzbudza za to naszą sympatyą, współczucie i pobudza do niesienia ofierze czynnej pomocy. Kiedy jęknie zraniony mors, fale oceanu niosą jęk ten podwodnym mieszkańcom i zbiera się w mgnieniu oka rzesza mścicieli, gotowych do odwetu. Gdy kot zabiera pisklęta słowiczej matce, a jedno z nich boleśnie krzyknie, ona się zjawia i jakby pada na kolana przed kotem, zebrząc litości. Kto wie, czy niema, przykładów zmiękczenia mordercy, jeżeli jego głód, silniejszy od uczuć litości, został już zaspokojony? Bo skądżeby ptaszynie przyszło używać tego środka?

Usłyszano we wsi kwiczenie wieprzaka, bo właśnie—pomimo zawieruchy śnieżnej—poszukiwała go wyrobnica, której on był własnością. Wpadła w zapłotki i widzi, co się dzieje... Przelekła, zawraca do wsi, a bijąc silnie we drzwi każdej chaty, woła: „wilki! wilki! wilki“. Ona, biedna

kobięta miała zjeść kiedyś tego wieprzaka, a tu przyszedł wilk głodny i wprzód go zjada. Nie o zbrodnię więc morderstwa tutaj chodzi, gdyż wcześniej czy później wieprzak zamordowany być musiał. Wszakże po to żył na świecie, dlatego wykształcano jego organizm. Chodziło o to jedynie, kto wieprzka zjadł...

Każdy, co się we wsi poczuwa na siłach, chwytą drąg, widły, cepy; wypadają ze spokojnych chat ludzie silni, ludzie czynu, a każdy pyta—okiem, uchem, słowem: „gdzież są wilki?“

Już tylko słabe jęki umierającego wieprzaka dochodzą do uszu. Pędzą gospodarze, widzą wielką zbrodnię, mszczą się energicznie... Buta nie walczy wcale, nie uchodzi; on się wychował wśród ludzi, oswoił się i wśród ludzi zginął. Zginął za to, że był głodny. Bo téż zwykle z téj przyczyny walczy się i umiera na świecie. Ktoś zawsze jest głodny czegoś, aby... istniał.



SPIS NOWEL.

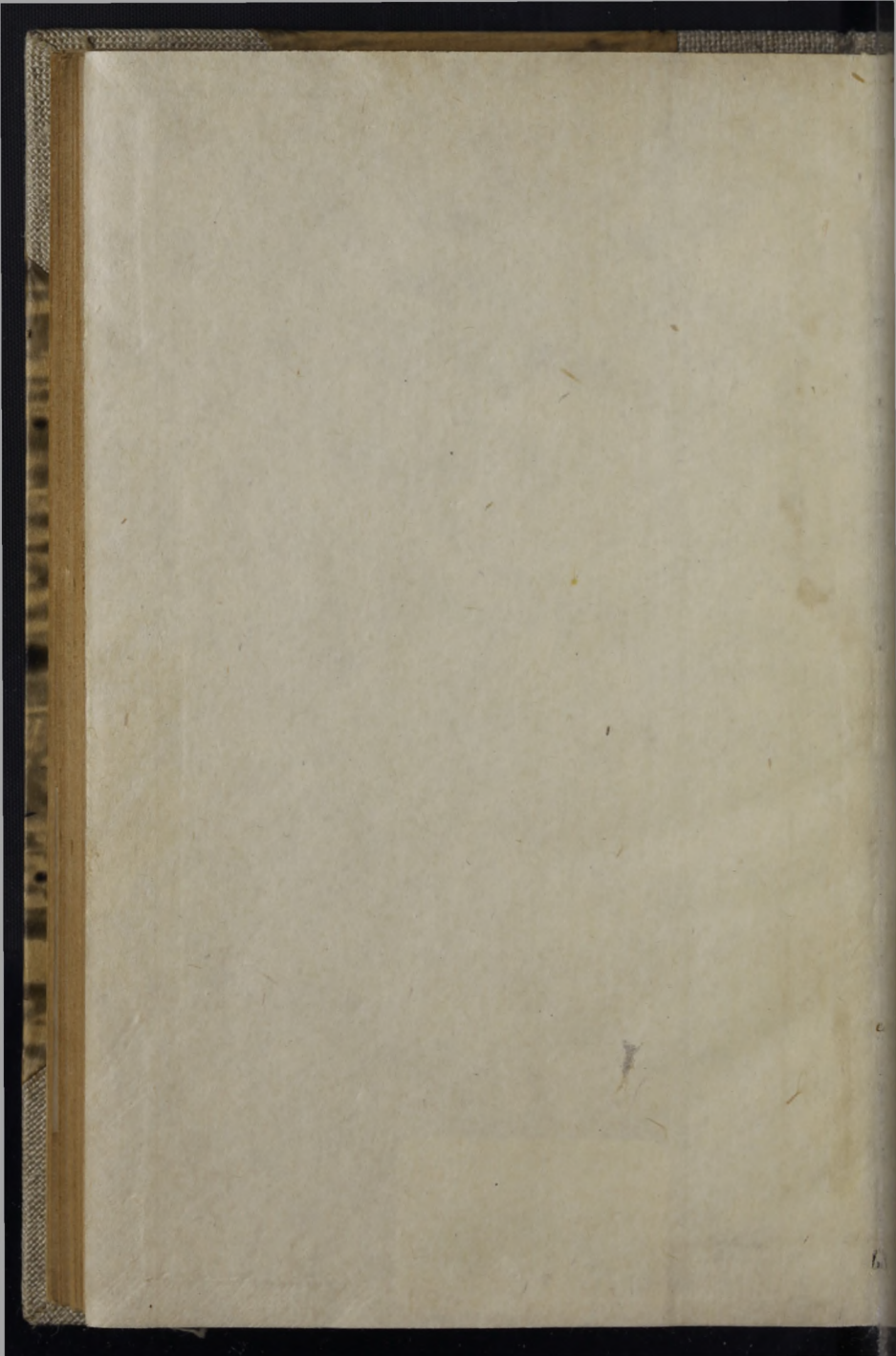
	<i>str.</i>
Psia dola	3
Krzyż i ogień	11
O ciotkę Franję.	41
Biały Wróbelek	111
Wilk, psy i ludzie	121

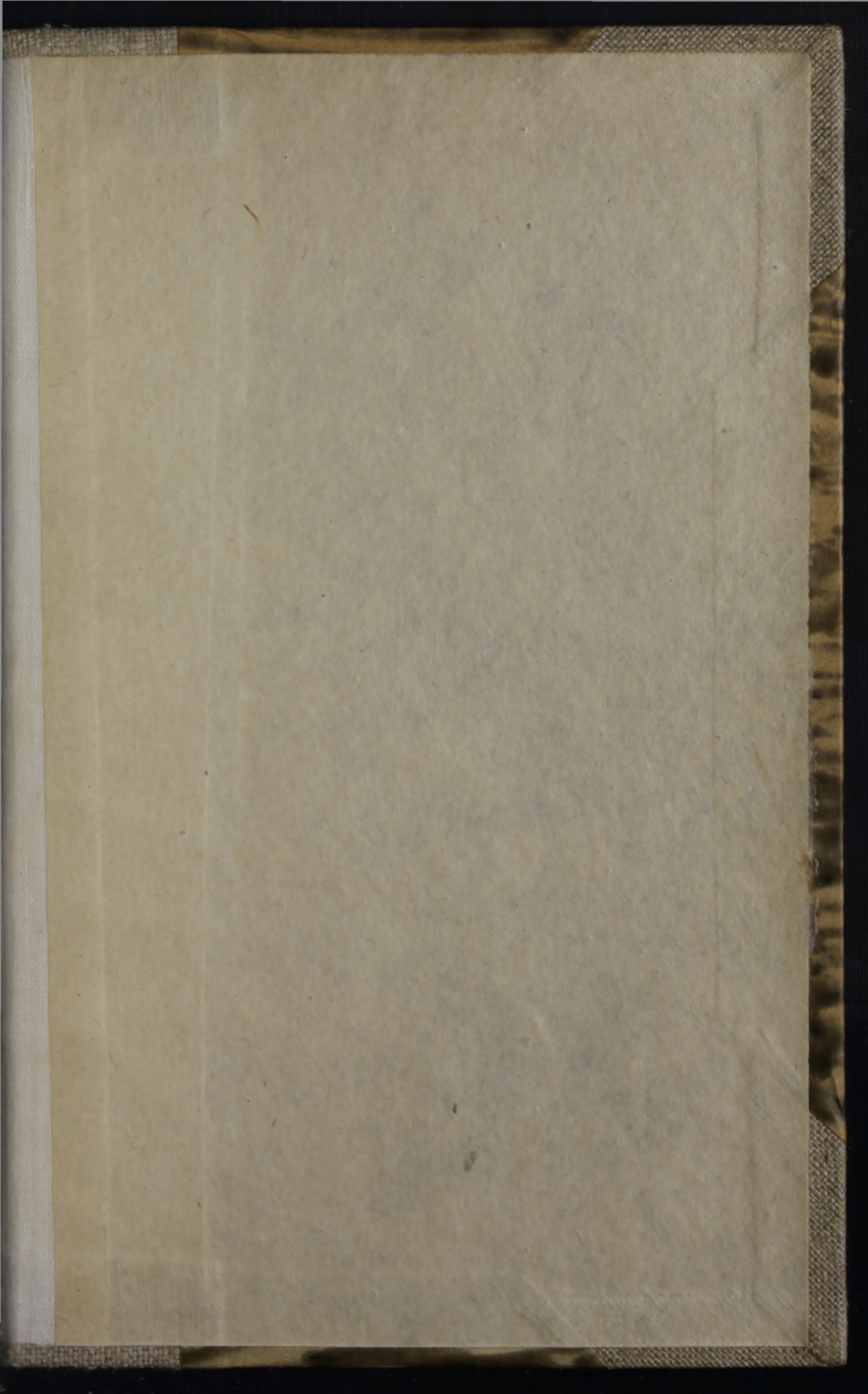


Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018621042







292846

t. 1